I. 591.989

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

DWUNASTY GOŚĆ

PRZYGODA W RADOMIU – ZAPATAN
PAN KASZTELANIC

OPOWIADANIA IMĆ PANA WITA NARWOJA
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDJI KORONNEJ

SŁOWO WSTĘPNE
NAPISAŁ
BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

LWÓW 1927
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

DWUNASTY GOŚĆ

WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI

DWUNASTY GOŚĆ

PRZYGODA W RADOMIU – ZAPATAN
PAN KASZTELANIC

OPOWIADANIA IMĆ PANA WITA NARWOJA
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDJI KORONNEJ

SŁOWO WSTĘPNE
NAPISAŁ
BRONISŁAW GUBRYNOWICZ

fl. 140

LWÓW 1927
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SYNA

BIBLIOTEKA NARODOWA

I. 541.989.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Do nielicznego zastępu powieściopisarzy polskich, których dzieła stanowić będą trwałe pomniki piśmiennictwa naszego, bezsprzecznie zaliczyć należy Władysława Łozińskiego. Obecnie nazwisko jego lśni blaskiem nieprzyćmionym przedewszystkiem w dziedzinie badań historycznych; zachwycamy się mistrzostwem, z jakiem wywiódł «z miejskiej nekropolji aktów i dokumentów» na nowe, pośmiertne życie szare masy cechowe i wystawny zastęp powag grodzkich, kreśląc w «Patrycjacie i mieszczaństwie lwowskiem» sylwety Szolców i Kampianów, Boimów i Alembeków; podziwiamy, podane na kartach «Prawem i lewem» niezwykle plastyczne i jędrne charakterystyki Jana Szczęsnego Herburta i Stanisława Djabła Stadnickiego, nie możemy się oderwać od nadzwyczaj interesu-

jącej opowieści o «Życiu polskiem w dawnych wiekach», odtworzonem z gorącem umiłowaniem i niepośledniem znawstwem przeszłości niepowrotnej, — jednakże o powieściopisarzu i noweliście, o autorze «Opowiadań JMCi Pana Wita Narwoja» i «Madonny Busowiskiej» zapomnieliśmy narazie. A przecież ta puścizna twórcza nietylko pozostaje w ścisłym związku z dorobkiem naukowym Łozińskiego, nietylko objaśnia sukcesy, jakie odnosił jako historyk, lecz również mieści w sobie wartości nieprzemijające, odkrywa bogatą indywidualność pisarza, niepośledniego znawcy serc i umysłów ludzkich, daje znakomite świadectwo o jego subtelnym smaku, wielkiej mierze i wysokim artyźmie.

Trafnie zauważono, iż pierwsze próby powieściowe Łozińskiego — a mianowicie «Czarne godziny», «Hazardy», «Historja siwego włosa» — miały swe źródło w bujnym instynkcie dziennikarskim, który mu wkładał pióro do ręki i pobudzał do wszechstronnej pracy w dziedzinach rozmaitych; teatr, sztuki piękne, literatura i wszystkie przejawy życia publicznego żywo interesowały młodzieńca, wypowiadającego śmiało swe poglądy w lwowskim «Dzienniku literackim» i w krakowskim «Czasie». Lecz już

w tym okresie początkowym, któremu patronowali Dumas i Wiktor Hugo, budził się zmysł krytyczny pisarza, nakazujący mu głębiej zastanawiać się nad problemami literackiemi.

W roku 1867 na łamach «Dziennika literackiego» ukazała się rozprawka «O kolorycie historycznym», wywołana dwoma powieściami: Kraszewskiego («Tułacze») i Zacharjasiewicza («Marek Poraj»). Łoziński, stwierdzając w niej z radością zwrot ku historycznym tematom, który może nadać większej barwności polskiej powieściopisarskiej literaturze i skierować uwagę na bardzo mało dotąd wyzyskane źródła artystycznych motywów, podnosił jednocześnie, iż «w naszych powieściach t. zw. historycznych jest wszystko, czegoby skądinąd wymagać można, są osoby z historycznemi imionami, są akcesorja wypadków dziejowych, jest i nakreślona z chronologiczną dokładnością widownia pory — ale niema bardzo małej rzeczy — niema historycznego kolorytu». I dowodził dalej krytyk, że sam zewnętrzny aparat historyczny, same daty, imiona i archeologiczne dokładnostki nie stworzą tego kolorytu, lecz rozstrzyga tutaj «pewien zmysł sztuki i pewna intuicyjna zdolność w wynajdywa-

niu istotnych barw, której nie nadadzą studja, a odpowiednio zorganizowany talent jedynie». W celu ściślejszego zdefinjowania, na czem polega koloryt historyczny, Łoziński powołał się na jedną z krytyk J. Klaczki, w której rozróżnione są dwa niejako rodzaje prawdy w odtwarzaniu jakiegoś wieku i narodu — materjalna i moralna; pierwsza, mechaniczna, lokalnym pospolicie nazywana kolorytem, jest małej wagi, druga, duchowa, żywotna, stanowi rzeczywistą i jedyną wielkość i wierność kreacji. Łoziński zgadzał się z Klaczką, iż główną rzeczą jest owa moralna atmosfera, ale mimo to nie radził przejmować się pogardą tej pomocy, jaką dają studja, bo nie każdy posiada genjusz Szekspira, któryby poetyczną potęgą i intuicją zastąpić mógł braki dokładniejszej znajomości historji, przed utonięciem zaś «w jałowym zamęcie erudycyjnych drobnostek i fraszek archeologicznych ustrzec powinien zmysł artystyczny — a bez takiego zmysłu trudno sobie wyobrazić powieściopisarza».

Co w tej drobnej rozprawce jako krytyk doradzał innym, to jako powieściopisarz zastosował przedewszystkiem do siebie; zmysł artystyczny posiadał i nad jego rozwinięciem i wy-

subtelnieniem stale pracował. Porzucając teraz pole powieści obyczajowej i przechodząc do historycznej, rozpoczął od poważnych i systematycznych studjów, jak to przystało krewnemu i pupilowi Szajnochy, od rozczytywania się w pamiętnikach, od wertowania starych aktów, dokumentów i rękopisów, jakie miał do dyspozycji w bogatych zbiorach Bibljoteki Ossolińskich, od zbierania drobnych szczegółów z życia codziennego w wieku XVIII, o których mógł dowiedzieć się z ust tak niezrównanych narratorów, jak W. Pol, Ks. Godebski, Kaj. Suffczyński i Ign. Komorowski, wreszcie od bezpośredniego zetknięcia się z zabytkami przeszłości. Nie dziw więc, iż wspomożona niepoślednim talentem pisarskim fantazja twórcza artysty stworzyła postacie tak żywe, tak wiernie narysowane, że — jak to Powidaj po ukazaniu się «Opowiadań JMCi Pana Narwoja» zauważył w «Przeglądzie polskim» (1874) — «gdyby nie nazwisko autora i rok wydania, możnaby je wziąć za płód ówczesny, a przynajmniej przypuszczać, iż autor robił studja na żywych egzemplarzach, na własne oczy widział jeszcze resztki tej cywilizacji, którą tak uplastycznić umiał...» Pochlebny sąd krytyka surowego na-

biera tem większego znaczenia, jeżeli przypomniemy, iż literatura polska posiadała już w tym zakresie arcydzieło — Rzewuskiego «Pamiątki Soplicy», a obok tego cieszyły się wielkiem uznaniem i popularnością utwory powieściowe autora «Bitwy o chorążankę».

Tymczasem JMCi Pan Narwoj, skromny oficer mierowskich dragonów, przebojem zdobył sobie serca licznej rzeszy czytelników, sympatyzujących i współczujących z dzielnym żołnierzykiem, który uważając za swój najświętszy obowiązek słuchać zwierzchników, spełnić przysięgę daną królowi i bronić aż do ostatniej kropli krwi granic Rzeczypospolitej, wiele musiał przeboleć i przecierpieć. Autor, choć wyposażył swego bohatera bogato w cnoty, nie ulepił jednakże jakiegoś bezkrwistego ideału, przeciwnie — JMCi Pan Narwoj ulega nieraz porywczemu temperamentowi, zagrają w nim silniej zmysły i dopiero po walce poczucie moralne i obywatelskie odnosi u niego nakoniec zwycięstwo. Obok bohatera rozmieścił powieściopisarz w swych gawędach staropolskich szereg postaci epizodycznych, doskonale reprezentujących epokę Stanisława Augusta, jej zwyczaje i obyczaje, jej zalety i przywary; bystrej uwadze

przyszłego historyka kultury polskiej nie uszedł żaden z rysów charakterystycznych XVIII stulecia, szczególniej zaś uwzględnił — jako wdzięczny materjał powieściopisarski — przesądy, boć ludzie wieku oświeconego wierzyli w absurda, a awanturnicy w rodzaju Cagliostra, Pinetti'ego i t. p. to jeszcze podsycali.

Cały zbiorek opowieści, który jako oddruk z «Przeglądu lwowskiego» ukazał się w roku 1873 w edycji książkowej p. t. «Opowiadania JMCi Pana Wita Narwoja, rotmistrza konnej gwardji koronnej A. D. 1760—1767», odznaczał się doskonałą, w najdrobniejszych szczegółach obmyślaną budową artystyczną; znikła w nim konwencja Dumasowska — a gdy w jednej z gawęd, mianowicie w «Zapatanie» pojawił się żywioł cudowności, to — jak zaznaczyła słusznie krytyka — «dotyczył on już nie intrygi, nie zewnętrznej powłoki, kaptującej przeciętny smak czytelnika, lecz wdrążył się w sam miąższ figur działających». Czy była to wewnętrzna wizyjność w rodzaju J. T. Hoffmana — nad tem możnaby dyskutować. Obok wykończonej budowy artystycznej ujawniło się w zbiorku pogłębienie psychologiczne; nie intryga, nie opis zewnętrzny cech i zalet, ale wejrzenie w dusze bohaterów,

ich wewnętrzna psychika budzą zainteresowanie u czytelników.

Nazwisko autora «Opowiadań JMCi Pana Narwoja» zdobyło sobie rozgłos, «Dwunasty gość» stał się najpopularniejszą kreacją literacką owej doby — a Powidaj temi słowy kończył swoją recenzję: «Wracając do Pana Narwoja, bierzemy go za słowo, że jako szlachcic i żołnierz zechce wkrótce spełnić swoje przyrzeczenie i znowu nam coś z swego życia opowie, a my go upewnić możemy, że nam chęci do słuchania go nie braknie». Apel krytyka w części tylko był wysłuchany — oddany całą duszą studjom historycznym Łoziński, niewiele już chwil poświęcił pisaniu powieści, a na pytanie — jak o tem relacjonuje prof. L. Finkel — dlaczego urwał nagle tę nić twórczości poetyckiej, zakończonej «Madonną Busowiską» i «Okiem Proroka czyli Hanusz bystry i jego przygody», odpowiadał: «Gdy w gaju odezwie się słowik, szlachetniejsze ptaki milkną i przysłuchują się, a jedynie pospolitsze ptactwo usiłuje wrzaskiem przygłuszyć słowika». Odezwanie to, będące hołdem, złożonym twórcy «Ogniem i mieczem», doskonale charakteryzuje autora «Opowiadań JMCi Pana Narwoja»;

podyktowała je szlachetna duma pisarza, który dobrze zdawał sobie sprawę z swoich własnych sił, piękno w sztuce ukochał nadewszystko, a twórczość artystyczną traktował poważnie, jako najszczytniejsze powołanie.

Bronisław Gubrynowicz.

DWUNASTY GOŚĆ

Wigilja Bożego Narodzenia!... Piękny to dzień, piękny i radosny dla chrześcijańskiego serca, a tak jakoś dziwnie, uroczyście przemawia do duszy, że człowiek i płakałby zarazem i radował się: płakał od rzewności i wspomnień, co nie wiedzieć jak i skąd nawałem cisną się do głowy i serca, radował się od wesela i szczerej otuchy, którą to wielkie w chrześcijaństwie święto, pamiątka zmiłowania Bożego dla ludzkości, napawa wierzących...

«Chwała Panu na wysokościach a pokój ludziom dobrej woli na ziemi». Dożyłem i ja pokoju pod resztki żywota mego, który rozmaity bywał, zmienny i w przygody nie skąpy, częściej grzeszny i rozpustny niżeli stateczny, częściej przykry i twardy niż szczęśliwy. Człek miał duszę rogatą, więc i rogato mu życie wypadało; przeżyło się lat wiele; bywało się na wozie i pod wozem; jadło się chleb z niejednego pieca, tułało się po rozmaitych kątach i własnej ziemi i obcej, i tam kędy było potrzeba i tam kędy człeka nie posiano; przebyło się opłakane czasy dla miłej tej a biednej ziemi naszej, a teraz czeka się cierpliwie, kiedy Bóg miłosierny pozwoli odpocząć wiekuiście...

Widzę was koło siebie wszystkich, i synów

i wnuków; wiankiem otoczyliście dziadka i nalegacie, aby sięgnął do pamięci swej biednej i opowiedział co z dawnych czasów. «Gadaj dziadu!» — słuszne to domaganie, bo i czemże stary bogaty, jak nie wspomnieniami długiego żywota? Kiedy taka serdeczna wola wasza, i kiedy radzi słuchacie dawnych dziejów, więc opowiem wam przygodę, która głęboko wpisała się w pamięć moją i nigdy niezatarta na dnie serca spoczywa. Wiele się zapomniało, wiele wspomnień zblakło lub całkowicie zginęło w pamięci, ale ten wypadek z mego życia, który teraz usłyszycie, tak żywo mi stoi przed oczyma, jakby się stał wczoraj, jakby się stał dzisiaj, przed chwilą.

I nie dziw, że go dzisiaj właśnie opowiedzieć się zabieram. Wszak to dzisiaj wigilja Bożego Narodzenia, a w dzień ten przygoda moja zawsze mimowolnie z taką siłą na pamięć mi się nasuwa, że daremniebym próbował o czemś innem pomyśleć i coś innego opowiedzieć. Spożyliśmy już wieczerzę, wesołe kolendy umilkły na chwilę, a skoro po starym zwyczaju przeczuwać chcecie aż do mszy św. pasterskiej, to wysłuchajcież tego ustępu cierpliwie, aby zachował się w kronice naszej rodziny.

Anno Domini 1752 byłem wyrostkiem siedmnastoletnim. Rodzice moi, z dobrej szlacheckiej krwi ale nędznej bardzo fortunki, żyli na bardzo skromnej i ubogiej własności. Dworek stary, Bóg wie, jakie jeszcze czasy pamiętający, i szmat ziemi, to całe było mienie, z którego żyć trzeba było uczciwie. Było nas troje rodzeństwa w domu. Ja byłem najstarszy, za mną szedł brat Andrzej, o lat pięć młod-

szy odemnie, a za nim najmłodsza siostra, Hania, mająca wówczas lat dziesięć zaledwie, dziecko dobre i śliczne jak aniołek.

W domu była bieda wielka, i nami chłopcami, a już to najbardziej mną, frasował się ojciec ustawicznie. Wyrosłem był już jak młody dąb, wąs się poczynał sypać pod nosem, a w głowie było pusto i ciemno. Umiałem zaledwie czytać i pisać, a poczciwy ksiądz pleban, staruszek bardzo zacny, Panie świeć nad duszą jego! trochę mnie w łacinie przećwiczył, bo na owe czasy ani rusz było szlachcicowi bez łaciny. Rosłem nie wiedzieć na co; duchownemu stanowi oddać się było już zapóźno, do palestry nie było o czem się aplikować, więc utrapienie było nielada. Jakby nadomiar złego, byłem chłopak krnąbrny i narowisty, jak młody źrebak z tabunu, i ani powaga śp. rodzica mego, ani słodkie przestrogi matki uchodzić mnie nie mogły.

Matka moja liczyła zawsze na krewnych, którzy posiadali znaczną fortunę, a najwięcej na wdowę bogatą, swą stryjenkę, panią podczaszynę Żołyńską, ale ta z sukursem wcale się nie spieszyła. Pisywała do niej matka często, uciekała się do jej pomocy w gorzkich aflikcjach niedostatku, prosząc już nie dla siebie, ale dla dzieci o pomoc jakową, ale pani podczaszyna wszystkie te prośby nawet responsem honorować nie raczyła. W głowę więc zachodź z wyrostkiem, jak ja! W domu nie wysiedzi niczego, do statutu i pióra niezdatny, a rzemiosła lub pospolitej służby imać się nie pozwala szlachecka kondycja!

Tak stały rzeczy, kiedy rodzice moi po długiej naradzie z sobą, przecież coś stanowczego począć ze mną zdecydowali. Ojciec zawołał mnie do siebie i tonem poważnym w takie się ozwał słowa:

— Wicie! Przerosłeś już mnie, wąsa jeno co nie widać; jużeś chłop, co się zowie; czas, by pomyśleć, co dalej będzie. Po polu na szkapie harcować, z ptaszniczki do wron strzelać i z innymi urwisami na szable się rąbać, to dotąd uchodziło, ale teraz serjo pomyśleć trzeba o tem, co waść jeść będziesz i czem żebra szlacheckie okryjesz! W domu pozostać nie możesz, bo waść wiesz, że niema o co się zaczepić, i żem chudy pachołek. Dotąd jak było tak było, ale teraz trzeba się zacząć przegryzać przez życie i forytować do uczciwego stanu. Dam ci list do pani podczaszyny Żołyńskiej; choć dotąd nie była łaskawą dla chudej swej familji, to może, gdy ciebie samego obaczy, krewieństwa pamiętniejszą będzie. Nie żądam w liście żadnej jałmużny dla ciebie, ale sumituję się tylko pani podczaszynie dobrodziejce, aby cię wpływem swoim (bo ma znakomite i możne koligacje) umieściła przy dworze jakiego magnata i pomogła do klamki pańskiej. Jest właśnie dobra okazja w te strony; sąsiad nasz, pan podsędek Orszyński, jedzie w te okolice, przysiędziesz się waść i dalej w świat za wolą Bożą!

Jak ojciec chciał, tak się stało. Opatrzono mnie jako tako w drogę; ojciec sprawił mi uczciwy kontusik i żupanik od święta, własny swój pas najlepszy i dość pokaźną szablinę darował, a do tego wszystkiego kilka, Bóg dobry wie, skąd wydobytych

czerwonych dorzucił; matka ukochana postarała się o bieliznę i drobniejsze potrzeby, i obdarzyła tem, co największym i najświętszym jest skarbem dziecka opuszczającego progi domowe — błogosławieństwem swojem serdecznem.

Przy rozstaniu żal trochę serce ścisnął i markotno było na duszy, i byłbym też zapłakał szczeremi łzami, gdybym się nie był wstydził ojca i pana podsędka, na którego wózku tę pierwszą wyprawę w świat Boży odbyć miałem. Matka moja, jako mnie miłowała bardzo, łzami mnie swemi oblała, a za jej przewodem i brat i siostrzyczka Hania od żałości głośno płakali. Coraz bardziej mi serce miękło, i byłbym może także uległ rzewności, osobliwie gdy mnie moja najmilsza siostrzyczka Hania drobnemi rączęty ująwszy, z płaczem całowała — ale pan podsędek ruszyć kazał, i nim jedno *Ave Maria* ujechaliśmy, już mi zniknęły z oczu i strzecha rodzinna i matka droga, co długo za mną patrzyła, zdaleka szląc mi błogosławieństwo.

Nietyle podróż moja, co cel jej był mi nie do smaku. Nie miałem ochoty szukać pomocy u pani podczaszyny, która nie dała nigdy rodzicom moim dowodu życzliwości i dobrego serca, i po której się zbyt miłego powitania nie spodziewałem; nie miałem też żadnej inklinacji służyć u dworu magnackiego, trzymać się klamki pańskiej i aplikować się pod rygorem marszałka. Pani podczaszyna miała dobra nad samą granicą śląską, a ta granica ćwiekiem mi się wbiła w młodą głowę. Ja, co nigdy prawie nie przekroczyłem granic swego powiatu, cuda

sobie myślałem, co tam być może za granicami Rzpltej?

— A gdyby tak pójść za granicę, het w świat daleki? — pomyślałem sobie — tak szlakiem czterech wiatrów i kędy oczy i nogi poniosą?... Gdyby tak zamiast pokornie sumitować się wątpliwym krewieńskim afektom pani podczaszyny i szukać łaski pańskiej, próbować szczęścia na własną rękę, czy nie lepiej i nie weselejby to było?...

Młodemu i szalonemu łbu mało trzeba, aby się uczepił pierwszego lepszego konceptu, i fantazji się oddał na ślepo. Po krótkich rozmyślaniach postanowiłem uciec panu podsędkowi przed samym celem podróży i hajże w świat za fortuną, za awanturami, za okazją!... Nieszczęście chciało, że mi sam podsędek ułatwił wykonanie zamiaru. Na dwie mile przed wsią pani podczaszyny wypadało mu w podróży wziąć się w inną stronę, a podwieźć mnie umyślnie nie było mu składnie, dał mi tedy informację, którędy mam się zwrócić, aby pieszo dostać się do krewnej, pożegnał, napomniał i na czystem polu zostawił.

— Tom ja teraz pan własnej woli! — zawołałem sam do siebie pełen animuszu — a świat cały stoi mi otworem? Bywaj zdrowa Jaśnie Wielmożna Pani Podczaszyno Dobrodziejko, obejdę się bez Jejmościnej protekcji i sam się forytować będę!

Owo nie pytałem się już teraz o drogę do krewnej, ale od przechodzących zasięgałem języka, którędy najbliżej do granicy. Za dwie małe godziny stanąłem nad granicą i z biciem serca chciałem ruszać

dalej bez odpoczynku, gdy mi mijać przyszło karczmę, w której dziwne i ciekawe dla mnie bardzo odbywały się rzeczy.

Przed karczmą tą stała duża gromada chłopstwa, a najwięcej młodych parobczaków, i gapiła się napół z lękiem, napół z ciekawością. W sieniach ustawiono stół, a około stołu stali lub siedzieli ludzie dziwacznie ubrani. Ja, co nie widziałem był dotąd nigdy w życiu wojska cudzoziemskiego autoramentu, nie mogłem się dość napatrzyć tym figurom.

Że byli żołnierze, to po jednakowym mundurze i po broni poznałem łacno, ale takich żołnierzy nigdy jeszcze nie widziałem. Było ich kilkunastu, a ubrani byli w niebieskie kabaty z czerwonemi ranwersami, w kamasze wysokie czerwone i w obcisłe pluderki. Przy bokach mieli krótkie szable, na głowach trójgraniaste kapelusze z kordonami srebrzystemi, a włosy pudrowane i w warkocze uplecione. Czterech z nich wygrywało na trąbkach i piszczałkach, a dwóch biło takt w brzękliwe tarabany, a tak chwacko, tak wesoło i huczno, że aż miło słuchać było. Pod stołem znajdowała się beczka z winem, a jeden z tych żołnierzy ciągle siedział przy czopie, ciągle do szklenic nalewał i zagapionemu chłopstwu podawał. Na stole leżała księga otwarta i kupa srebrnych talarów, nowiutkich i świetlistych, że aż za oczy chwytały, a jeden z gromady tej wesołej, ciągle niemi przerzucał, dodając brzęk srebra do odgłosu muzyki.

Chłopi patrzyli łakomym wzrokiem na wino, na białe, świecące srebro, ale cofali się z niedowie-

rzaniem i zdawali pasować się między lękiem a pokusą... Od czasu do czasu jeden z żołnierzy, widocznie najstarszy z oddziału, dawał znak fajfrom i doboszom, aby przestali wycinać kuranty, i jedną ręką pobrzękując talarami, a drugą wznosząc pełną szklenicę wina, głośno coś przemawiał, jakby chciał do czegoś zachęcić. Przybliżyłem się, aby posłuchać tej oracji, ale z ciężką biedą tylko sensu jej dochwycić się mogłem.

— Dobrze jeść, dobrze pić, *immer lustig* żyć! — wołał ów drab najstarszy, który miał szlify srebrne na kołnierzu i takiż kutas przy furdymencie. — *Prystań, prystań na Kriegsman,* będziesz sobie wolny pan! *Zaj Majestet,* król pruski, werbuje do swojego sławnego wojska! To mi życie, to mi raj, bodaj takiemu królowi służyć lat sto i cztery tygodnie! Kabat piękny i złocisty, a pieniędzy huk; dla *soldata* nie trudno o dukata! Co będziesz miał? Wszystko! Co będziesz robił? *Nix!* Kto chce iść, niech się spieszy, niech da rękę, bo będzie płakał i żałował. Dziesięć *Thaler* do ręki!! Nowy, piękny, srebrny *thaler* — dziesięć takich *thaler* zaraz, potem kopa, oko i tuzin! Jeden *thaler* — dzeń! drugi *thaler* dzeń! — trzeci dzeń! *vier, fünf, sechs, sieben, zehn!* Hurra-ha! *Werrrrbunk* dla Najjaśniejszego, najmocniejszego, najłaskawszego *Zaj Majestet* króla od Prajzów! Frryder-rryk! przyjaciel żołnierzy daje dziesięć talarów zaraz, mięsa ile zjesz; wódki, miodu, wina, piwa, ile wypijesz; melduj się, werbuj się! Dobrze jeść, dobrze pić, *immer lustig* żyć! *Eins, zwaj! draj! Musik! Bum!!*

Tu fajfry i dobosze poczęli znowu przygrywać, a ów starszy z srebrnym kutasem przy furdymencie zapraszał już teraz niememi gestami do stolika. Widowisko to całe ogromnie mnie zajęło; przecisnąłem się tedy przez gawiedź i stanąłem sobie tuż przed żołnierzami. Tak zagapiony patrzyłem ciągle na tę śmieszną komedję, kiedy naraz ów drab z srebrnym bandoletem przystąpił do mnie, z przyjacielska uderzył po ramieniu i podał szklenicę wina.

— Mospan Polak! — zawołał, nagląc, abym wypił. — Anu kamrad do kamrada! Wiwat! Niech żyje żołnierskie życie! W twoje ręce Mospan *Junker!*

Nie pytając wiele, co dalej będzie, wziąłem od Niemca szklankę i wychyliłem do dna. Niemiec mnie na to pod ramię, i napół grzecznie prosząc, napół gwałtem ciągnąc, wiedzie do stolika, koło siebie sadza i znowu wina nalewa. Po drugiej szklance zaszumiało w młodej głowie, do żadnych trunków nienawykłej; zaczął mi się podobać i ten Niemiec w kurcie z ranwersami i srebrnym bandoletem, i ci jego kamraci junaccy, i ta muzyka wycinająca wesoło na piszczałkach i tarabanach. Za drugą szklanką poszła trzecia, za trzecią czwarta i już niewiele pamiętałem, co się ze mną robi. Ściskałem tylko każdego draba w kurcie niebieskiej serdecznie, a każdy z nich wzajemnie do błyszczących guzików mnie przyciskał, w twarz całował i *Bruder kamrad* nazywał; czułem, jakby przez sen, że mi błyszczące srebrne talary pchano do ręki i że muzyka przeróżne ochocze marsze wycinała.

— *Frrri-derrr-rrrik! Bruder kamrad! Immer*

lustig! Musik! — bełkotałem językiem, który mi się szalenie plątał po zębach, aż nareszcie straciłem przytomność z kretesem.

Nie wiem jak długo znajdowałem się w tym stanie, ale kiedy się z bólem głowy obudziłem, nie mogłem połapać myśli i wspomnień, które się po rozgorzałym łbie kręciły jakoby młyńcem. Domowa strzecha, podróż, rodzic mój, pan podsędek, pani podczaszyna Żołyńska, i cała hurma drabów w kabatach z czerwonemi ranwersami i z pudrowanemi warkoczami biegało mi przed oczyma, a w uszach szumiały ciągle fajfry i dobosze.

Przetarłem oczy, przeżegnałem się i począłem rozglądać się dokoła, gdzie jestem. Ujrzałem się na gołym tapczanie, w izbie brudnej i ciemnej. Dokoła mnie na tapczanach lub pokotem na ziemi leżało kilkunastu młodych parobczaków, a przy drzwiach drzemał na zydlu jeden żołnierz w niebieskim kabacie z muszkietem w ręku. Porwałem się z tapczana i nuż szukać mego tłumoczka; daremnie! niema go koło mnie! Ani kontusza, ani żupanika z pięknej kwiecistej grodetury, ani szabelki blachmalowej, co mi ją ojciec darował, niema ani na oczy! Sięgam do kieszeni, niema mieszka z czerwieńcami, poszedł snać za żupanem i szablą!...

Mówię tedy do owego żołnierza, co siedział przy drzwiach na zydlu, oparty na muszkiecie:

— Panie wojak! Zabawiłem się wczoraj z waszymi kamradami, pohulałem może zanadto ochoczo; teraz mi czas w drogę, muszę ruszać dalej; od-

dajcie mi mój tłumoczek i mieszek z pieniądzmi i otwórzcie drzwi, bo mi tu duszno w tej izbie.

Żołnierz popatrzył na mnie, jakby nie rozumiał, a potem śmiać się począł głośno i długo, aż nareszcie, ze śląskiego akcentu zarywając, tak do mnie rzecze:

— Mospan Polak, już ty nasz, już ty kamrad i wojak pruski; tak ja ciebie teraz nie puszczę. Siedźże tutaj, aż pan lejtnant przyjdzie!

— A toż co u licha, panie wojak! — zawołałem — to chyba żartujecie! Zabawiłem się tylko w wesołej kompanji i kwita! Puśćcież mnie w spokoju, niechaj sobie idę w moją stronę.

Wtedy ów żołnierz napół ze śmiechem, napół z dobrocią, bo mu żal było może krwi młodej i niedoświadczonej, pocznie mi rozpowiadać, jako się wczora zawerbowałem do wojska pruskiego, jako mnie już wpisano na lat ośm do regestrów pułkowych, jako już teraz jestem zagranicą na pruskim *hauptwachu*, jako wczoraj jeszcze przysiągłem przed chorągwią Jego Królewskiej Mości, Fryderykowi II, iż mu będę wiernie i walecznie służył, w pokoju i na wojnie, na morzu i na lądzie, na murach i w otwartem polu.

Domyślacie się już tedy, że wpadłem w ręce werbowników pruskich. Trzeba wam też wiedzieć, że jako w naszej nieszczęśliwej Rzeczypospolitej rząd bywał jeno tak sobie od półtora nieszczęścia, a porządku i czujności za trzy grosze nigdy nie stało, to sąsiednie wojska, tak cesarskie, jak pruskie, wysyłały werbowników nad granicę polską, i tu łapano,

BIBLIOTEKA NARODOWA

kto się pod rękę nawinął. Takich nieszczęsnych zwerbowanych Polaków, a osobliwie chłopów, bywało sporo w wojsku austrjackiem i pruskiem, a pan generał Szybilski cesarzowi Rakuskiemu cały prawie pułk ułanów wysztyftował z samych Polaków taką werbowniczą sztuką. Osobliwie podczas wojny cudzoziemscy werbownicy lud nam z nadgranicznych okolic srodze podkradali.

Owo takim to kształtem dostałem się do pruskiego wojska. Nie będę wam tu opowiadał trudnych początków w tej surowej szkole, ani też przygód przeróżnych, których między obcymi zażyłem — bobym ani dziś ani jutro może nie skończył. Kiedyś i na to przyjdzie czas; jeśli Bóg trochę życia jeszcze dozwoli, to wam dziad wszystko rozpowie. Dość powiedzieć, że sroga była mi dola w pierwszych czasach; ciężka i trudna i biedna, że jej żadnemu wrogowi przebywaćbym nie życzył. Oj, uczyliż mnie Niemcy wojaczki, uczyli! opłakałem gorzko mój muszkiet żołnierski! Ano, co było robić i jak się ratować? Ucieknę, to złapią, a po *krygsrechcie* w łeb palną bez pardonu. Bóg wysoko, do domu daleko, a nad karkiem rygor i dyscyplina, ani pisnąć — czuj duch! i kwita.

Bywało między tymi Niemcami taka mnie żałość serdeczna weźmie za rodzinną ziemią, taka rzewność duszna za familją, że serce się padało formalnie, ale cóż było robić! Wiele biedy przyschło na człowieku, a wkońcu i dusza jakoś niby stwardniała, i już mi tam wszystko za jedno stało. Po dwuletniej biedzie nauczyłem się po niemiecku tak gładko,

że językiem tym mówiłem, jakobym go znał od dzieciństwa, a regulament, musztrę i służbę na palcach się umiało. Po długich prośbach i zachodach, przenieśli mnie do kawalerji, do której zawsze serdeczną miałem inklinację, bo szlachcicowi zawsze markotno służyć w piechurach, muszkiet dźwigać i w kamaszach chodzić. Przy kawalerji zostałem *wachmajstrem*, to jest podoficerem, i już odtąd jakoś lżej było w tym żołnierskim stanie.

Do rodziców w pierwszym roku pisałem razy kilka, ale żadnego responsu nie otrzymałem nigdy. Zapomniałem też o nich, a gdy nadobitek będąc za kupnem koni pułkowych pod samą granicą polską, spotkałem tam jakiegoś ekonoma z okolic moich rodziców, a ten mi powiedział, że kiedy tam nastał, już po Narwojach i śladu nie było, pożegnałem się w myśli z familją na wieki.

— Bóg wie, co się z nimi stało — myślałem sobie — ojciec i matka może pomarli, Andruś i Hania gdzieś u obcych ludzi się wysługują, a ja biedny żołnierz z lichego żołdu dyszę, a jak to porzucę, to z biedy zginę, a rodzeństwa nie wynajdę; a choćbym i wynalazł, to co im pomogę?

Tak minęło cztery lata. Człowiek miał nie chwaląc się, wiele wrodzonego sprytu; młoda głowa rychło wszystko pojmowała; a tak poduczywszy się wojennego rzemiosła dobrze, zostałem nareszcie oficerem. Oberszter mój, graf Koggeritz, polubił mnie nawet dosyć i nieraz innym lejtnantom na wzór służbistości dawał. Był to srogi człowiek, tyran okrutny, żołnierz surowy i ostry; od mistrzów krzyżackich

prozapją swoją wywodził i krzyżak też z niego był, od stu kaduków! Ja też służbę pełniłem punktualnie i akuratnie, jak machina, a srogość przejąłem od starszych, i jako oni mnie, tak ja mych subordynowanych jakby kleszczami za łeb trzymałem.

Już to Bogiem a prawdą mówiąc, tacy my już wszyscy Polacy, że dopiero w obcej szkole ćwiczą nas w karności i do surowego posłuchu zaprawiają. W domu, pożal się Boże, porządku za grosz, respektu za złamany halerz; każdy sobie pan, każdy sobie król i wojewoda, nikt nie słucha, a każdy rozkazować rad i gotów zawsze.

Czyś hetman, czyś towarzysz; już ty sobie w Polsce własny pan; każdy tam kapitan, a dragana niema; nic nie idzie w ład, ten do lasa, ten do Sasa; o posłuszeństwie ani mów szlachcicowi. Ale niechno pana brata wezmą w dyscyplinę niemiecką, pod muszkiet i feldmycę, ano zaraz co za przemiana! Tańcujże Polaczku, jako ci grają! Jak go ścisną żelazną dłonią, zaraz z niego najsurowszy i najkarniejszy żołnierz, najsłużbistszy i najstateczniejszy oficer. Tak to my Polacy sobie samym najgorzej, a obcym tylko służyć umiemy.

Ale owo odbiegam od rzeczy. Wracając tedy do mojej opowieści, miasto dłużej mówić o moich dalszych kolejach i przygodach, powiem tylko otwarcie, że spędziwszy tak kilka lat między Prusakami, zmieniłem się z gruntu całej duszy, i nawet rodzona matka byłaby się do mnie nie przyznała. Człowiek zniemczał, zprusaczył się, zlutrzył z kretesem. Już się i polskiego języka było nieco zapomniało, bom

ustawicznie szwargotał tylko po niemiecku. O kraju rodzinnym i pamięć w sercu zda się wygasła, a o wierze katolickiej, w której się urodziłem, niepoczciwie zapomniałem. Przez całych ośm lat naonczas nie spowiadałem się ani razu, nie przystępowałem do Najświętszego Sakramentu, a całe nabożeństwo na tem polegało, że się z komendą i w paradnym ordynku chodziło niekiedy do protestanckiej kirchy.

Dziś mnie starego groza przejmuje, gdy wspomnę, jak sromotnie i szpetnie zmieniłem się na pruskim żołnierskim chlebie. Ale takie to musiało być tam życie, gdzie człowiek nie znał innego Boga nad króla, innego przykazania nad honor wojskowy i kawalerski, innej wiary nad chorągiew, innego pana nad oberszta, innego prawa nad regulamenta i krygsrechty! Wszyscy tak żyli, więc i ja, com był maluczkiem ziarnkiem piasku w tem wielkiem morzu. Dzisiaj jeszcze mrowie mnie obiega na myśl, że żyjąc w tak bezbożnym stanie, a bywając ciągle w rozmaitych bardzo krwawych potrzebach, gdzie tysiące padały, gdyby dopuszczenie Boże było mi kazało paść od kuli, byłbym wyzionął ducha jako poganin, a nie katolik i szlachcic polski.

A śmierci nie szukać było wtedy. Służba moja wojskowa przypadła w samę ową zaciętą wojnę, która z przerwami całych siedm lat trwała, a w której tłuc się było potrzeba z wszystkiemi niemal nacjami, z Rosjanem, Francuzem, Sasem i z cesarskimi. Byłem w kilkudziesięciu może rozmaitych potyczkach i bitwach, ale zawsze z nich człowiek za dziw-

nem zmiłowaniem Bożem cało swe kości wyniósł. O mniejszych ranach nie mówię; płatnął kto po gębie lub po karku, to i przyschło, rozpruła kula udo, to felczer ją wyjął i zaszył ciało — a z lazaretu człowiek uciekał jak najrychlej było można, bo tam srożej jeszcze nędza biła, niż na polu w obozie.

Owoż pod sam jakoś koniec tej wojny zawziętej i krwawej, w której król Fryderyk odgryzał się z sukcesem swoim przeciwnikom, i z tych srogich opałów obronną, ba nawet zwycięską wyszedł ręką; tak na krótko przed samym ostatecznym pokojem, *anno Domini* 1760 posunęli nasz regiment pod samą granicę polską. Mnie z moją chorągwią postawiono kwaterą w maleńkiej mieścinie, a że wojna jeszcze się toczyła, więc byliśmy w pogotowiu i lada chwilę na plac boju pójść mieliśmy. Pewnego dnia zaciągnąłem z moimi ludźmi *hauptwach*, gdy przysłano do mnie z kwatery jeneralnej, abym z silną strażą stawił się po więźnia wojennego, nad którym właśnie starszyzna *krygsrecht* odbyła.

Spełniłem rozkaz i odebrałem więźnia. Nakazano mi surowo, aby go strzegł na *hauptwachu*, jak oka w głowie, albowiem przestępca jest wielki, i jako na rozstrzelanie skazan, pozajutro stracony być ma według *krygsrechtu*. Był to oficer saski (a trzeba wiedzieć, że z Sasami byliśmy także w wojnie), który chciał się przedrzeć przez forpoczty pruskie, a przytrzymany, bronił się i oficera ciężko ranił. Posądzono go o zamiar szpiegostwa i krótką sprawą, sądem wojennym, na śmierć skazano.

Wojna sroga i ciągły widok śmierci, która mi

nieraz z bliziutka oko w oko łypnęła, zahartowały mię jak żelazo, i dusza moja nie była już przystępna żałościom i miłosierdziu, a przecież markotno mi się zrobiło, widząc tego skazańca. Młoda krew, chłopak urodziwy i dzielny, aż miło patrzeć, młodszy jeszcze odemnie, a takiego jakiegoś wdzięcznego wejrzenia, że mimowolnie serce ku sobie inklinował.

Ale służba służbą, a mój żal nic tu poradzić nie mógł. Odwiodłem tedy nieboraka na *hauptwach*, zamknąłem w izbie z zakratowanemi oknami, sam klucze do kieszeni wziąłem i dwóch żołnierzy na warcie postawiłem. Że mnie ciekawość zdjęła, co zacz był ten oficer, zaglądnąłem do pisma, które mi wraz z nim oddano w *krygsrechcie*. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wyczytałem, że jest Polakiem, nazywa się Józef Rotnicki i jest unterlejtnantem w dragonji Jego Mości Kurfürszta saskiego. Teraz już naprawdę żal serdeczny poczułem, boć to i rodak mój był i chłopiec młody i piękny, jak jagoda, i żyć mu było tylko na bożym świecie, a nie ginąć marną śmiercią od muszkietów pruskich.

Ogarnięty tęskliwością, myślę ja sobie, że byłoby to obowiązkiem chrześcijańskim, odwiedzić nieboraka w tak strasznym życia terminie i uweselić mu jako tako tę dobę krótką, co go od sądu bożego dzieliła. Było to już późnym wieczorem, a było właśnie 23 grudnia, w wigilją wigilji Bożego Narodzenia. Biorę tedy klucze i latarkę i niby na ront nocny i dla inspekcji straży się udając, otworzyłem areszt, gdzie nieszczęśliwy skazaniec w ciemności i samotnie był zamknięty.

Siedział w kącie więzienia na zydlu, oparł głowę na rękach i nie słyszał mnie wchodzącego, snać w smutnych i frasobliwych myślach pogrążony, aż kiedy światło w oczy mu uderzyło. Porwał się szybko z miejsca i jakoby senliwym wzrokiem spoglądnąwszy na mnie, napowrót usiadł.

Mówię ja tedy do niego po niemiecku:

— Panie oficerze! Jesteś Waćpan pod moją strażą i wiesz, jaki los cię czeka. Ale choć nieprzyjaciel, jako oficer i kawaler mam sobie za obowiązek, oddać się Waćpanu na usługi i zapytać go, ażali czego nie potrzebujesz? Muszę pełnić moją służbę, wszak ją znasz Waćpan, bo sam służyłeś wojskowo. Czego regulament zakazuje, tego Waćpan odemnie wymagać nie będziesz, ale co w mojej mocy, a nie przeciw prawu, tego Waćpan, panie oficerze, wymagaj!

— Dziękuję ci, mości oficerze — rzecze on na to — snać dobre masz serce, za które niechaj Bóg ci płaci. Żądam tylko światła, papieru i pióra, bo wybierając się z tego świata, chciałbym się listownie pożegnać z osobami, które mi były najmilsze na ziemi.

Kazałem zaraz przynieść ordynansowi światło, papier i inkaust, a gdy spełnił mój rozkaz, tak znowu rzekłem do więźnia:

— Bądź Waćpan dobrej myśli, bo jeszcze jenerał nie konfirmował wyroku. Nie radzę ja Waćpanu łudzić się płochą nadzieją, ale zawsze kto to wie, czy się los nie zmieni. Jeżeli Waćpanu to nie

będzie dolegliwem, abym tu został i szczerej kompanji mu dotrzymywał, to się mu chętnie ofiaruję.

Rotnicki wdzięcznem sercem przyjął moją propozycję. Był blady i smutny, ale spokojny, i widać mu było z oczu, że się śmierci nie boi. Zapytałem go (mówiąc ciągle po niemiecku, bo wstyd mi jakoś było przyznawać się, żem Polak) z jakich okolic jest Rzeczypospolitej? Odpowiedział mi na to, że pochodzi z Sandomierskiego, gdzie rodzice jego do zamożnej należą szlachty, że cała familja jego oddawna była oddaną dynastji saskiej, że stryj, który jest jenerałlejtnantem w służbie tego kraju, wziął go z sobą do Drezna i patent na oficera mu wyrobił. Rotnicki przebywał kampanją ostatnią, a wziąwszy przed miesiącem urlop, chciał z regimentu swego najkrótszą drogą dostać się do Polski, ale schwytany przez pruskie forpoczty, fałszywie posądzony został o szpiegostwo i za to niewinnie ginąć musi. Wysłuchawszy tej opowieści, która mi serce krajała, wdałem się z nim w dalszą rozmowę, chcąc go pocieszyć, ile to w mojej mocy było — a im dłużej z nim rozmawiałem, tem bardziej żałość mnie ogarniała na widok nieszczęśliwego jeńca. Mimo tę rzewność moją, co mi rozpierała serce, nie zdradziłem się ani słówkiem, jako Polak jestem i katolik.

Naraz mówi on do mnie:

— Panie oficerze, jeśli wola, zostań tu i dalej, ale dyskurs nasz urwać chyba trzeba, bo pomodlić się muszę. Mam do śmierci dobę tylko jeszcze; czas najwyższy pojednać się z Bogiem i grzesznej duszy

ułatwić rozstanie z tem wszystkiem, co tu miłowała na ziemi!...

Na te słowa chciałem wyjść, ale coś mnie dziwnie trzymało na miejscu... Chciałem już całą noc dotrzymać towarzystwa Rotnickiemu. Cofnąłem się w drugi kąt izby i usiadłem. On zaś tymczasem wydobył z pod sukni ryngraf z wizerunkiem Najświętszej Panienki, ucałował go, postawił przed sobą na zydlu i ukląkłszy kornie, żarliwie i gorąco modlić się począł.

Na ten widok niewysłowiona żałość mnie porwała... Ośm lat minęło, jak sam nigdy prawie się nie modliłem, jak nie westchnąłem nawet do Matki Bożej, Królowej Polski. Ozwała się nagle we mnie stara wiara, w której urodziłem się i wzrosłem, przypomniały się z dziwną jakowąś siłą modlitwy, których matka mnie droga uczyła, gdym był jeszcze drobnem pacholęciem — i cały afekt ten religijny, który kiedyś gorzał w młodem sercu, na nowo duszę mi do głębi ogrzał, wyjaśnił i rozrzewnił.

Nie mogłem wstrzymać się już dłużej i płakać począłem jak dziecko, a rzuciwszy się na kolana, od długiego czasu pierwszy raz ze skruchą serdeczną modlić się począłem. Musiałem w tem rozczuleniu mojem i płaczu głośno zaszlochać, bo Rotnicki oglądnął się, a ujrzawszy mnie w tak kornej modlitwie, zbliżył się do mnie i tak się ozwał:

— Widzę, żeś Waćpan nabożny, i towarzyszysz mi w modłach moich. To mnie ośmiela, panie oficerze, prosić cię o zrobienie mi ważnej przysługi, której nie możesz odmówić człowiekowi, który tak

jak ja, już jest *in articulo mortis*. Nie chcę umierać bez pocieszenia kapłańskiego, proszę cię tedy, abyś mi przywołał księdza, bom katolik i po katolicku umrzeć pragnę.

Ścisnąłem go tylko za rękę, na znak, że jego wola jest mi rozkazem, i wybiegłem. Rozesłałem po miasteczku żołnierzy, by się wypytali, czy niema gdzie księdza. Ale było to w okolicy przez samych protestantów zamieszkałej, a najbliższy ksiądz katolicki, znajdował się po stronie polskiej, już w granicach Rzeczypospolitej. Polem i manowcami, nie trzymając się zwykłej drogi, za półtorej godziny można się było dostać do owej wioski polskiej.

Była to druga godzina po północy. Nie myśląc wiele, kazałem sobie dać dobrą informację i rezolwowałem się sam jechać po księdza. Poleciwszy strzec więźnia czujnie szyldwachom, kazałem wsiąść dwom dragonom na koń, trzeciego konia luzem przytroczyć dla księdza, i z takim pocztem sam galopem co koń wyskoczy ruszyłem za polską granicę, chcąc się sprawić szybko, aby przypadkiem ktoś z starszyzny nie zmiarkował, żem na hauptwachu nieobecny.

Po jednogodzinnej ostrej jeździe, stanęliśmy w wskazanej nam wiosce polskiej, a wziąwszy pierwszego lepszego chłopa z chaty, kazaliśmy się prowadzić na probostwo. Kazałem zsiąść jednemu dragonowi z konia i pójść za sobą do pomieszkania księdza. Zastukałem silnie do drzwi, a gdy nam otworzył zaspany i wystraszony widokiem zbrojnych

ludzi pachołek, krzyknąłem nań ostrym tonem, aby nas zawiódł do księdza.

Zastałem poważnego staruszka, który na odgłos naszych ostróg i szabel zbudził się już był ze snu i zapalił światło. Spieszno mi było bardzo; zdawało mi się, że mi się pod stopami pali; bo mnie strach zbierał na myśl, że pułkownik może się dowiedzieć, jakom straże opuścił; — to też nie tłumacząc księdzu, o co rzecz idzie, i dlaczego go potrzebuję, każę mu surowym głosem wstawać i ubierać się natychmiast. Mówiąc do niego, udawałem umyślnie Niemca, który tylko łamanym językiem po polsku mówi.

Ksiądz, widząc przed sobą dwóch żołnierzy, przerażony tym nocnym napadem, począł się zaraz ubierać, a ja, dając rozmaite oznaki niecierpliwości, nagliłem do pospiechu. Widząc, że się już ubrał, chwyciłem duże futro, które wisiało w izbie, i zarzucając je księdzu na ramiona, porwałem go za rękę, ciągnąc szybko za sobą i nieodpowiadając już ani słówkiem na jego pytania. Nim się porwany w ten sposób staruszek opamiętał z zdumienia i trwogi, już go dragoni posadzili na siodło, i biorąc go między siebie, pognali co konie wyskoczyć mogły za mną przez pola.

Wyjeżdżaliśmy już ze wsi, gdy ujrzałem naprzeciw siebie jakiegoś jeźdźca. Noc była bardzo jasna i pogodna, więc rozeznałem młodego człowieka, ubranego w burkę ciemną i w karmazynową czapkę pikowaną z kitą, jak to nosiła komputowa kawalerja polska. Jechał na pięknym koniu, a wyglądał dziel-

nie i dorodnie. Gdyśmy się zbliżyli, on zatrzymał konia i przypatrywać się nam bacznie począł. Snać poznał mundury pruskie i czegoś niedobrego się domyślał, bo nagle wysunął się naprzód i przykładając rękę do furdymentu szabli, zawołał głośno:

— Stój, kto jedzie!?

Na to ksiądz odezwał się nagle z pośród dragonów:

— Ratuj, kto może!

Ledwie ów człowiek te słowa usłyszał, kiedy wyrwawszy szablę z pochwy, odważnie i z impetem ku nam się zwrócił. Widząc, że będę miał przygodę, każę ja moim dragonom pędzić dalej z księdzem ku granicy, a sam podjeżdżam do owego junaka i wołam nań po niemiecku:

— Z drogi! bo po łbie weźmiesz!

Dragoni pomknęli szybko jak wicher z księdzem, a mój młody junak tymczasem sadzi wprost na mnie i woła:

— Hola, panie Niemiec! co to za gwałt na terytorjum Rzeczypospolitej! Aresztuję Waćpana!

I nuż się złoży na mnie szablą i natrze tak siarczyście, że gdybym był w tej chwili nie podchwycił cięcia, byłby mnie z konia zsadził. Nie na rękę mi była awantura, bo jak już powiedziałem, paliło mi się pod stopami od pośpiechu, chciałem tedy umknąć się na bok po tem pierwszem starciu i nie dać śmiałkowi okazji; ale on przyciera mnie po raz drugi i tym razem tnie tak zamaszyście po kapeluszu, że omal mi głowy nie rozpłatał.

Widzę, że gracz, i że mnie tak lekko nie puści,

ale i ja też nie fryc byłem na szable. Nie chcąc go jednak ranić, opędzam się tylko od jego gęstych i zamaszystych razów i odsadzam się bokiem, aby umknąć, zostawiwszy pana rycerza w czystem polu. Tymczasem trudna sprawa; pozbyć go się ani daj Boże! Daję nareszcie koniowi ostrogi, sadzę nań niby z okrutnym impetem, a gdy on z przyjęciem mnie czeka, ja go mijam i dalej w pole. Snać rozgniewało to do żywego młokosa, bo puścił się za mną i wołać począł:

— Poczekajże, ty szołdro pruski! Takiś ty żołnierz! uciekać umiesz tylko, heretycki oberwańcze!

Na takie *dictum acerbum* odezwała się krew we mnie; zapomniałem o *hauptwachu* i zaniedbanej służbie; i rozgniewany do żywego zwracam konia do napastnika. Kiedy ci się zachciało okazji — myślę sobie — to ją znajdziesz; poczekaj młokosie! Złożyliśmy się teraz naprawdę, a ja już gniewny nacieram na niego z impetem. Dobrze się bił młodzieniaszek i hardo się stawił, ale poznałem zaraz, że słabszy odemnie. Ochłódłem też po pierwszym ferworze i już nie godziłem na jego życie, tak jak to w pierwszej pasji uczynić już byłem gotów, ale zażywając osobnego szermierskiego fortelu, w którym mi nikt w całym pułku nie sprostał, wyrzuciłem mu szablę z ręki, że aż gwizdnęła w powietrzu, lecąc na ziemię. Chłopak nie stracił fantazji, lecz kładąc się szybko na koniu, odkrył olstry i sięgnął po pistolet, ale ja tymczasem odsadziłem się już na kilkadziesiąt kroków od niego i szalonym galopem pę-

dziłem ku granicy. Strzelił za mną niecnota, ale chybił, i na tem się skończyła ta mała przygoda.

Wkrótce stanąłem na odwachu, gdzie się dowiedziałem z pociechą, że nikt mojej nieobecności nie zmiarkował. Ksiądz, z którym dragoni jeszcze przed kwadransem przybyli, czekał już w kordegardzie, niepewny swego losu. Odetchnąwszy po forsownej jeździe, zaprowadziłem księdza do mego więźnia i zostawiłem ich samych. Dwie godziny minęło, a Rotnicki księdza od siebie nie puszczał; aż dopiero na doświtku dał mi znać żołnierz, że proszą, abym otworzył. Wypuściłem staruszka z celi, i widziałem, jak na jego poważnej twarzy malowały się żałość i smutek. Przystąpiłem do zacnego kapłana, którego w pośpiechu trwogi i niepokoju nabawiłem, i ucałowałem go w rękę, chcąc go przeprosić za doznaną przykrość. Dałem mu żołnierza, aby mu w miasteczku podwodę wyszukał do powrotu, a sam poszedłem do mego pokoju, i w dziwnym smutku siedziałem, bo mi ten biedny Rotnicki, czekający konfirmacji wyroku, z głowy i serca jakoś ustąpić nie chciał. Miało się już ku południowi, a jam jeszcze chodził po kwaterze wśród takich tęskliwych myśli, kiedy dał mi znać jeden z żołnierzy, że mój jeniec koniecznie pragnie mnie widzieć, i że uprasza mocno, abym przyszedł do więzienia. Nie dałem sobie tego dwa razy mówić, ale zaraz udałem się do jeńca. Rotnicki, obaczywszy mnie, porwał się z ławki, przystąpił do mnie, a ująwszy mnie za rękę, dziwnym jakimś wzrokiem w oczy mi po-

patrzył, jakoby chciał przeniknąć aż do duszy, i gdzieś aż do samej głębiny serca przemówić.

Ja spuściłem oczy, bo mi się jakoś przykro robiło pod tem spojrzeniem, takiem nieśmiałem, a pytającem, że aż za serce chwytało... On także milczał chwilę dobrą, aż nagle, jakby się zebrał na odwagę, tak do mnie rzecze:

— Panie oficerze, dałeś mi Waćpan już jeden dowód twojej dobroci, za który przyjm zapewnienie wdzięcznego afektu... Widzę ja, że Waćpan, choć żołnierz i nieprzyjaciel, masz serce dobre, i żeś mi chciał osłodzić według mocy te gorzkie, bo co wiedzieć? ażali nie ostatnie dni mego żywota. Ale widzę, żeś zafrasowany i smętny, panie oficerze, powiedźże otwarcie, czy może już nadeszła konfirmacja mego wyroku?... Powiedz, a zaraz i śmiało, wszak tu żołnierz z żołnierzem mówi, a śmierć to nasza dobra znajoma...

— Konfirmacji niema jeszcze — ozwę się na to — i mam to sobie za dobrą wróżbę, że jeszcze nie nadeszła, bo teraz to już łatwo stać się może, że Waćpana pardonować będą.

— Bóg to widzi, — mówił dalej Rotnicki — że mi nigdy śmierć nie była straszną, ale widzisz panie oficerze, między śmiercią a śmiercią bywa duża różnica. Bijałem ja się z wami nie raz i nie dwa razy; byłem w batalji niejednej; a gdy w żyłach krew zawrzała, to się nie pamiętało o kulach. Tak wśród boju, z szablą w ręku, z rycerskim animuszem, paść na placu, to śmierć piękna szlachcicowi; ale zginąć jak zbrodzień, dać siebie zastrzelić jak psa,

i to w młodym wieku, to rzecz inna, i nie będziesz się Waćpan dziwował, że biednemu sercu srodze markotno i rzewnie żegnać się ze światem.

Ja na to nic nie odpowiedziałem, ale żałość zdjęła mnie jeszcze większa, i jeno ściskałem rękę Rotnickiego.

— Ale ja tu Waćpana nie na to prosił, — mówił dalej Rotnicki — abym mu żale rozwodził moim lamentem. Doznałem od Waćpana dobroci; i to mnie skłania, że go jeszcze o jedną łaskę prosić będę; ale nie śmię, boję się nawet, bo jak Waćpan odmówisz, biednej mej duszy jeszcze żałośniej będzie w tym ciężkim terminie...

— Proszę mówić śmiało — odpowiedziałem — i ufać moim przyjaznym usługom. Uczynię wszystko, czego Waćpan żądać będziesz, a ja uczynić będę mógł z dobrem oficerskiem sumieniem.

— Choćby to nawet było przeciw regulamentom? — poderwał Rotnicki.

Zawahałem się na takową interogację i milczałem przez chwilę.

— W regulamentach różne bywają rygory — odpowiadam mu nareszcie — czasem człowiek oko jedno przymknąć może, a czasem oboma dobrze czuwać trzeba, aby nie zaryzykować gardła... Nie potrzebuję ja, zda się, mówić o tem Waćpanu, boś taki żołnierz jak ja, i oficer. Sztrofu małego się nie boję; a regulament już dziś w nocy złamałem, bom się z hauptwachu oddalił bez permisji i raportu. Słucham Waćpana, ale z taką nieśmiałością, z jaką mnie Waćpan prosisz, bo ja biedny żołnierz jestem,

z żołdu żyję, a ten złoty bandolet i te kordonki oficerskie, to Bóg widzi, i cała fortuna moja i cała przyszłość. Serce radeby niejedno, ale służba służbą, a w regulamentach o sercu niema mowy... Mów tedy Waćpan za wolą Bożą; będę mógł, to zrobię, a jak odmówię, to mi wierzaj, że to nie z braku ludzkości, ale z musu czynię

Rotnicki wysłuchał słów moich, nie odwracając odemnie oka i nie wypuszczając mojej ręki z dłoni, a naraz tak się odezwał:

— Panie oficerze, powiedz mi Waćpan, czy kochasz lub kochałeś kiedy?... Ale nie mówię tu ani o ojcu, ani o matce, ani o rodzeństwie, bo o takie wrodzone ludzkiej naturze afekta pytać się nie potrzeba...

Tak mnie tem pytaniem z obcesa zagadnął, żem nie wiedział, co mam odpowiedzieć, i patrzyłem na Rotnickiego w milczeniu, jakbym słów jego nie rozumiał. On zaś tymczasem tak dalej mówił:

— Jeżeli Waćpan kiedy czułeś, co to jest miłość prawdziwa, serdeczna, do kobiety, którą ci jakoby Bóg przysądził; jak ci to ona całą duszę opanuje i całem sercem zawładnie, że już nic droższego nie masz na ziemi, nad ową jedną dziewczynę — jeżeliś Waćpan tego doświadczył kiedy, to się ośmielę z mą prośbą, a jeśli nie, to mi wybacz, ale już milczeć wolę, niż darmo mówić, bo mnie chyba nie pożałujesz i nie zrozumiesz nigdy...

Skończywszy tę swoją mowę, a wiedzieć trzeba, że tę rzecz o miłości wywiódł tak pięknie i czule, iż mi tego ani powtórzyć choćby w zbliżeniu —

umilkł, i jeszcze przenikliwiej w oczy mi popatrzył. Skonsternował mnie niepomału Rotnicki; stałem jak malowany, i nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Człowiek zardzewiał w tem wojsku pruskiem, zdziczał na wojnie i w ustawicznym kampamencie; o miłosnych sentymentach sercu się i nie śniło, a o romansach żołnierskich już chyba nie wspominaj! Czasem tam jakieś piękne oczęta zagadały do biednego żołnierza, zaglądnęły głęboko, gdzieś aż na dno serca, i tęskno się robiło wtedy i rzewnie, i już się nieraz dusza wyraźnie rwała do owych oczął, a myśli dziwne się marzyły o jakiemś szczęściu nieznanem — ale trąbka zagrała na apel, zawołano *Marsch! Marsch!* i ot zostały za górami i lasami: i oczy piękne i budzący się afekt, i marzenie serdeczne, a człowiek szedł dalej za komendą i za twardą dolą żołnierską... Ale to nie była miłość, jeno jej pożądanie jakoweś tęskne a niewyraźne. Mimo to umiałem uczuć to, co mówił Rotnicki, i odpowiedziałem:

— Mów Waćpan, o co idzie, a może ja potrafię wyrozumieć szlachetność jego afektu...

— Boję się tylko, panie oficerze, — rzecze tedy Rotnicki — ażebyś tego nie wziął za romansową płochość, i jako stateczny człowiek nie zganił mi tego w tej ciężkiej chwili, w której się znajduję. Przyjdzie konfirmacja, czy nie przyjdzie, w ręku to Boskiem, ale zawsze już mi lepiej o śmierci myśleć, niż na łaskę się spuszczać. Z łaski Waćpana otrzymałem pocieszenie kapłańskie, a jeśli na to przyjdzie, aby już ginąć koniecznie, to ufam Bogu, że nie będę truchlał przed waszemi muszkietami, ale męż-

nie to przeniosę z potrójnej racji, żem katolik, żołnierz i szlachcic. Owo nie myśl Waćpan, że sobie lekkomyślnie i płocho poczynam. Pożegnałem ja się już ze wszystkiem, co mam na ziemi, a nie wstyd mi to wyznać, że mnie ta smętna waleta siła kosztuje, i że serce żałością wielką mi się krwawi. Ale niechajże będzie, jako wola Boża chce.

Ja mu nie przerywałem, ale milcząc, słuchałem z rzewnością w duszy, ściskając mu tylko rękę, on zaś tak dalej mi mówił:

— Wierzajże mi panie bracie i kolego, a tak cię nazwać się godzi, choć inny mundur nosisz i adwersarzem jesteś, boś szlachetny kawaler; wierzaj mi, że już się jako tako zrezolwowałem na śmierć, i pewniebym ciebie o nic już nie prosił, gdyby nie dziwny zbieg losu czyli raczej wola Opatrzności. Musisz wiedzieć panie oficerze, że miłuję nad życie pannę jedną zacnego domu, a miłuję ją kochaniem uczciwem i serdecznem, o! tak serdecznem i głębokiem, że kiedy wszystko, co ziemskie było, umiałem pożegnać, z tym afektem rozstać mi się niepodobna. Na świecie go nie zostawię, z duszą się on rwie, i śmierć go odebrać nie może. Spieszyłem do Polski, aby obaczyć i poślubić niebogę, kiedy mnie owo ta ciężka przygoda spotkała. Gdybyś ją kiedy widział i znał, panie oficerze, łacnobyś ty zrozumiał, czemu mi pamięć tej dziewczyny nawet i śmierć samą zasłania. Ale byłbym i to przeniósł przy pomocy Bożej, gdyby nie taka dziwna konstelacja. Gdy mnie schwytano przekradającego się przez wasze linje, nie wiedziałem nawet, w jakiej okolicy się znajduję

i czy daleko jestem od granic polskich. A musisz wiedzieć, że ta biedna panienka moja mieszka dwie mile tylko od granicy śląskiej, we włości swoich rodziców, która się zwie Zadębie. Owoż słuchaj mnie, panie oficerze, czy wiesz skąd mi przywiozłeś księdza?

Popatrzyłem się z zadziwieniem na Rotnickiego.

— Oto z Zadębia to był proboszcz, z tej samej wsi, gdzie najmilsza moja dzieweczka przebywa! Pytałem go się, co słychać tam we dworze, a on mi odpowiedział, jako mnie tam czekają od dawna, i jako panna moja od tęsknoty marnieje, gorzko się frasując mojem opóźnieniem. Próżno mnie czekać będzie, nieboga, próżno będzie rączki łamać, jedyna, sercem umiłowana moja panienka! Ani ona przeczuwa, nieszczęsna, co mi tu wola Boża sądzi!

Słowa te mówił Rotnicki z taką żałością i z takim afektem gorącym, że mi się serce padało od litości. Chciałem go pocieszyć, ale nie umiałem, bom nigdy niewymowny, kiedy mi coś w sercu przebiera.

Jeszczem nie skończył moich słów, któremi mu otuchy dodać chciałem, gdy on naraz tak do mnie z impetem zawoła:

— Panie oficerze! Ja się z nią muszę widzieć, nim mnie tu zastrzelicie!

Na takie *dictum* gwałtowne stanąłem jak skamieniały. Co począć i jak tu odpowiedzieć biednemu szaleńcowi? Milczę tedy, jak niemy, a on chwyta mię za ramię i woła:

— Czyś słyszał, Mości oficerze? Ja muszę się z nią widzieć raz jeszcze!

Mówię ja tedy smutno i łagodnie:

— Słyszę ja to dobrze i w sercu to mojem rozumiem, ale zreflektujże kochany panie...

Nie dał mi skończyć nawet.

— Człowieku, toż ty masz serce przecie! — zawołał. — Nie odmawiajże mi tego, na Boga cię zaklinam, i na ten twój afekt, który ci był kiedy najmilszym w życiu! Nie, panie kawalerze, już ty mi tego nie odmówisz, już ja to po twojej szlachetności widzę, że pofolgujesz mej prośbie! Wyjdę cało i z pardonem, to cię wynagrodzę, bom bogaty. Wszystko ci dam, co posiadam; w jednej koszuli zostanę. Nie wyjdę z życiem, toś ty mój dziedzic, i wszystko twoje po mojej śmierci!...

Zalterował mnie takiemi słowy i zadrasnął ambicję moją, więc mu na to odpowiedziałem:

— Biedny jestem, to prawda, a cała moja fortuna z chudego żołdu się składa, ale jam oficer i szlachcic, taki dobry jak kto inny, i nie przekupisz mnie Waćpan! Nie wiesz Waćpan w swej żałości, co mi proponujesz i jako mój honor oficerski na szwank narażasz! Ja mu to wybaczam chętnie, ale już słuchać tego dalej nie chcę.

Zacznie on mnie dopiero przepraszać, a eksplikować, a kląć się, jako najmniejszej złej myśli nie miał.

— Panie oficerze — tak rzecze — nie chcę ja tego, byś ty mnie puścił lub za pieniądze uciec dozwolił. O to Waćpana nie prosiłem, bo twojej zguby

nie chcę. Ale zróbże mi to, abym z tobą na godzinkę malutką do Zadębia pojechał, a daję ci słowo szlacheckie i oficerskie, że ci nie ucieknę i powrócę tu z tobą nazad. Niechaj ją raz jeszcze obaczę tylko, a lżej mi umierać będzie.

Pomyślałem chwilę i rzekłem:

— Czy Waćpan dajesz mi istotnie parol oficerski na to?

— Daję i przysięgam, aby mi tak Bóg dopomógł w ostatniej godzinie!

— Przysięgi nie wymagam, bo słowo szlacheckie i oficerskie mi starczy. Dajże mi Waćpan parol honorowy: *primo:* że tylko godzinę w Zadębiu zabawisz, *secundo:* że powrócisz na każde zawołanie moje tu na hauptwach; *tertio:* że ani wspomnisz twej pannie lub jej rodzicom, jaki cię tu los spotkał, jeno poprostu opowiesz, żeś zwykły jeniec wojenny i że ci dano permisję na jedną godzinę pod zaręczeniem honorowem.

— Daję parol na wszystko! — zawołał Rotnicki.

— Niechajże i tak będzie, jako chcesz, ale namyśleć się nad tem dobrze potrzebuję, jakby się z tem wszystkiem zręcznie i ostrożnie sprawić. Dajże mi Waćpan czas do namysłu.

Począłem tedy przechadzać się po izbie więziennej i dumać. Przychodziły rozmaite myśli, i strasznо mi się robiło mego przyrzeczenia. Wspomniałem na rygor wojskowy, na pana grafa Koggeritza, na surową karę, ba nawet na sromotną degradację i krygsrecht, które mnie czekają, jak mi ta sprawka

krzywo pójdzie. A tu znowu z drugiej strony serce mówi inaczej, i coś mi tak dziwnie szepta w duszy, abym pofolgował prośbie i jakem już przyrzekł, tak też i zrobił, że mnie już nie straszył ani oberszter, ani regulament. Chodzę tak i chodzę, dumam i dumam, ani naprzód, ani nazad; a tu mój Rotnicki oka ze mnie nie zwraca, a wciąż patrzy jak w tęczę, jakby chciał wyczytać z twarzy, co mi się w duszy gotuje.

— Ha, niechaj się dzieje wola Boża! — pomyślałem nareszcie — przypłacę za to własną skórą, to przypłacę; dam gardło, no to i tak raz mi je położyć trzeba; ale już ja jemu tego odmówić nie mogę i nie odmówię.

Zwracam się tedy do Rotnickiego i tak mu mówię:

— Panie bracie, już się rozmyślałem. Będziesz się Waćpan widział dziś z swoją panną, choćby tam i niewiedzieć co nastąpić miało!

Tak on dopiero wtedy rzuci mi się na szyję, a ściskać pocznie, a całować, a serdeczne dzięki i afekta wdzięczności wywodzić, jakbym mu ja życie darował i pardon z wolnością obwieścił. Gdy się nareszcie wyrwałem z jego objęć, rzekłem do niego:

— Słuchajże Waćpan, jak to uczynimy. Skoro się będzie miało ku zmierzchowi, przyszlę po ciebie dwóch dragonów, aby mi cię przystawili do ordynansowej izby mojej, niby dla jakiej inkwizycji. Konie dwa czekać już na nas będą, wsiądziemy i dalej w imię Boże pojedziemy do Zadębia. Ale pamiętaj — dodałem z uśmiechem — wieczerzy tam świą-

tecznej jeść Waćpan nie będziesz z twoją panną, bo już ja wiem, że u was Polaków w wigilją Bożego Narodzenia bywają wielkie wieczerze.

On się na to tęsknie uśmiechnął i znowu mnie czule uściskał, a ja wyszedłem też zaraz, aby przygotować wszystko jak należy. Jak było umówiono, tak się i stało. Skoro tylko zmierzch zapadać począł, przywiedziono mi na mój rozkaz więźnia. Przywołałem mego wachmajstra, zdałem na niego komendę straży i powiedziałem mu, że według rozkazu mam jeńca sam jeden odstawić do kwatery jenerała i że z nim powrócę za kilka godzin. Potem poleciłem się w duszy Bogu, i wsiadłszy z Rotnickim na koń, ruszyliśmy ku granicy.

Nim jeszcze puściliśmy konie pełnym pędem, tak rzekłem do Rotnickiego:

— Zważże teraz Waćpan, co ci raz jeszcze powiem. Dałeś parol oficerski i słowo, które wy, szlachta polska, pono sobie nad życie cenicie — jakże je złamiesz, a uciec zechcesz, pamiętaj, że oto z tych dwóch pistoletów jeden dla siebie, a jeden dla mnie. Ciebie może chybię, gdybyś uciekał, ale siebie nie spudłuję, bo to będzie moja jedyna ucieczka przed karą. Powrócę albo z tobą, albo już nie powrócę, na to przysięgam.

— Bądź spokojnym, panie oficerze, — odpowiedział mi na to — wolę ja śmierć, niż podłość; słowa mego dotrzymam i gotów będę do powrotu na każde twoje rozkazanie.

Gdyśmy minęli już miasteczko, dzięki Bogu, nie spotkawszy ani rontu, ani patrolu, ani nikogo

ze starszyzny, dopieroż się kopniemy wichrem, lecąc okrutnie, co tylko koniom i nam tchu stało. Ja znając już drogę z poprzedniej wyprawy po księdza, jechałem naprzód, on za mną. Tak mu zaufałem, że ani się oglądałem za nim; a gdyby był chciał, mógłby mnie zostawić, a sam umknąć, a jużbym go dostać był nie mógł, bośmy byli nie na pruskiem, ale na polskiem terytorjum.

Nie wiem, czy pięć kwadransów jechaliśmy nawet, gdyśmy się już znaleźli w Zadębiu. Dwór widno było zdaleka, bo stał na wzgórku w samym środku wsi, a z okazji tak uroczystej, jak wigilja Bożego Narodzenia, rzęsisto był oświetlony. Za kilka minut byliśmy już pode dworem; brama była otwarta, wpadliśmy na dziedziniec.

Rotnicki zeskoczył z konia i pyta mnie, jak teraz zrobimy: czy pójdziemy razem do środka lub nie?

— Idźże Waćpan sam, — odpowiadam mu — a ja tu chyba zostanę przy koniach. Daję Waćpanu jedną godzinę czasu i czekam go tu punktualnie na podwórzu.

Nie dał sobie Rotnicki dwa razy mówić, ale poskoczył szybko ku drzwiom, a ja zsiadłszy z konia i do słupa go na podwórzu upiąwszy, począłem przechadzać się po obszernem podwórzu, które samotne było i opuszczone, bo snać wszyscy domownicy gromadzili się już do wieczerzy. Chodząc tak, dziwne i rzewne miałem myśli i nie mogłem się oprzeć smutkowi...

Z podwórza widać było wieś całą, jak dokoła wiankiem chat otaczała dwór pański. Noc była

piękna, jasna i niemroźna, na niebieskim firmamencie poczęły pokazywać się jasne gwiazdy i mrugały swem światłem ku mnie smutnemu i żałosnemu... Z wszystkich chat połyskiwały światełka — i zdaleka wraz z pierwszą gwiazdą wieczorną ozwały się odgłosy wesołej kolendy...

Taka mnie owo wtedy opanowała rzewność tkliwa, taka tęsknica jakaś ciężka ścisnęła duszą i sercem, że mi się z oczu łzy wydobyły szczere... Przypomniały mi się nagle moje lata pacholęce, i owe czasy szczęśliwe wśród ukochanego rodzeństwa, i owo wesele serdeczne, z którem witałem zawsze uroczystość dzisiejszą, obserwowaną w domu mego ojca po starym, polskim zwyczaju... Stanęły mi przed duszą wszystkie umiłowane osoby, których tak długo nie widziałem, których już nigdy oglądać nie miałem nadziei, i rodzic mój kochany, i czuła dobrotliwa matka i brat Andruś i siostrzyczka Hania... A gdy do tego jeszcze przyszła i myśl, jako dziś na ojczystej stoję ziemi, od której mnie dzieliła twarda służba żołnierska może jeszcze na długo, może i na zawsze, to już żałości tej niewysłowionej i końca nie było...

Dumając tak rzewnie i chodząc tam i sam po podwórzu, zbliżyłem się do okien dworu, które były jasno oświetlone. Zaglądnąłem do nich i poznałem, że należały one do jadalnej komnaty, w której miała się odbywać wigilja. Jeszcze nie zasiadł nikt do stołu, który ustawiony był w podkowę i świątecznie przygotowany, ale już snać całe rodzeństwo domu i go-

ście i domownicy zgromadzili się w komnacie do opłatka, bo dużo w niej ludzi ujrzałem.

Przystąpiłem bliżej jeszcze do okna, twarz prawie doń przytykając, bo mnie to wszystko do siebie przyciągało jakąś niepohamowaną siłą; gdy nagle — Boże mój! tej chwili póki życia mego nie zapomnę! — tak niespodziewany i niesłychany widok mnie spotkał, żem od wielkiego zdumienia i nagłej i gwałtownej impresji omal nie padł jak nieżywy na ziemię...

Oto między zgromadzonemi w komnacie osobami poznałem najwyraźniej ojca mojego!...

Nie zmienił się na twarzy, jeno posiwiał i ku starości się pochylił. Czerstwy był jeszcze jednak i z oczu zdrowie i siła mu przeglądały. Patrzę dalej i widzę, tuż obok ojca kobietę już poważną, z włosami także szronem okrytemi, i poznaję w twarzy jej łagodnej najdroższe, słodkie owe, niezapomniane, w sercu wyryte rysy — rysy mej matki najlepszej...

W kącie komnaty widzę Rotnickiego, jak ująwszy dłoń jakiejś ślicznej panny, smętnie i czule z nią rozmawia. Było to dziewczę urody cudownej, z niebieskiemi jak szafir oczyma, z warkoczami jasnemi, z twarzyczką świeżą i hożą jak jagoda, a serdeczną i słodką jakby u aniołka... Wpatrzyłem się w nią całą siłą mego wzroku — i zdawało mi się, że serce mi pęknie od rzewności, bo to był żywy konterfekt mojej najmilszej siostrzyczki, owej Hani małej i nadobnej, którą dzieweczką drobną odjechałem!...

Stałem chwilę odurzony, zdrętwiały i jakby bez zmysłów. Nogi podemną drżały, serce mało się nie

rozparło od wzruszenia, oczy od łez i zdumienia mrokiem mi zaszły... Myślałem, że to sen na jawie, że to mara jakaś złudliwa, przywidzenie jakieś cudowne. Odstąpiłem od okna, aby się rozglądnąć dokoła, i obudzić się ze snu, jeśli to sen był tylko. Gdy tak trę czoło, i patrzę na podwórze, aby się opamiętać, widzę, jak jeden domownik wiedzie moje konie ku stajniom, a drugi idzie do mnie.

— Słuchaj Wasze! — zawołałem do sługi — kto w tym dworze mieszka?

— Pan Narwoj! — odpowiada.

— Kto taki? — pytam raz jeszcze, nie wierząc uszom moim.

On powtarza raz jeszcze nazwisko wyraźnie.

— Czy dawno tu mieszka już pan Narwoj? — pytałem dalej.

— Przed sześciu laty tu przybył. Wieś ta należała do pani podczaszyny Żołyńskiej, a ta przed śmiercią, lat temu siedem, zapisała ją panu Narwojowi, który był jej krewnym bliskim podobno.

Nie było tedy już żadnej wątpliwości. To nie był sen, ale prawda. Moja rodzina cała o kilka kroków była odemnie. Cudowne zrządzenie Opatrzności dozwoliło mi ją odnaleźć w niespodziewany i dziwny sposób! Ciągle jeszcze jakoby bezprzytomny nie sprzeciwiałem się temu, aby moje konie odprowadzono do stajni, bo w tej chwili zapomniałem o wszystkiem, o moim jeńcu, o hauptwachu, o panu oberszcie Koggeritzu...

Gdy tak stoję i daremnie chcę uspokoić biedne moje serce i w ład wprowadzić myśli, słyszę kroki

i widzę idącego ku mnie ojca mego wraz z Rotnickim. Nie poszedłem na ich spotkanie, stojąc na miejscu, jakby przybity do ziemi. Wtem ojciec mój zbliża się do mnie, bierze mnie za rękę i znanym mi tak dobrze głosem mówi:

— Panie oficerze! Przychodzę sam prosić Waćpana, byś raczył wstąpić w progi nasze i był nam gościem łaskawym, choćby i na krótko, bo JMC Pan Rotnicki opowiadał mi, że ma od Waćpana na godzinę tylko permisję. Instancjonowałbym ja u Waćpana bardzo o przedłużenie tak krótkiego terminu, ale nie wiem, czy Waćpan, panie oficerze, usłuchasz prośby mojej. Jeżeli już tak być musi, to odjedziecie za godzinę, ale teraz proszę serdecznie, nie odmawiaj mi Waszmość tej łaski, i bywaj nam gościem w ten święty wieczór.

Ja wysłuchałem tej mowy i odpowiadam tylko:

— *Versteh' nix!* — choć mi już z serca rwało się wyznanie, żem to ja Wit Narwoj, biedne, zbłąkane, zapomniane już może dziecko rodzone.

Na taką odpowiedź tłumaczy mi Rotnicki słowa mego ojca po niemiecku i mówi:

— Temu panu bardzoby przykro było, gdybyś Waćpan choć na chwilkę nie wstąpił. Nie bój się, panie oficerze, nie odwlecze to naszego odjazdu. Jestem ja mężczyzną, i dotrzymam parolu na każde skinienie twoje. Gdym do nich wpadł niespodzianie, mieli zasiadać właśnie do wieczerzy. Smutny ja gość — i nie na żarty j e d e n a s t y. Zastałem bowiem dziesięć osób, a ze mną jest teraz jedenaście. Możeś słyszał kiedy panie oficerze, że to *omen* u nas

niedobry, a tym razem *omen* ten, kto wie, ażali się nie sprawdzi. Prosi cię tedy JMCPan Narwoj, panie oficerze, abyś wstąpił na polski opłatek, i był d w u n a s t y m g o ś c i e m w domu.

Przyszedłem już nieco do siebie i ochłonąłem z pierwszej impresji. Nie porzuciłem jednak mojej maski, ale odpowiadam Rotnickiemu po niemiecku:

— Niechaj i tak będzie, kiedy tak chcecie, ale pamiętaj Waćpan na parol i bądź mi gotów na każdą komendę do powrotu.

I skłoniwszy się memu ojcu, poszedłem za nimi do dworu. Przyszedłszy do komnaty, w której zastawiono do wieczerzy, tak się czułem przejęty rzewnością niewysłowioną, a tak byłem tą całą irytacją serdeczną zmieszany, żem się ledwo dokoła ukłonił, a już na pierwszy lepszy stołek się zsunąłem, bom osłabł okrutnie. Tak siedziałem chwilę nieruchomy, patrząc tylko dużemi oczyma dokoła, jakbym się dopieroco ze snu ciężkiego obudził.

Tymczasem wszyscy, co byli w komnacie, patrzali na mnie zwyczajnie, jak na Niemczysko. Hania spoglądała na mnie ukradkiem, smutnem i niechętnem okiem, bo widziała we mnie strażnika swego narzeczonego, młodzi jacyś panowie podkręcali wąsików z junacka, mierząc mnie od ostróg aż do harbejtla — jedna tylko matka łagodnie i z grzecznym uśmiechem mnie powitała.

Naraz jeden z tych młodych ludzi, ubrany w mundurek namiestnika kawalerji komputowej, przystępuje do mnie, mierzy mnie z grzecznym, ale junackim uśmiechem i mówi:

— My się już znamy, Mości oficerze!

Patrzę na niego i widzę, że to ten sam junak, co mi tak dokuczył w mojej wyprawie po księdza. Wpatruję ja się w niego uważniej, i poznaję teraz dobrze, że to mój brat, ów Andruś, który dziś urósł już jak dąb i zrobił się chłop duży i mężny. Uśmiechnąłem się do niego tak samo, jak on do mnie i odrzekłem po swojemu:

— *Versteh' nix!*

— Waćpan dziś naszym gościem, tom mu rad — mówi dalej mój brat Andrzej, pokręcając ciągle wąsika — ale już tego przenieść nie mogę, aby Waćpanu przecie nie wymówić, żeś mi dziś rano nie całkiem czystym fortelem wyrzucił szablę z ręki!

Ja zaś znowu na to:

— *Versteh' nix!*

Wtedy Andrzej obraca się do Rotnickiego i mówi:

— Panie Justynie, powiedz, proszę, temu F e r s z t e n i k s o w i, że chociaż mu się ze mną udało, to jeno do razu sztuka, i że przecieżbym się nie bał pójść z nim raz jeszcze na gołe łby i spróbować się na pałasze!

Siedziałem dotąd spokojnie na krześle, a teraz powstałem i ozwałem się do Rotnickiego po niemiecku:

— Panie oficerze, a co z nami będzie?

On na to odszedł od swojej panny, a mojej siostry Hani, i odparł:

— Jeżeli taka wola Waćpana, to możemy jechać...

Widząc nasz ruch jakoby do odjazdu, Hania popatrzyła na mnie przez łezki, oczyma smutnemi, które zdały się błagać i gniewać odrazu. Podchwyciłem to spojrzenie, a Hania okryła się rumieńcem aż po uszka i spuściła oczy.

— Panie Rotnicki — mówię ja teraz — bądźże mi tłumaczem u tej pięknej panny. Markotno mi to jest bardzo, że nie mogę tak uczynić, jakby przystało grzecznemu kawalerowi, i że wołając Waćpana do odjazdu, serduszko zasmucam; ale już Waćpan sam poręczy, że inaczej nie można.

— Ha, kiedy inaczej być nie może — ozwał się teraz mój rodzic, widząc, że Rotnicki z Hanią się już żegna — to choć z ciężką aflikcją, zgodzić się na to trzeba. Zasmuciliście nam wieczerzę, Mościpanowie, i żałość zostawicie w sercu przy tak wesołej w chrześcijaństwie chwili. Jedźcież z Bogiem, ale choć opłatkiem się z nami przełamcie...

Jakoż wzięto się do opłatków i starym świętym zwyczajem obdzielano się nim nawzajem. Ja się cofnąłem w kąt i patrzyłem na to niby z miną Niemca, co tej ceremonji ani widział jeszcze, ani rozumie, ale w duszy robiło mi się coraz rzewniej, i czułem, że się przy tej komedji długo nie utrzymam. Kiedy tak patrzę, udając obojętność, a w oczach mokro mi się robi, widzę, jak matka moja droga idzie wprost ku mnie z opłatkiem.

— Panie oficerze — mówi do mnie — choć Waćpan cudzoziemiec i naszych zwyczajów nie znasz, przyjm opłatek odemnie z dobrem sercem i po polskiej gościnności...

Teraz już dłużej wytrzymać nie mogłem. Rzuciły mi się nagle z oczu łzy jak dziecku, zaciągnąłem się głośnym płaczem i rzuciwszy się na ziemię do nóg matki, począłem całować jej nogi.

— Matko moja! — zawołałem przerwanym od płaczu głosem — wszak to ja syn wasz, czyż mnie nie poznajesz!

Matka moja, która się zrazu była srodze przelękła tego dziwnego impetu, spojrzała na mnie takim wzrokiem, że go opisać nie potrafię, a nigdy nie zapomnę, i zawołała wielkim głosem:

— Wituś! Wituś! dziecko moje kochane, stracone!

Przybiegli zaraz wszyscy, aby matkę moją podtrzymać, bo zachwiała się na nogach, napół zemdlona od nagłego, a wielkiego rozczulenia. Ale choć sama mało nie upadła, mnie nie puściła, tylko trzymając głowę moją w swych dłoniach, całowała mnie ze łzami.

Co potem nastąpiło, tego wam już nie opiszę. Dopieroż zaczęli się wszyscy odrazu cisnąć do mnie: i ojciec i Hania i brat Andrzej i Rotnicki, a witać, a ściskać, a całować, a dziwić się, a rozpytywać, żem nie wiedział, kogo mam ująć w ramiona i komu odpowiadać. Byłoż tu wesela i serdecznego płaczu, i wykrzyków radośnych i wymówek i wzajemnego wynurzania czułych afektów!...

Kiedy się już trochę uciszyło, Rotnicki, figlarz, przystępuje do mnie i mówi służbisto i po niemiecku:

— Panie oficerze, a co z nami będzie? Czas jechać, godzina dawno już minęła!

— Ejże nie żartuj, szwagraszku — ozwałem się na to — bo parol twój mam, a jak cię za słowo wezmę, to co Hania powie?

Siostrzyczka Hania na to, jak stała za mną, tak mnie rączkami nadobnemi ująwszy, usta pocałunkiem zamknęła...

— Mości panowie! — zawołał tedy brat Andrzej, przystępując ku nam z kilku młodymi junakami w mundurach kawalerji komputowej — ja jako namiestnik chorągwi, biorę was w areszt obudwu, a zwłaszcza ciebie panie oficerze pruski, a to za przekroczenie granic Rzeczypospolitej. Wiedz Wasze, że jestem tu na ordynansie, i mam komendę ludzi, i nakaz surowy, abym pod animadwersją artykułów wojskowych strzegł granicy przed gwałtami waszych pruskich żołnierzy. Proszę Waćpana o szpadę!

Pomogła mu Hania, a nim się na odpowiedź zdobyłem, już mi moja droga siostrzyczka odpięła szpadę i Andrzejowi oddała. Zaraz też proszono, byśmy zasiedli do stołu, przy którym ja już byłem niespodziewanym d w u n a s t y m g o ś c i e m. Po wieczerzy dopieroż to było opowiadania i radości! Aż do mszy pasterskiej siedzieliśmy na tej wesołej gawędzie, a com wycierpiał przez tych lat ośm mej pruskiej służby, to mi zda się Bóg dobrotliwy wynagrodził tego dnia szczęściem serdecznem, słodką, a tak długo niezaznaną pieszczotą mej matki i całego rodzeństwa.

Już dzień dobry był, kiedy rzuciłem się ubrany na łoże, aby się przespać trochę; i owo miałem sen ciężki i groźny, jakby ostatnie przypomnienie mej

żołnierskiej niedoli. Śnił mi się pan oberster mój, graf Koggeritz, jak mnie przed nim schwytanego stawił patrol dragonów; śniły mi się kajdany i *krygsrecht* i cały straszliwy ów rygor artykułów wojennych... Obudziłem się oblany potem zimnym i przetarłem oczy w sennym lęku — a tu widzę słodki uśmiech mej matki, która siedziała u mego wezgłowia, i już mnie sama budzić chciała, tak się w tym śnie moim szamotałem i tak krzyczałem ustawicznie po niemiecku...

Byłem niespokojny, czy nie wyszlą Prusacy za mną pogoni za granicę, a łatwoby mnie tu byli znaleźli; — ale Andrzej, który podczas gdy spałem, podjechał był z swą komendą umyślnie na zwiady pod granicę, doniósł mi, jako cała chorągiew moja wskutek nagłego rozkazu wczoraj o północy jeszcze na łeb na szyję odmaszerowała w niewiadomym kierunku z owego miasteczka.

Tak się skończyła moja ośmioletnia wojaczka pruska, ale pan graf Koggeritz wyśnił mi się przecież, bo ano, co powiecie? żem się z nim spotkał jeszcze w dziesięć lat później w osobliwszej przygodzie, którą da Bóg, kiedyś wam także opowiem...

Taką to z dziwnego a miłościwego zrządzenia Opatrzności miałem wigilją *Anno Domini* 1760.

PRZYGODA W RADOMIU

...Owo tedy takim dziwnym sposobem, jak to już słyszeliście, dostałem się po ośmiu latach ciężkiej żołnierskiej tułaczki na ziemię ojczystą, pod rodzinną strzechę. Że mi tu dobrze było i słodko, że zaznałem wytchnienia i miłego wczasu, o tem już chyba mówić nie potrzebuję; choć sercu przyjemnie to bardzo, przypominać sobie te chwile, najszczęśliwsze pono, jakich zażyłem czasu żywota mego całego.

Musiałem ja się wyspowiadać do słówka z wszystkich przygód moich przed rodziną, która łakomą była opowieści z ust swego opłakanego już dawno członka. «Gadajże Wituś, a gadaj, jak to było, a kędyś się obracał, a jako ci się tam wiodło, a czegoś tam zaznał?» — tak nawoływano ciągle, a Wituś też bajał i bajał, bo miło jest duszy zwierzać się z przebytych przygód i frasunków przed osobami, co każdego słowa nie jeno uchem, ale jakby sercem chwytają.

Więc tedy na całą długą zimę starczyło tej mojej naracji. Toż jakby dziś jeszcze widzę, jak bywało zasiędziem szerokiem kołem przy kominie, rodzina i mili sąsiedzi — a ja im prawię o mojej aplikacji wojskowej, o regulamentach i artykułach, o kampa-

mentach i polowych obozach, o wielkich bataljach i drobnych potyczkach, w których się bywało, o królu Frycu, jako mnie pod Lowositz klepał po ramieniu, forsztelując pułkownikowi do rangi, gdym dwie armaty austrjackie jeszcze gorące wziął moim plutonem, o straszliwościach wojny i przeróżnych wypadkach żołnierskiego życia.

Tak ich przy tem ognisku wszystkich widzę, jakby tu byli przedemną, choć temu lat pięćdziesiąt z okładem: i matkę moją drogą, jak tuż koło mnie siedząc, oczu swych ze mnie nie zdejmuje ani na chwilę, i rodzica, jak słuchając, siwego wąsa pokręca, i Hanię przy krosnach, jednem uszkiem słuchającą mojej powieści, a drugiem słówek pana Rotnickiego, przyszłego szwagraszka mego. Toż gdym prawił tak rodzinie mojej, zdało mi się nieraz, że to, co im mówię, snem było tylko ciężkim, a nie prawdą; tak nagła a dziwna była ta zmiana losu mojego.

Blisko rok cały tak przesiedziałem w domu, nabywając znowu polskiego i szlacheckiego polerunku po pruskiej edukacji, zaprawiając sobie język do mowy ojczystej, którą sromotnie popsowałem w obcym narodzie. Nie myślałem w tym czasie o sobie, bo prawie nie było i kiedy. Zjeżdżała się codzień prawie z sąsiedztwa bracia szlachta patrzeć na mnie, jak na morskie dziwo jakie, a każdy wypytuje i ciągnie za język, abym mu też co z moich ciekawości opowiedział. Matka mi też o przyszłości ani słówkiem wspomnieć nie da, usta mi ręką zamyka i tłumaczy:

— Nie trudź ty sobie głowy, Witusiu, i nie frasuj się, jak dalej będzie, byleś wypoczął i pożywił się, bo cię z tej pruskiej żołnierki puszczono jak charta ze smyczy. Takiś ty jeszcze zaschły i znędzniały, że ci jeno siedzieć w domu, a zdrowia doglądać. Chleba nam Bogu dzięki dziś nie brak; nie zawadzasz nikomu, siedźże cicho, niech się tobą matka nacieszy, a nie ruszaj się nawet za próg aż po weselu Hani.

Tak mi matka perswaduje z serdecznej dobroci, ale rozum i ambicja inaczej znowu radzą. Wprawdzieć stan moich rodziców znacznie się polepszył z łaski bożej i z niespodziewanej przedśmiertnej hojności śp. JMĆ Pani podczaszyny Żołyńskiej; fortunka była wystarczająca na życie uczciwe, ale to nie racja była, abym ja, chłop już dojrzały i oficer, podpierać miał piece w domu i próżniacze wiódł życie. Nie było tam zresztą i takiej abundancji w rodzicielskim domu, ot wyraźnie tyle, ile na stanik poczciwy szlachecki przypada. Owo więc na serjo myśleć trzeba było o sobie i szukać zawczasu przyzwoitego opatrzenia.

Już to otwarcie przyznać się muszę, że mi się nieco markotno zrobiło, gdym tak poważnie i gruntownie o własnej przyszłości pomyślał. «Nosiłeś bracie kości po obczyźnie, mówiłem sam do siebie, trzeci krzyżyk ci dobiega, a oprócz rzemiosła żołnierskiego nic nie umiesz i do niczegoś nie sposobny. Zaczynajże teraz nieboże od początku i przegryzaj się przez świat, jako mógł będziesz». Frasowało mnie to bardzo i nieraz sen w nocy spędzało z powiek, ale cze-

kałem jeszcze z ostateczną decyzją, aż siostrę wydadzą i w domu się już uspokoi.

Zaraz też po weselu uprosiłem ojca na konferencję i zwierzyłem się przed nim, że myślę zakierować jakoś sobą i że proszę go o rodzicielską radę. Proponował mi ojciec, abym przy roli został i wraz z bratem Andrzejem na rodzinnym zagonie osiadł, a już innego chleba nie szukał w świecie. Nie mogłem być powolny tej woli ojca, która raczej z serca niż z rozwagi płynęła, bo ano coby ze mnie był za gospodarz? Człek znał się tylko na koniu i na broni, na egzercerunku i na artykułach wojskowych, a lichoć tam z gospodarza, co się w obozie chował, a całą ekonomję na tem zasadzał, że pszenicę od żyta, zbliska bardzo opatrzywszy, odróżnić umiał. Dziękuję ja tedy ojcu pokornie za jego dobroć dla mnie i mówię:

— Nie usiedzę ja już chyba na grzędzie, a choćbym i usiedział, z kiepska po dragońsku będę gospodarzył. Nie chcę być zawadą ani tobie, panie ojcze dobrodzieju, ani Andrzejowi, a chleb też darmo jeść i bohaterstwa pruskie sobie wspominać, sąsiadów niemi bawiąc, nie przystoi mi wcale. Czegom już raz nadgryzł, niechże sobie tego dogryzam dalej. Żołnierkę to już rozumiem, i ta mi sprawnie idzie, bo mnie w niej dobrze Niemcy ćwiczyli, niechaj tedy ona mnie nadal żywi i opatruje. Alboż to w naszej Rzeczypospolitej żołnierz już nie znajdzie miejsca w szeregu? na biedęby to było, gdybym w własnym, rycerskim kraju nie miał tego, com miał pod cudzemi znaki! Nie żądam niczego od was, bo sami niewiele

macie; jeśli mnie łaska wasza cząstką jaką fortunki opatrzyć chciała, to się jej zrzekam i na augmentację Haninej oprawy przeznaczam. Mam moje małe porządki żołnierskie, trochę też i talarów znajdzie się w ładownicy, co się tam uciułało z żołdu; umiem przestać na małem, bom się tego miał czas przyuczyć, a oficerską rangę wykołatam już sobie jakoś. Dajcież wy mi tylko błogosławieństwo wasze, a będę dobrze opatrzony...

Certowali się ze mną o to długo: i ojciec i matka i brat Andrzej, doradzając, abym już żołnierkę moją zawiesił na kołku, jako to teraz w Polsce chleb niewdzięczny, i jako dobrego wakansu nie znajdę.

— Części twojej w tem, czem nas Bóg obdarzył — mówił ojciec — ty się nie odrzekaj, boś nam żadnym ciężarem nie jest, a jeno to sobie weźmiesz, co ci się jako krwi naszej po ludzkiem i Bożem prawie należy. Wy sobie z Andrzejem siedźcie na Zadębiu, nam starym opatrzenie dożywotnie obmyślawszy. Połowa Zadębia twoja, a połowa Andrzeja; Hania niczego już nie potrzebuje, bo oprawę już dostała, jako na szlacheckie dziecko wedle uczciwości stanu przystoi; a Rotnicki nie brał jej dla fortuny, bo jest bogaty i sto razyby nas kupił, a jeszcze dworno żyć z czegoby mu zostało.

— Kiedy już koniecznie sługiwać chcesz dalej w rycerskiem rzemiośle — ozwał się brat Andrzej — to podjeżdżaj pod chorągiew pancerną. Tyle grosza znajdzie się w domu, abyś się wkupił w towarzystwo i stawił na rejestr, czego żądać będą. W cho-

rągwi JW. p. Hetmana Polnego jest właśnie wakancja, bo Towarzysz JMC. pan Pożarko chce ustąpić z towarzystwa. Jakoś to będzie z większą estymą i zachowaniem u ludzi, kiedy będziesz Towarzyszem, a stać cię na to. Jako patentowany oficer pruskiego króla niedługo, a będziesz namiestnikiem, a kto wie, czy nie chorążym, a to już ranga i splendor rycerski niemały.

Rada w radę stanęło przecie na tem, że czy tu czy tam, ale zawsze wojskowo służyć będę. Zrobiliśmy tranzakcję z Andrzejem o spłatę mojej części Zadębia, przyczem serdecznej kłótni i braterskiego certowania się było coniemiara, bo mi więcej dawał i wziąć zmuszał, niźlim ja wziąć chciał. Narzucił mi wkońcu Andruś sumę jak dla mnie bardzo znaczną — i część zaraz w gotowiźnie wypłacił, abym zapaśniej w świat mógł wyruszyć.

Gdyśmy już takową tranzakcję familijną spisali, chciałem się natychmiast wybrać do Warszawy, aby wcześnie pochwycić jaki wakans w wojsku i zaprezentować się Hetmanowi, a jak dobrze pójdzie i samemu Królowi Jegomości. Powstrzymali mnie od tego ojciec i Andrzej, radząc, abym zaczekał dni kilka, bo niebawem przyjedzie do Zadębia JMC. pan Pożarko, Towarzysz chorągwi pancernej Hetmana Polnego, którego chorągiew wysłała jako deputata do egzakcji. Wstrzymałem się z wyjazdem dość ochotnie, bo mi ta myśl wdzięczna była, że po tylu latach obcej służby przecież pod staropolskim, rycerskim i jak mawiano poważnym znakiem służyć będę, i że się zatytułuję Towarzyszem Pana Hetmana.

Jakoż istotnie w tydzień potem przyjechał Imć pan Pożarko, towarzysz pancernej chorągwi i deputat do egzakcji. Ledwie wjechał na podwórzec, już zaraz na pierwszy widok jego pomyślałem, że to nie dla mnie, chudopachołka, rzecz piąć się do towarzystwa. Zajechał ładnym karabanem i z dwoma pachołkami, z koniem wierzchowym u troku, który okryty był kutanem pomarańczowym tkanym. Sam był ubrany w kosztowny żupan, przy boku miał szablę, bogato oprawną, i sajdak z szczerego srebra, na plecach najprzedniejszą burkę krymską, podbitą pięknym atłasem niebieskim.

Przyjmowaliśmy go w domu z wielką rewerencją, jak to na Towarzysza pancernego znaku przystało, a Andrzej zaraz mu wypłacił podatek, który z naszej wsi na chorągiew jego przypadał. Dwa dni zabawił u nas pan Towarzysz, a przez ten czas miałem sposobność zasięgnąć dobrych informacyj o służbie w chorągwi. Aż mi się straszno zrobiło takiej szalonej imprezy, której mi ojciec i Andrzej chyba na to doradzali, aby mnie już od wojska chyba na zawsze odwieść i na roli osadzić.

Nie wiedziałem ja tego, w Polsce bardziej cudzoziemcem niż swojakiem będąc, co to za wielki panicz bywał taki każdy Towarzysz i jakie pod chorągwią rządziły zwyczaje. Zdawało mi się, że u nas tak, jak gdzieindziej: wojsko wojskiem, a żołnierz żołnierzem, a nie jakowymś dostojnikiem wielkiej i pańskiej powagi. Śmiał się też ze mnie prosto w oczy pan Pożarko, gdy się z nim w dyskurs wdałem.

— Panie deputacie — mówię mu — chciałbym podjechać pod chorągiew, bo mi to radzą pan ojciec i brat Andrzej.

— Bardzo Waćpanu pochwalam taką ochotę — odparł p. Pożarko — a właśnie dobra ku temu nadarza się okazja. Jest wakancja na jednego Towarzysza w chorągwi naszej, możesz Waćpan tedy wykonać swój zamiar.

— A jakże się tam dostać? — pytam.

— Dla Waćpana rzecz to nie będzie zbyt trudna, boś już i wojskowy i z zacnego szlacheckiego domu pochodzisz. Cała rzecz p. Hetmanowi się przymówić, dać się towarzystwu zaprezentować, a potem coś na regestr stawić...

— A ileżby to potrzeba stawić na regestr towarzyski?

— Niewiele, — odparł p. Pożarko — za jakie 300 czerwonych mógłbyś Waćpan pod znak podjechać — to prawie za pół darmo...

— A ileż taki towarzysz żołdu pobiera? — zapytałem.

Uśmiechnął się na to zapytanie p. Pożarko i rzecze:

— Już to znać zaraz, że Waszmość w Polsce nie bywały, i że z niemiecka rzecz tę konsyderujesz. Bierzeć tam jakąś laffę towarzysz, ale o niej się nawet nie mówi, bo to przy chorągwi zostaje. Masz Waćpan wiedzieć, że towarzysz nie dla żołdu, a dla honoru rycerskiego służy. To też towarzysz sowity nietylko, że o nędzną laffę nie stoi, ale jeszcze płacić musi swemu pocztowemu, bo kiedy służysz pod

chorągwią z prezencją, to masz Waćpan wystawić jednego pocztowego, a kiedy bez prezencji, to dwóch i to z końmi i z całym moderunkiem.

— Masz tobie towarzystwo! — pomyślałem sobie, a potem tak dalej pytam JMć Pana Pożarki:

— A jakowyż u was awans pod chorągwią?

— Jako towarzysz z młodszego końca o awansie Waszmość i nie myśl nawet, — odpowiada mi na to — chyba, żeby cię zczasem namiestnikiem w chorągwi obrano. Co wiedzieć zresztą, jeśli Waszmość ustawnie z aktualną rezydencją służyć zechcesz, to być może, że kiedyś i chorągiew nosić będziesz. Ale na co Towarzyszowi awansu, kiedy to splendor znakomity i powaga dostojna sama przez się...

— A któż wam rozkazywać ma prawo, Mości panowie? — pytam dalej.

— Rozkazujemy sami sobie, po szlacheckiej i rycerskiej równości.

Takiego wojska ja nie widziałem jeszcze, gdzieby człowiek sam sobie był starszyzną i komendantem, więc też wypatrzyłem się na p. Pożarkę dużemi oczyma, a on w śmiech, i ojciec mu mój wraz z Andrzejem w śmiechu tym sekundują. Nareszcie rzecze p. Towarzysz.

— Nie bądźże Waćpan krzyw za to, że się śmieję; ale Waćpan na obcej ziemi i pod tyrańskiemi rządy wzrosły, nie znasz naszych rycerskich zwyczajów polskich. Wiedzże Waćpan, że powaga każdego Towarzysza tak jest wielką, iż on drugim rozkazywać i przewodzić przywykł, a nie drudzy jemu.

Towarzysz nie służy pod nikim, jak to już samo jego nazwanie okazuje; nie służy pod Królem Jegomością, pod panem Hetmanem, ale z Królem Jegomością i z panem Hetmanem. Na to on i towarzysz. Jakoż, jeśli o starszeństwo chodzi, to towarzysz starszym jest od wszelakiego oficera innych autoramentów, starszy nawet od pułkownika, który nawet z całym swym regimentem pójść może pod komendę towarzysza.

— A jakież u was regulamenta?

— Jakie regulamenta? My mamy nasze artykuły na wojnie tylko, a o żadnych niemieckich regulamentach nic i wiedzieć nie chcemy.

— A jakoważ komenda i egzercerunek?

— Te wasze szarżerunki, egzercerunki, regulamenty i krygsrechty to dobre jest dla żołnierza nieszlacheckiej kondycji, i znajdziesz to Waćpan wszystko w Polsce tylko przy wojsku cudzoziemskiego autoramentu, ale nie pod chorągwią. Chcesz Waćpan wiedzieć, jaka u nas komenda, to ci to w dwóch słowach wyłożę: Pierwsze tempo: Nabij! drugie tempo: Zabij! Owo masz Waćpan komendę pancernego znaku!

— Nabij! Zabij! — powtórzyłem w duchu. — A no, chciałbym cię widzieć tak w regularnej batalji, biedybyś zjadł, czybyś ty nabiwszy, zabił też kogo!

Po takim egzaminie wybiłem sobie z głowy podjeżdżanie pod znaki poważne, widząc, że to zabawa rycerska nie dla mnie, ale dla wielkich panów i magnatów. A zresztą, gdyby mię i stać na to było,

to jużem ja w innej podchował się szkole i innej żołnierki był zwykły, aby się do tej swobodnej i butnej zabawy przydać. I przypomniało mi się naraz, jak to mój oberszter, pan Koggeritz, kiedy który z oficerów subordynacji ściśle nie chował, w adjustunku jaką fanaberję okazywał, i fantazją swoją się rządził, takiemi słowy go karcił:

— Nauczę ja cię porządku, *du polnischer Towarisch!*

Zadumałem się tedy z frasunkiem i pytam po chwili p. Pożarki:

— Rozumiem ja teraz Waćpana, panie towarzyszu, i nie dla mnie to chudopachołka taka zuchwała impreza, podjeżdżać pod znak pancerny albo husarski. Ale powiedzże mi Waćpan, czyż już dla ubogiej krwi szlacheckiej niema w Polsce sposobu służyć rycersko? bom się Waszą tą opowieścią o znakach pancernych niepomału skonsternował.

— Masz Waćpan jeszcze wiele innych pułków, w których uczciwy szlachcic służyć może wojskowo Rzeczypospolitej. Masz Waćpan lekką kawalerję i jazdę przedniej straży, a skoro ci się takiej samej niewoli zachciewa, jakiej Waćpan zażyłeś pod komendą pruską, to ją znajdziesz i tutaj w pułkach cudzoziemskiego autoramentu.

— Jadę ja tedy do Warszawy, jako mowa była, panie ojcze! — mówię do mego rodzica i do Andrzeja.

— Jeżeli Waćpan chcesz jechać za wakansem jakim wojskowym, — ozwał się na to p. Pożarko — to mu nie radzę jechać teraz do Warszawy, ale do

Radomia, bo tam teraz właśnie odbywa się komisja. Na radomskiej komisji prędzej co zrobisz, niż w Warszawie.

— A co to jest? ta radomska komisja? Powiedzcież mi, bo widzę już, że na to przyszło, iż ja cudzoziemcem jestem w własnym kraju.

— Jest to trybunał do spraw wojskowych i skarbowych. Znajdziesz Waćpan tam mnóstwo oficerów polskiego i cudzoziemskiego autoramentu, bo na komisję tę każdy regiment i każda chorągiew wysyła swego plenipotenta. Tam się załatwiają rozmaite sprawy wojskowe, toż tam najłatwiej się dowiesz Waćpan, gdzie jaki wakans, lub kto ma jaki stopień do sprzedania.

Nie mogąc na mnie tego wymóc żadnym kształtem, abym zaniechał moich żołnierskich intencyj, zgodzili się wkońcu na radę p. Pożarki ojciec mój i Andrzej, to też zdecydowałem się jechać zaraz do Radomia i szukać tam opatrzenia. Zabrawszy tedy z sobą patenta moje pruskie, wyjechałem w kilka dni do Radomia.

Odbyłem podróż konno (bo mi Andrzej podarował dwa dzielne konie własnego swego chowu), a pachołek wiózł za mną w małej kałamaszce wszystko, co mi do drogi potrzebnem było. Kiedy stanąłem w Radomiu, już się komisja od tygodnia była rozpoczęła, a zaraz na samym wjeździe do mieściny spotkałem mnóstwo oficerów rozmaitej broni i rozmaitego autoramentu, kręcących się tam i sam to po ulicach, to koło zamku, w którym trybunał zasiadał.

Zjazd był wielki, a mieścina bardzo mała; w gospodach ścisk taki, że i szpilkibyś już nie wetknął nigdzie; prywatne stancje zajęte przez pp. komisarzów i plenipotentów — zgoła kłopot wielki, gdzie się pomieścić z końmi i z pachołkiem. Nareszcie żydek jakowyś wynalazł mi kwaterę na Jedlińskiem przedmieściu, w małej i starej chałupinie jakiegoś szewca — i tam się też roztasowałem, jak można było. Szukając kwatery po miasteczku, zauważałem, że mało kto prócz palestrantów chodził nie po wojskowemu, i że kędyś spojrzał, wszędy się przewijały mundury, a między niemi też i cudzoziemskie — to też z tej racji i ja umyśliłem ubrać się w mój dawny mundur pruski, który na wszelki wypadek kazałem był zapakować do tłumoka.

Wstąpiłem tedy do balwierza i kazawszy się gładko ostrzyc, bo już nie było czasu dać sobie harcop upleść po przepisie, ubrałem się w mój niebieski mundur z ponsowemi ranwersami, w sztylpy z ostrogami, przypasałem szpadę, wziąłem kapelusz i dragońskie rękawice z karwaszami — i tak z dobrą miną wyszedłem do miasta, aby się rozpatrzyć i zasięgnąć języka. Kędy spojrzeć było, wszędzie przewijały się najrozmaitsze mundury, to autoramentu cudzoziemskiego, to poważnego znaku, nawet i generałów nie brakło, choć to już byli tylko generałowie od pustego regimentu, jak to ongi nazywano, to jest tacy, co za jakimś tam uproszonym patencikiem ubierali się w czerwone fraki z grubemi złotemi szlify, a nie komenderowali nigdy i nikim, chyba przy pełnej butelce lub w gronie gospodowych konwersantów...

Nigdziem się tak dobrze nie przekonał, jako prawdą najrzetelniejszą było ono stare przysłowie polskie: «d w a d r a g a n y a c z t e r y k a p i t a n y», jak tu na tej radomskiej komisji. Kiedym był jeszcze w służbie pruskiej, dziwiłem się nieraz, że w każdem niemal wielkiem mieście po gospodach spotykałem czerwone kurty i złote bandolety, a każdy co w nich chodził, zwał siebie polskim oficerem. Prawdać najczęściej taki pan oficer polski i słówka po polsku nie umiał, ale patent miał, jako należy, i oficerem polskiego króla Jego Mości się tytułował. Najczęściej bywali to Włosi, ludzie nie najczystszej konduity, kartownicy, a z gęsta i pospolite szalbierze, co sobie w Dreźnie lub Warszawie jakiemiś praktyki wyrobili tytuł wojskowy, nigdy prochu nie wąchawszy, a nawet szeregu nie widziawszy.

Im dalej w las, tem gęściej drzew — toż w samej Polsce tyle tych oficerów widzieć było można, że gdyby na jednego choć tuzin pocztowych przypadał, w całym chrześcijańskim świecie nie byłoby takiej okrutnej wojskowej potencji, jako ta nasza Rzeczpospolita biedna. Ano tymczasem przeciwnie to było. Oficera huk, a żołnierza niemasz, szlif i felcechów jako gwiazd na niebie, a muszkieta ledwo na pokaz; chorągiew od srogiej biedy ledwo pokryta, na półkopie szkap mizernych stoi, a ma sztab i untersztab cały; w regimencie pieszym, co ledwie stu muszkietami sterczy, tuzin generałów, brygadjerów i oberszterów. Owo ten pan generał amplojowany, ten nie amplojowany, ten forsztelowany, ten nie forsztelowany, ten sobie pułkownikiem bez

pułku, a ów kapitanem bez kompanji, ten agreże, ten tytularny, ów ledwo że sobie samemu jest komendantem, konia niema, a chyba na papierze i na rangliście jeździ! Dajże ty takiemu oficerowi szponton do ręki, ani go wziąć nie umie, ledwie że felcechem opasywać żebra jako tako potrafi, i salutę zna, gdy mu warta broń skweruje!

Rozmyślając sobie tak markotno nad takim mizernym stanem polskiej broni, szedłem ulicą ku zamkowi i pytam po drodze jakiegoś młodego palestranta, gdzie się oficerowie schodzą i gdziebym się mógł z nimi skomunikować?

— Idź Waćpan, panie oficerze, do zamku — mówi mi zapytany — tam w lewej oficynie jest winiarnia Mursza, a tam Waćpan całe towarzystwo znajdziesz... A gdybyś tam Waćpan nie znalazł jeszcze którego z panów oficerów, to sadź już Waćpan napewno i jak w dym do pana majora Sabi, a znajdziesz go tam Waćpan przy tryszaku albo przy m a k a o.

Podziękowałem palestrantowi i poszedłem do winiarni Mursza. Ledwie drzwi odchyliłem i rozglądnąłem się po pokoju, w którym wśród ogromnego hałasu krzepili się winem oficerowie najrozmaitszej broni, aż tu nagle słyszę wołanie z drugiego końca izby:

— Hola! Narwoj k a m e r a d, a ty tu co robisz!?

Patrzę zdziwiony, ktoby mnie znajomy wołał i ku niemałej uciesze mojej poznaję kapitana Deibla. Był zaś ten Deibel de Hammerau szlachcicem sa-

skim, ale już w Polsce zrodzonym i podczas ostatniej wojny poszedł na ochotnika jako sztucjunker do artylerji saskiej. W bitwie pod Leuthen, atakując baterję, sam go do niewoli wziąłem, — a że był chłop szczery i serdeczny i po dobrej połowie rodak, więc mu jako jeńcowi niejedną dobrą usługę oddałem i przyjaźń jego sobie zaskarbiłem. Ujrzawszy mnie tedy, a zdziwiony, żem tu w Radomiu spadł jakby z nieba w całym pruskim moderunku, rzucił mi się w ramiona i począł mnie ściskać i całować z wielkim afektem.

Jakoś mi się już weselej zrobiło, gdym dobrego znajomego spotkał i zaraz się do Deibla i jego towarzyszy przysiadłem; a był tam z nim i Curtius, Hanowerczyk, ten sam, co później był pułkownikiem regimentu pieszego pod szefostwem p. Pułaskiego, i Wedelsztedt, który właśnie wstępywał do wojska. Deibel, że był bardzo zdolny żołnierz i na wojnie się nieraz odznaczył, nim go od dymiącej się jeszcze armaty jeńcem chwyciłem i że miał łaskę u dworu i protekcję, został kapitanem bez opłaty i szedł do Kamieńca Podolskiego, gdzie się znajdował jego regiment artylerji.

Stanął na stole węgrzyn, o którym pan Mursz na honor przysięgał, że Tokaj widział, i zaczęła się pogadanka, w której ja z moich zamiarów się spowiadając, zasięgałem rady i objaśnień, jak mi postąpić należy. Wedelsztedt powiada mi, że właśnie kupił sobie kompanję i że zapłacił za nią 12.000 złotych, bo i plac chorążego musiał opłacać przedtem, gdyż mu tak odrazu na kapitanję skoczyć nie po-

zwolono. Ucieszyłem się, że ceny nie przesadne i że choćbym był zmuszony rangę kupić, toby mi to mieszka tak srodze nie poderwało — ale mnie Deibel praw i zwyczajów wojskowych w Polsce *perfecte* świadom, wnet w tej wesołości umitygował, tak mi tłumacząc:

— Nie baw się ty bracie nadzieją bezpłatnego wakansu, bo o to chodzić trzeba przykremi drogami, a tak długo, że cię ochota minie. A choć nakoniec jakiej wakancji dopadniesz, to ci się to na nic nie przyda, bo będzie to zapewnie jakowaś ranga od «pustego regimentu». Byłeś ty, panie kamracie, w innem wojsku i inaczej się na ten stan patrzysz, abyś miał być oficerem od słomianego pułku. Radzę tedy, nie czekaj, nie chodź i nie suplikuj, a kup. Potem jeszcze będziesz miał czas prosić, gdy awansować zechcesz. Co zaś do ceny, to nie bierz tego za miarę, co Wedelsztedt zapłacił, bo najpierw Wedelsztedt trafił na kapitana, co sprzedać musiał jak najprędzej, a powtóre, bo rangi w piechocie tańsze są niż w kawalerji, a ty podobno już z koniem się nie rozstaniesz. Owo masz tedy wiedzieć, panie bracie, że stopnie teraz są droższe niż kiedykolwiek bywały, a to z takiej racji, że sejm ma wojsko lepiej opatrzyć i laffę hojniejszą obmyśleć. Dawniej szefostwo pułku 180.000 zł. kosztowało, i to już bardzo słono było, a teraz książę Józef Lubomirski za szefostwo piątego pułku przedniej straży dał 270.000, a jeszcze mu kazano szwadronowego dorzucić całych 16.000. Pan Karwicki za szefostwo pierwszego pułku kawalerji lekkiej imienia królowej wysypał na stół 10.000

dukatów, jakby orzechów. A z mniejszemi rangami przy zachowaniu proporcji takoż nie inaczej. Ja sam stargowałem przed dwoma laty dla jednego z mych znajomych podpułkownikowstwo za 42.000 zł. i to w trzecim pułku Buławy Polnej, a teraz za nędzne rotmistrzowstwo trzeba stawić 30.000. Bądź więc na to wyperswadowanym, a patrz jeszcze, by cię nie oszukano, bobyś ty sobie łatwiej braciszku dał radę na jarmarku końskim, niż na tym targu złotych bandoletów...

— Powiedzże mi, kapitanie, — rzekłem do Deibla — jak się tu dowiedzieć o jakim stopniu rotmistrzowskim, co jest do sprzedania, bobym już kupił sobie szwadron? Dzięki Bogu stać mię na to.

— Jest tu — rzecze na to p. Deibel — faktor wojskowy, czyli jako się sam zwie «rotmajster i agent militarny wszelkich najjaśniejszych dworów europejskich». Nazywa się Borawka, a jakim on tam jest rotmajstrem, to ja już tego nie wiem, podobno tego mocarstwa na mapie nie znaleźć, do którego armji onby należał. Ale to pewna, że bez niego rady sobie nie dasz, chyba, żebyś czekał na jaką szczęśliwą okazję, a na to spuszczać się trudno. Bądźże ty tylko na ostrożności, kiedy z tym Borawką traktować będziesz, bo to szachraj jest i niecnota, lis szczwany, i niejednego już wywiódł w pole.

Ledwie tych słów domówił, gdy nagle wpadł do winiarni człeczek małego wzrostu, mizerny, z dużą, bundziucznie w górę zadartą czupryną ryżej barwy, z nosem dużym i oparzystym. Ubrany był w żółty, wytarty kontusik, a przepasał się okrutną szablą,

niemal tak szeroką i dużą, jak on sam, a z gifesem i furdymentem takim, że miałaby się czego jąć pięść jakiego Goljata. Na śmiech się zbierało, patrząc na tego człowieczynę, choć znowu z drugiej strony coś odpychało od tej figurki, bo migotała oczyma tak chytrze i zdradziecko, a uśmiechała się tak obleśnie i nikczemnie, że mimowoli człek sobie przypominał ową łacińską przestrogę: *Hic niger est, hunc te caveto!*

Wleciał jak wrzeciono i zasapany, a z straszliwym brzękiem szabliska i zaraz przy drzwiach począł strzelać dokoła oczyma, wołając przytem z całego gardła:

— Mościpanowie oficerowie! *Meine Herren Offiziere! Messieurs les officiers!* Rotmajster Borawka, agent militarny wszelakich najjaśniejszych dworów europejskich sumituje się Waszmościom wszystkim i ofiaruje usługi swoje. Czołem Mości panowie, czołem! Mam różne rangi, powierzone mi na przedaż w konfidencji, mam regestr wakansów najlepszych, pośredniczę w konfirmacjach, ułatwiam zmianę regimentu za regiment, autoramentu za autorament. Wszystko to czynię z honorowej gotowości, po uczciwem koleżeństwie... Mam także śliczne konie po niesłychanie taniej cenie, wyraźnie jakby kradzione, Mości panowie oficerowie! Przypominam się, Mościpanowie, i proszę o względy; nikt tak nie usłuży jak rotmajster Borawka. Rząd suty, srebrny, husarski! Kto kupi rząd srebrny? Dam za bezcen! Buzdygany kameryzowane, blachmalowe, marcypanowe dla poważnych znaków! Mam ja za półdarmo!

Czepce, siatki, egretki, karwasze żelazne, polerowane jak zwierciadła? Prawie to rozdarowuję.

Tak pytlował ustawicznie, chodząc między stoły i kłaniając się na wszystkie strony. Deibel wskazał mi nań i rzekł:

— Oto masz Borawkę, pomów z nim, ale radzę raz jeszcze, ostrożnie. My z Wedelsztedem wyjść musimy na chwilę, ty zostań tu i czekaj nas, nie kończąc interesu.

Gdy się tak z Deiblem żegnam, on bierze mnie na stronę i mówi:

— Mój bracie drogi, muszę cię przestrzec. Mówiłeś mi, żeś Prusakom uciekł poprostu, więc czemu nosisz twój mundur? Wiedzże Waszmość, że cię tu agenci i werbownicy pruscy, co się często po całym kraju snują, kiedyś porwać gotowi...

— Co? porwać mnie z własnego wolnego kraju? — rzekłem — a toćby to już sromota była i gwałt niesłychany... Radbym ja tu widzieć tego, coby mnie tu napastować się ośmielił.

— Nie mów Waćpan wiele, — rzecze na to Deibel — bośmy już na takie rzeczy sami patrzali. Żeby to gwałt był, to prawda, ale tu w Polsce rząd słaby, a bezpieczeństwo publiczne niewielkie. Czy to ty nie wiesz, że kilka lat temu barona Trencka, kiedy zbiegł na ziemię polską, trzykroć wysłanniki pruskie chwytały; dwa razy z ciężką biedą im uszedł, a za trzecim razem w Gdańsku dostał się im w ręce i teraz mizernie gnije w lochach magdeburskich.

Zrobiły te słowa na mnie impresją, i skonfundowały potrosze, bo istotnie tak się rzecz miała, jak

mi to wiadomo było. Tego Trencka sam raz w Poczdamie widziałem, śliczny to był młodziutki oficer. Padło nań podejrzenie, że się znosi z owym drugim Trenckiem, swym stryjaszkiem, co to nam tak srodze podczas ostatniej wojny dokuczał cesarskiemi pandurami. Zamknięto go do twierdzy Glatz, a on umknąwszy stąd, długi czas w Polsce i w Rosji przebywał, aż go Prusacy, gwałt popełniając na polskiem terytorjum, w Gdańsku porwali.

Rychło wszakże złą myśl wybiłem sobie z głowy, bom już tego ani chciał przypuszczać, aby na mojej skórze tyle zależało Prusakom, iżby mnie aż tu w dalekiej Polsce łowić mieli. Zaśmiałem się tedy i ścisnąwszy dłoń Deibla, rzekłem:

— Owa! Niestraszny mi tu już ani mój oberster Koggeritz, ani nawet sam król Fryc, a tych wysłanników pruskich, coby mnie aż tu szukać mieli, roznieślibyśmy tu w Radomiu na szablach. Król Fryc ma długie ręce, to prawda, ale mu aż tu do mnie palców nie starczy!

Odwróciłem się teraz do owego rotmajstra Borawki i chciałem zacząć o interesie — aż tu nagle z okrutnym krzykiem, z junackim śmiechem i marsowym brzękiem wpadło do izby trzech towarzyszy chorągwi pancernej, przy szablach i srebrnych sajdakach, które na on czas jeszcze jako symbol starożytny rycerski noszono. Wszyscy trzej byli to ludzie niemłodzi, ale wpadli z junacka i z rwetesem, bo już snać dobrze czupryny podegrzali węgrzynem. Mój Borawka ledwie ich ujrzał, nuż do nich zaraz w ukłony i zalecanki, na nikogo już więcej nie pa-

trząc — tak, że *volens nolens* musiałem zaczekać i usiadłem sobie w kącie, dopóki ten najazd pancerny nie wyleci jako przyleciał.

W winiarni nie było już nikogo, prócz towarzyszy, Borawki, i dwóch jeszcze osób. Z tych dwóch osób jeden był jakiś młody oficer w mundurze regimentu dragońskiego pod komendą JMP. generała Wielopolskiego, młodzieniec dziwnej urody, blady, czarnowłosy, chłopię, za oczy pociągający. Siedział zasępiony czegoś bardzo, głowę na ręku oparł i tak w ciężkim frasunku zdawał się być zatopionym. Drugi, co siedział w przeciwnym odemnie kącie, był to staruszek już bardzo zgrzybiały, w peruce dużej, zaschły, zawiędły, i bardzo niepokaźnie, a po niemiecku ubrany.

Kiedy ci trzej towarzysze tak wpadli do winiarni, poczęli zaraz krzyczeć, aż szyby brzęczały:

— Mursz, hej! sam tu Mursz! Dawaj wina szczecińskiego, a jak nie masz, to muszkatela, ale żwawo, bo cię przepędzę!

Mursz się zwinął na piętach, a za chwilę stanął na stole cały szereg butelek. Jeden z towarzyszy, chłop sążnisty, łysy, z karmazynowym nosem i wąsem, gdyby wiecha, ze szramą na łbie, jakby go pługiem przeorano, rozglądnął się po izbie, a ujrzawszy tego staruszka, stuknął butelką i zawołał:

— Sam tu, Niemcze! Na masz, wypij, gębę otrzyj, podziękuj i ruszaj sobie, bo tu panowie piją!...

Staruszek, który sobie siedział spokojnie, Bogu duszę winien, wstrząsł się cały, poczerwieniał, i gniewnie na pijanego spojrzał; potem zaś, jakby się

inaczej namyślił, udał, że niby nie słyszy, i przez okno na ulicę wyglądać począł.

— Ano, słysz ty! stary capie niemiecki! — huknie sobie jeszcze głośniej pan Towarzysz, — kiedy pić nie chcesz, to się na sucho wynoś, albo cię przez okno wyrzucę!

I jakby chciał wykonać tę groźbę, porwał się z zydla, choć go tamci mniej pijani powstrzymywali, mitygując łagodnie. Zindygnowała mnie ta obelga dla starca spokojnego, którego miałem za chudzinę i cudzoziemca, więc wstaję z mego miejsca, idę ku staruszkowi, i siadając przy nim, tak mówię:

— Ten pan tu ze mną przyszedł; jak zechce pić, to sam sobie podać każe, a jak zechce wyjść, to wyjdzie, kiedy mu się podobać będzie, a ktoby miał co przeciw temu, to niechaj ten wie, że nie on sam jeden szablę nosi. Waszmość zaś nie po kawalersku sobie poczynasz, że siwego włosa nie szanując, spokojnych turbować się nie wahasz.

Gdym te słowa wyrzekł, ów stary jegomość spojrzał na mnie ostro i rzekł:

— Dziękuję Waćpanu za opiekę, ale ja jej nie potrzebuję, ani nie proszę o nią Waćpana. Nie frasuj się Waćpan o mnie, już ja się tego rycerza z pod wiechy nie boję.

Ozwawszy się takiemi słowy, starzec ów wyciągnął z kieszeni dwa małe, ślicznie oprawne pistolety, kurki odkręcił, na stół je rzucił, a potem założywszy ręce, spokojnie siedział.

Pan Towarzysz tymczasem już chciał szabli dobyć, ale tamci za poły go trzymając, na zydel posa-

dzili, pod nos mu pełną szklanicę pchając, a «Wiwat, twoje zdrowie Jacku!» ustawnie wołając. On, poczuwszy zapach wina, szklanicę podaną jednym haustem wypróżnił, i jakby o starym zapomniał, ku mnie się groźnym wzrokiem zmierzył. Nie byłem ja nigdy zawadjaką i burd pod wiechą robić nie moim było zwyczajem, alem też nie był tchórzliwego serca i lada jakiej przegróżki junackiej nigdym się nie uląkł — to też wytrzymałem wzrok okrutny pana Towarzysza, i tak ostro patrzymy dobrą chwilę oko w oko, on na mnie, ja na niego, ani słówka przytem nie mówiąc. Sprzykrzyło się to panu Towarzyszowi, bo naraz butnym głosem tak mówi:

— Słuchajno Wasze, a z jakiego to Wasze regimentu? Czy nie od dragonów?

— Zgadłeś Wasze — odparłem — jestem od dragonów...

— Tedy od lekkiej kawalerji! — zawołał ze śmiechem p. Towarzysz — cha! cha! od lekkiej, od lekkiej, Mospanie! cha! cha!

— Od lekkiej, od lekkiej — powtórzyłem spokojnie — ale czemu to Waszmości tak śmieszno?

— A to chyba Wasze nie wiesz, — mówi on z ciągłym śmiechem — czemu to dragonów lekką kawalerją zowią? Hę? nieprawdaż, że Wasze nie wiesz, ale ja mu to krótko wyjaśnię.

I oglądając się po obecnych tak się ozwał do mnie:

— Owoż masz Wasze wiedzieć, że tak o tem jest napisano:

Czem dragońskie chorągwie lekkie nazywają?
Bo zawsze c i ę ż k o biorą, l e k k o uciekają...

Śmiech okrutny powstał w całej izbie, a osobliwie z triumfem śmiać się zaczęli panowie pancerni. Czekam ja aż się uciszy, a gdy się już trochę śmiać ustano, mówię:

— Uważajże Wasze, panie Towarzyszu, abym cię także nie wziął w dragony...

— Owa, a jak to Wasze rozumiesz?

— Oto tak, abyś Wasze *ciężko nie wziął*, a *lekko nie uciekł*.

I machnąłem dłonią znaczącym gestem, spuszczając ją na gifes szpady. Śmiech się teraz obrócił jak wiatr, mnie wiał w plecy, a jemu w same oczy. Zczerwienił się jeszcze bardziej pan Towarzysz, nadął się i mówi już ze srogim ferworem:

— Słyszno Waszmość, panie dragon!

— Do usług, panie Towarzysz!

— Widzisz Waszmość tę szablę — ozwał się p. Towarzysz, uderzając po furdymencie, aż w sajdak zadzwoniła.

— Widzę, Mościpanie, widzę, nowiuteńka!

— A wiesz Wasze, co na niej napisano?

— Waszmość tylko zawsze z tem wyjeżdżasz, co gdzie stoi napisano, — mówię mu na to — a moja szabla sama pisze, powiadam Waszeci, tnie abecadło po łbach jak bakałarz!

— Patrzże Wasze, abym ci nie wytłumaczył raz jeszcze, co stoi napisano — wrzeszczy, tracąc kontenans coraz bardziej pan Towarzysz, i tłukąc raz

jeszcze pięścią po pochwie. — Na tej klindze taka dewiza:

Szach! mach!
Sieję strach!

— A na mojej — mówię na to spokojnie — napis opiewa trochę inaczej i bardziej *modeste*, Mościpanie Towarzysz! Na mojej szabli takowa dewiza:

Nie włócz mnie bez honoru,
Nie dobywaj bez racji.

— A kto tam wie, kędy ją Wasze włóczyłeś — rzeknie na to pan Towarzysz, coraz większą pasją się unosząc — a co do racji, to ją dam Waszmości zaraz. Wiesz Wasze, z kim mówisz? Jestem Jacek Szturrawski, przez dwa *r* trybem starożytnym, herbu Rawicz, z Dobrzyńskiej ziemi...

— A ja jestem Wit Narwoj, przez jedno *r*, ale takie stare jak Waścine obadwa, herbu Kościesza, z krakowskiej ziemi.

— Patrzże Waćpan, p. Narwoj, abyś czego nie narwał...

— Ejże, zwolna, Mości Szturrawski, by cię nie poszturkano!...

Na te moje słowa już p. Towarzysz nie mógł zmoderować swojej okrutnej pasji, ale porywając się z zydla dobył szabli i wali na mnie obcesem. Ci dwaj, co z nim przyszli, już go nie miarkowali jak przedtem, ale zagrzani trunkiem i obrażeni despektem, kóry spotkał ich towarzysza, nuż także do szabel i hejże na mnie!

Ledwie się umknąłem na bok przed pogań-

skiem cięciem onego pijanego Goljata, który, nim ja szpady dobyłem, już mi szablą gwizdnął ponad głową. Gdyby nie szybki skok na bok, byłby mi niecnota łeb rozpłatał z kretesem, tak że już i felczer nie byłby nic na mnie zarobił. A tak szabla uderzyła z straszliwym impetem w stół dębowy, aż trzaski poleciały — a ja tymczasem, dobywszy mojej szpady, byłem już w pogotowiu.

W tejże chwili ów młody oficer, o którym wspominałem, przyskoczył do mnie, a dobywając szabli, zawołał:

— Ja z tobą, panie oficerze! Tylko ostro, a nie damy się tym pancernym panom!

Tymczasem ja odbiłem drugie cięcie Szturrawskiego, a odskakując wtył i stawając w pozyturze, tak się do moich napastników odzywam:

— Hola! Mościpanowie! hola! Nie po rycersku to i nie po szlachecku w trzech nastawać na jednego! Ja zwad i awantur pod wiechą niezwykły, alem do rozprawy honorowej gotów zawsze, jak przystoi szlachcicowi i oficerowi! Alboż nie wiecie Mościpanowie, że to gardłowa sprawa, dobywać pałaszy tu w obliczu komisji wojskowej! Jam nie ekscesant, i kryminału popełniać nie chcę, ale bronić się będę, a jak do czego przyjdzie, to nie ja dam gardło lub *modo canino* deprekować będę, ale ten, co kość rzucił pierwszy!

Poparł mnie w tej perswazji mojej ów nieznajomy młody oficer, wołając:

— Zawadza wam głowa na karku, Mościpanowie! Owo pilnujcież, abyście się nie otrzeźwili *in*

fundo, albo pod mieczem katowskim! Ksiądz biskup Załuski [1]) twardą ręką trzyma dyscyplinę; na rozum to sobie weźcie... Ja tu tego oficera nie opuszczę, choć go znać nie mam honoru, i kto wie, jak Waćpanowie z tej przygody wyjdziecie — ale hauptwach niedaleko, a rontu co jeno nie widać!

— Kto do mnie ma jaką urazę, ten mnie znajdzie! — rzekłem ja znowu — satysfakcję mu dam uczciwą, jakiej tylko pożądać będzie, ale nie tu pod jurysdykcją trybunalską, jeno za miastem, poza terytorjum komisji!

Trafiły te argumenta do dwóch nieco trzeźwiejszych jeszcze towarzyszy, toż chowając pałasze, wzięli p. Szturrawskiego za ręce i przytrzymując go przemocą, perswadować poczęli:

— Jacku, dajże ty pokój dzisiaj i nie rób tumultu. Już ty mu jutro tak łeb utniesz, jak dzisiaj, ano i lepiej jeszcze! Ułóżmy pojedynek, niech ten Niemczyk potańcuje młyńca z nami, a będzie mu kwaśno.

— Komu tam z nas kwaśno będzie, temu dajmy pokój, — rzekę ja teraz — w ręku to Boskiem leży, ale jaki pojedynek Waszmoście zaproponujecie, taki przyjmę; z jednym, z dwoma, a choćby z wszystkimi trzema, za jedno mi to będzie, bo się was wszystkich nie boję!

Pochowaliśmy szable do pochew, a ów pan rotmajster Borawka, który kiedy już na gołe łby iść miało, gdzieś do alkierza się schował, wbiegł teraz

---

[1]) Ówczesny prezydent komisji radomskiej.

nieproszony, i narzucając się na bezparcjalnego świadka, począł razem z nami pojedynek ów układać, przyczem, co mnie niepomału zdziwiło, na moją stronę ciągnął, bardzo obleśnie i z wielką wrzekomo kordjalnością mnie się zalecając. Jak na to, przyszli teraz do gospody Wedelsztedt i Deibel, a dowiedziawszy się o wszystkiem, zaraz mi się za sekundantów służyć ofiarowali. Tak tedy ułożono, abym się potykał na rękę z wszystkimi trzema pokolei, jeślibym z pierwszego spotkania cały wyszedł, i aby ten pojedynek odbył się pół mili za miastem, koło dwóch rozwalonych wiatraków, które tam stały. Ja domagałem się koniecznie, aby się z tem wszystkiem sprawić dziś jeszcze, nie odkładając na później, ale ów intruz Borawka, jakże począł perswadować, jako jutro i pojutrze ważne są sesje w komisji, i jako traktowane będą z regestru najważniejsze sprawy, przy których panowie pancerni będą musieli być *praesentes* — tak musiałem przystać na to, że się rąbać będziemy dopiero pojutrze popołudniu.

Skończywszy tę niemiłą transakcję, podziękowałem ja onemu młodemu oficerowi od dragonów Wielopolskiego, co tak szlachetnie w tej przygodzie po mojej stanął stronie, i ściskając mu dłoń serdecznie, rzekłem:

— Panie oficerze! Dziękuję ja Waćpanu uprzejmie za kawalerską i honorową przysługę, którą Waszmość mnie nieznajomemu wyświadczyłeś. Liczże Waszmość na mnie w równej przygodzie, stanę ja wtedy przy tobie, jak ty mnie stanąłeś, boć może jeszcze spotkamy się kiedy.

On tych słów z roztargnieniem słuchał i tylko mi rękę uścisnął — a ciągle czegoś z wielkim frasunkiem na Borawkę patrzył, który znowu stronił wyraźnie od niego. Już wychodząc, widziałem, jak młody oficer Borawkę na ustęp wziąwszy, o coś go okrutnie prosił i jakoby zaklinał, bo mu to z twarzy i z oczu, w których łzy się kręciły, widać było. Borawka zaś słuchał tego obojętnie i jakoby się eksplikował. Nareszcie młody oficer rzucił spojrzenie tak pełne gniewu i desperacji na Borawkę, że ten aż się w kąt zrejterował, przyczem doleciały mnie słowa «podły infamisie», którym to komplementem poczęstowany został JMĆ pan rotmajster i agent militarny.

Młody oficer, blady jak upiór, z gwałtowną desperacją na twarzy, wybiegł na ulicę, a pan rotmajster Borawka, połknąwszy gładko ów despekt — snać już miał żołądek strawny na takie kondymenta — uśmiechnął się, wzruszył ramionami i za mną wybiegł. Jakoś już zgóry ten p. Borawka nie bardzo mi się podobał, i nawet repulsję jakąś od tego człowieka czułem, a po owej scenie z młodym oficerem tem mniej miałem ochoty radzić go się w moim interesie — gdy on sam dopędził mnie na ulicy i mówić do mnie zaczął:

— Słyszałem Mościpanie rotmistrzu... — począł z miną usłużną i obleśną.

— Jam nie rotmistrz, — odrzekłem — a porucznik tylko.

— Aleś Waćpan godzien być rotmistrzem i będziesz nim zaraz, bylebyś Waćpan wszedł w interes

ze mną... — odpowiedział, nie tracąc kontenansu Borawka.

— Jakiż to interes Waszmość mi proponujesz?

— Mam kapitanję do sprzedania, panie rotmistrzu, doskonałą, wyborną kapitanję, nie tytularną, nie *agreże*, ale z szwadronem, w regimencie pięknym, pod bokiem królewskim i pod szefem, który o regiment swój dba, jak o młodą żonkę! Takiego wakansu Waćpan nie upolujesz w Polsce, choćbyś na to łożył największe pieniądze. A konfirmować Waćpana w nabytej u mnie randze zaraz będą, bo wszakże Waćpan wprost z pruskiego wojska przybywasz, a szef owego regimentu bardzo ceni oficerów pruskich. Waćpan niedawno z Prus, panie Narwoj?

— Niedawno — odrzekłem krótko.

— A wolno wiedzieć: za permisją tylko, czy za abszytem? — zapytał Borawka i małe jego oczka chytrze się na mnie zwróciły.

— Za abszytem — odparłem, choć jak wiecie nie było to prawdą.

— No to nie puszczajże Waszmość szczęśliwego trafunku, który ci się sam przeze mnie nawija i bierz Waćpan mój wakans, dopóki cię kto nie uprzedzi.

— W którymże to regimencie, panie Borawka? — zapytałem.

— W regimencie JMĆ pana Koniuszego Wielopolskiego. Śliczny wakans, pyszny wakans! Takie wakanse piechotą nie chodzą!

— Ileż Waszmość chcesz za tę rangę?

— Wierzaj mi Waćpan, klnę się na parol ho-

norowy, jakem rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, że na tem zarobić nie chcę. Miałem w tym pułku przyjaciela, który nagle wyjechać musiał zagranicę, a nie miał kupca naprędce, więc mu przysługę zrobiłem, odkupując mu stopień. Dałem 30.000 złotych i tyle tylko odebrać pragnę. Interes czysty, konfirmacja pewna, papiery w porządku, tylko weź! Ale jeden warunek stawię, abyś Waćpan zaraz się decydował, bo pieniędzy potrzebuję pilnie, a kupców mam dużo!

— To nie dla mnie interes, Mościpanie Borawka! — odrzekłem — jam ubogi oficer, a co sobie z żołdu uzbierałem między Niemcami, to mi na taką rangę nie starczy. Będę ja już inną drogą chodził za wakansem.

— Wiesz Waćpan co? — zawołał Borawka — czym to ja pierwszy raz dopiero na mieszku się podgolił dla przyjaciół? Bogu dzięki nie zginę jeszcze przez to! Co tu stracę, zarobię na koniach, które chcę kupić jutro jeszcze; dajże Waćpan 20.000 i staw gąsior u Mursza!

— Nie dam, bo nie mam; za droga ryba dla mnie; szukaj sobie Waćpan kogo innego! — mówię na to, bo go się pozbyć już chciałem.

— Waćpan nie wiesz, co odpychasz od siebie; chorągiew w dragonji Wielopolskiego między braćmi warta 30.000. Ale już ja chcę się pozbyć tego interesu; dajże Waćpan 15.000 złotych.

— Dam sześć tysięcy złotych! — mówię ja na to dla żartu.

— Dajże Waćpan dwanaście!

— Daję sześć.

— Dajże dziesięć, jeśliś Waćpan nie szalony!

— Daję sześć, i ani szeląga więcej, bo nie mam.

— Za sześć tysięcy Waszmość nawet w pustym regimencie złotego bandoletu nie kupisz! Pamiętajże Waćpan, że będziesz żałował! Dajże osiem!

— Dam sześć!

— Dajże Waćpan siedem!

— Sześć!

— Bodaj Waćpan zabit! Takiś Waszmość twardy i uparty, jakbyś się uwziął na moją krzywdę! Dawajże Waćpan tych sześć mizernych, ale zaraz!

Zdziwił mnie ten targ niesłychanie, bom tylko dla żartu taką sumę stawił, i nigdy mi to ani przez głowę nie przeszło, aby się Borawka na taką niską cenę zgodził. A trzeba wiedzieć, że regiment dragoński Wielopolskiego należał do najlepiej usztyftowanych, i że w samej rzeczy kapitanja z aktualną komendą i szwadronem warta w nim była najmniej trzydzieści tysięcy. Nie mogłem tedy żadną miarą pojąć, coby to znaczyć mogło, iż Borawka za tak bajecznie niską cenę kupno mi proponuje. Jakoż wpadłem na podejrzenie, że to nieczysta jakaś sprawa być musi, i że cały ten targ dziwny na oszustwo jakoweś zakrawa. Mówię tedy do Borawki:

— A masz Waćpan papiery w porządku i ręczysz mi za to, że forsztelację moją podpiszą pan szef Wielopolski i Król Jegomość? Bo jeśli Waszmość myślisz, że mnie na plewę weźmiesz, toś źle trafił, panie bracie; ja wróbel bywały, na lada lep nie pójdę, a jak mi Waszmość *ad oculos* nie wyde-

monstrujesz, że tu nie o frycówkę idzie, to mnie nie weźmiesz pewnie, o tem Wasze pamiętaj!

On na to pocznie się zaklinać i przysięgać i rozpowiadać szeroko, jako ta cała sprawa jasna jest i czysta jak słońce, i jako ma dokument odstąpienia od owego oficera z okienkiem, w które nazwisko moje tylko się wpisze. Chciał mnie nawet gwałtem wlec do siebie, abym papiery zobaczył, między któremi jest i pismo pana koniuszego Wielopolskiego, zezwalające na odprzedanie tej rangi. Ledwo się od tego wyprosiłem, aby zaraz w tej chwili nie kończyć interesu, bo bez porady Deibla nic zrobić nie chciałem, bojąc się wpaść w jaką łapkę i być oszukanym przez sprytnego łotrzyka.

I wabił mnie ten interes i straszył; więc chciałem dylacji na dwa dni, aby się wpierwej ów pojedynek odbył z trzema towarzyszami, z którego, nie mogłem wiedzieć, ażali żyw wyjdę — ale tym razem zaciął się Borawka i za konieczną kondycję stawił, abym się nazajutrz rano już determinował i opłacił. Stanęło tedy na tem, że jutro rano przyjdzie z papierami na moją kwaterę i odmowę lub pieniądze weźmie.

Tak mi ta sprawa kołkiem stanęła w głowie, że zapomniałem nawet o przygodzie, którą miałem z pijanym Goljatem u Mursza, i o pojedynku, który mnie czekał pojutrze. Jeśli Borawka miał papiery co do owej kapitanji w porządku, to było to złoto, a nie interes, i taki dziwnie szczęśliwy trafunek byłby w istocie niepraktykowany. A nuż znowu jeśli to zdrada, a oszustwo jakie? co wtedy? Sześć tysięcy

pójdzie na wiatr, a człowiekowi zostanie wstyd tylko, że się dał złapać na taką frycówkę...

Tak bijąc się z myślami, wracam do mojej kwatery, a był już późny wieczór i dobrze się ściemniło. W głowę zachodzę, co zrobić z propozycją Borawki; i tak i tak rzecz sobie tłumacząc, rozmyślam i kombinuję. Postanowiłem też sobie nie dobijać targu, jak tylko w obecności Wedelszteda i Deibla — a zresztą przespać całą sprawę, a rano natchnienia szukać.

Kiedy tak idę powoli do domu, widzę jak jakaś ciemna postać, bo przy zmroku dobrze już odróżnić nie było można, zachodzi mi raz i drugi raz drogę, jakby mi się przypatrzyć zbliska chciała. Z początku nie zważałem na to, ale gdy mi ów nieznajomy trzeci raz zabiegł drogę, a potem zostawszy w tyle o kilka kroków, ciągle za mną szedł dalej, odwróciłem się i zatrzymałem na chwilę. Widzę, wzrok wytężając, że to jakiś drab jak dąb, z ogromnemi wąsiskami i z dużą brodą, ubrany tak, jak się ongi ubierali śląscy handlarze bydła, którzy się gęsto po Polsce uwijali. Gdy tak stoję, ów chłopisko wyprostował się jak struna, ręce wyciągnął wzdłuż szarawarów, a przybierając postawę żołnierską przemaszerował krokiem paradnym koło mnie, z respektem i głęboką subordynacją mnie salutując.

Puściłem go naprzód, kapelusza ręką dotknąwszy — a on też dalej poszedł. Nie wiedziałem co to znaczy, że mi ten jakowyś handlarz honor wojskowy oddaje, ale nie myśląc o tem, bo mi ważniejsze rzeczy ciężyły na głowie, poszedłem swoją drogą. Dochodząc już do domu, zdało mi się, że ten sam czło-

wiek opodal stoi, jakby mnie szpiegował. Nie zważałem jednakże na to, ale wszedłem do mojej kwatery, a zapaliwszy światło, począłem się rozbierać, albowiem po dłuższej podróży zmęczony byłem i snu bardzo pożądałem.

Właśnie uklęknąć miałem do pacierza, kiedy ktoś silnie i na trzy tempa do drzwi zapukał. Porwałem się na równe nogi, bo to pukanie jakby zaczarowanym jakim sposobem odrazu mnie przeniosło w owe czasy, kiedy byłem jeszcze w pruskiem wojsku. Tak pukali do drzwi zazwyczaj żołnierze, przychodząc do kwatery starszych; takiego pukania nasłuchałem się przez tyle lat, kiedy do mnie przychodzili z raportem ordynanse.

— *Herein!* — zawołałem, przystępując do drzwi i przypasując szybko odłożoną już szpadę, więcej z ostrożności, niż z zwyczaju.

Drzwi się rozwarły i do izby mojej wszedł ów nieznajomy handlarz, który mnie śledził był na ulicy. Wkroczył zupełnie po wojskowym trybie, skręcił się w drzwiach w pół zwrotu, odmaszerował naprzód trzy kroki, stanął we front, a nie zdejmując czapki, dłoń do niej na salut przyłożył...

Wypatrzyłem się na niego, jak na warjata, i za takowego na serjo go miałem; — on zaś, nie ruszając się z miejsca, utkwił we mnie oczy dziwnym sposobem, ani słówka nie mówiąc. Patrzyliśmy się tak przez chwilę na siebie w milczeniu, aż on nareszcie się ozwał:

— *Melde gehorsamst, Herr Oberleitnant...*

I tu uciął, dalej słówka nie mówiąc. Zniecier-

pliwiła mnie ta komedja, więc podchodząc bliżej ku niemu, pytam go szorstkim głosem po niemiecku, czego chce i poco mnie nocą nachodzi?

— *Melde gehorsamst* — powtórzył handlarz — pan oberlejtnant mnie nie poznaje, a ja pana oberlejtnanta pokornie poznałem zaraz, i tu za nim pokornie przychodzę, *gehorsamst zu melden...*

Teraz poczne ja przypatrywać mu się bliżej, aż nareszcie dobrze go oglądnąwszy, krzyknę całym głosem:

— *Scherwein! Wachmeister Scherwein!*

— *Hier!* — zawołał w odpowiedź Scherwein, jakby przy apelu, i nie spuszczając swej służbistej postawy, mrugnął do mnie poczciwemi oczyma.

Był to Scherwein, wachmistrz z mego szwadronu, kiedy byłem jeszcze pruskim oficerem. Poczciwy chłop, dzielny i surowy żołnierz, służbista od trzystu granatów. Był on Ślązak rodem i po polsku mówił łamanym sposobem, bo przez długie lata w wojsku służąc, zniemczał zupełnie. Nazywał się właściwie Czerwień, ale Niemcy po swojemu nazwę jego nicując językiem, w Scherweina go zmienili, (tak jak i mnie z francuska N a r v o y w rangliście pisano i Narwoa wołano).

Ten Scherwein przez dwadzieścia lat służył był już w wojsku, a kiedy ja po owem nieszczęsnem spotkaniu z werbownikami pruskimi przyszedłem do pułku dragonów, dano mnie do szwadronu, w którym Scherwein był już wachmistrzem. W jego to plutonie rozpocząłem moje twarde, żołnierskie rzemiosło, i on mnię uczył mustry i służby. Polubiłem

go bardzo, bo mnie łagodniej traktował jak innych, mając miłosierny wzgląd na młodą krew; za to też później, gdym ja już został oficerem, wdzięczny mu umysł zawsze okazywałem, biorąc go w moją protekcję, i nie raz i nie dwa razy od srogiej kary go salwowałem. On też wielce był do mnie przywiązany i byłby się dał porąbać za mnie, bo mawiał zawsze z pewną ambicją:

— Ten pan oficer to jakby moje dziecko; ja go podkarmiłem i wychowałem na wojaka; podemną się on chował i ano patrzcie, jaki mi tęgi z pod ręki wyszedł; bo czy kto tak jeździ, czy kto tak fechtuje się dobrze, i tak służbę zna w całym regimencie, jak on?

Owoż, kto sobie potrafi wystawić moją radość i zdziwienie zarazem, gdym teraz tak niespodziewanie tego Scherweina tu w Radomiu obaczył! Rzuciłem się ku niemu i uściskałem go serdecznie, jak brata — ale uważałem przytem, że on, choć się moim widokiem i dobrem powitaniem ucieszył, przecież był czegoś zafrasowany i jakby nad jakąś bardzo ważną a tajemniczą sprawą zamyślony.

Ochłonąwszy z pierwszego zdziwienia, pytam się ja Scherweina, co tu robi w Radomiu, czy dawno już z pułku wystąpił, czem się teraz trudni, co tam w moim regimencie słychać? — zgoła obsypałem go pytaniami, jak gradem. On mnie słuchał w milczeniu, a gdy już pytać przestałem, mówi do mnie:

— Panie poruczniku, nie wystąpiłem ja z pułku i jakem był wachmajstrem w dragonach pana grafa Koggeritza, tak jestem i do dzisiaj jeszcze, *gehor-*

samst zu melden! Jestem tu tylko na komendzie, i jak mnie pan porucznik widzi, tak jestem w służbowym interesie.

— Jakto? — zawołałem — w służbie tu jesteś, a ubrałeś się jakby handlarz bydła, a cóż to za taki interes służbowy?...

Scherwein zrazu nic nie odpowiedział, ale spuściwszy oczy nadół, kręcił się na miejscu, jakby w wielkiem zakłopotaniu. Po chwili podniósł oczy, popatrzył się na mnie w dziwny jakiś sposób i rzekł:

— A coby pan porucznik powiedział na to, gdyby pan porucznik wiedział, że tu w Radomiu jest nas pięciu podoficerów, samych znajomych pana porucznika, bo prawie wszyscy z pańskiego szwadronu? Jest tu ze mną i Krug, i Kranzer, i Lipka, i Hollauf. Coby pan porucznik na to powiedział, *gehorsamst zu melden?*

I znowu popatrzył mi bystro w oczy, jakby chciał dojrzeć po mojej twarzy, czy też domyślałem się już zagadki.

— Powiedziałbym, — mówię ja na to — żeście przyjechali na remontową komendę, i że tu konie dla pułku kupujecie, jeno że to zadaleko, bo wiem, że kiedyśmy dla pułku konie kupowali, to zawsze na granicznych jarmarkach. Nie raz i nie dwa razy byłem ja sam na takich komendach.

Scherwein pokiwał głową jakby z nieukontentowania, żem taki niedomyślny, i znowu mnie zapytał:

— A cóżby pomyślał sobie pan lejtnant, gdybym mu pokornie zameldował, że jest tu z nami pan

profos Schwedicke, i że tu pod jego komendą zostajemy?

— Jakto? i Schwedicke tu jest? Schwedicke? a cóż on tu robi? — zawołałem z wielkiem zdziwieniem.

Był zaś ten szabs-profos Schwedicke znany w całej prawie armji pruskiej; człek straszny i bez serca, szpieg najsprytniejszy, jakiego kiedykolwiek ziemia na sobie cierpiała. Był on głównie używany do łapania zbiegów, a osobliwie znaczniejszych, i nigdy się prawie nie zdarzyło, aby ktoś, kogo on tropił, salwował się przed krygsrechtem. Zdarzało się to bardzo często, że uciekali z swych pułków nawet oficerowie, bądźto długów narobiwszy, bądźto w inny sposób przeskrobawszy — owoż za którym wysłano tego Schwedicke, ten nie uszedł już nigdy. A był ten Schwedicke jako pies gończy, i węch miał psi zaprawdę. W rzemiośle swem taki był już biegły i doświadczony, że z pod ziemiby każdego dezertera był dostał. Okrutny był jak zbójca, twardy na łzy i prośby jak opoka; a przekupić się też nigdy nie dał, choćby mu krocie kto ofiarował. Człowiek ten brzydkie swe rzemiosło pełnił z pasją prawdziwą, tak się w niem całą duszą miłując, że kiedy bywało nie miał roboty, bo nikogo mu tropić nie kazano, to chodził w tęsknocie i smutku jakimś ciężkim, a bywało i chorował nawet; aż gdy mu ordynans wydano, odżywał i młodniał, i rad był, a wesół do niepoznania. Nasłuchałem się ja jeszcze w pruskiej służbie rozmaitych opowieści o tym człowieku, o jego przebiegłości i sprycie, o przeróżnych

sztuczkach, jakiemi chwytał zbiegów, w obcych krajach ich biorąc.

Gdy więc teraz dowiedziałem się nagle od Scherweina, że Schwedicke jest tu w Radomiu, przypomniało mi się żywo, co mi dziś rano mówił Wedelsztedt, i aby otwarcie się przyznać, mrowie mnie obiegło, choć przecież byłem w domu, u siebie, w ojczyźnie, na wolnej ziemi... Aż mnie wstyd wziął samego, żem się już na samo imię Schwedickego uląkł, to też nie dałem tego poznać po sobie, ale uśmiechając się, rzekłem do Scherweina:

— Toście chyba tu łapać kogo przyjechali, że wami Schwedicke komenderuje! Powiedzże mi Scherwein, na coście i na kogo tu w Polsce parol zagięli?

Scherwein rozglądnął się z miną tajemniczą dokoła, przystąpił do okna, wyglądnął, ażali kto pod niem nie czatuje, a potem zbliżył się do mnie i tak się ozwał:

— Panie lejtnant! Sam to pan poświadczyć może, żem był zawsze żołnierz wierny, żem służbę pełnił twardo, i że sam pan oberszt nieraz mnie chwalił przed frontem. Żem się nieraz upijał, to już sam ja przyznaję, żem zawadjaka był i burdę często wyprawił, to także prawda — a pan lejtnant najlepiej pono wie o tem, bo mnie nieraz od biedy salwował, swoją protekcją mnie ratując. Nie złamałem nigdy przez całą służbę moją ani razu *befehlu*, a służbowe rozkazanie każde było mi święte, i gdyby mój pan rotmajster kazał mi był strzelać na rodzonego brata, tak na komendę *Gib Feuer!* byłbym palnął,

oczy zamknąwszy! Ale pan, panie poruczniku, milszyś mi niż brat rodzony, boś dobrem sercem i poczciwym umysłem mnie biednego królewskiego psa nieraz pocieszył i pokrzepił, nieraz groszem zapomógł, z kajdan uwolnił i od degradacji uchronił. Przylgnąłeś mi pan lejtnant do serca, może i dlatego, żem cię dzieckiem jeszcze do plutonu mego dostał i żem nawykł był do pana, jakby do własnego syna. Owo, panie lejtnant, dla ciebie ja po raz pierwszy służbę łamię, tajemnicę odkrywam i pana obersztera mego zdradzam. *Herr Oberleitnant von Narvoy,* my tu z Schwedickem po ciebie przyszli, *gehorsamst zu melden!*

Cofnąłem się o krok ze zdumienia, i nie wiedziałem nawet, co odpowiedzieć. Poczciwy Scherwein tymczasem tak dalej mówił:

— Kiedyś ty nam, panie poruczniku, z odwachu zniknął, a rotmistrz o tem panu oberszterowi raportował, sądny był dzień w sztabie. Nikt jeszcze nie widział przedtem pana obersztera Koggeritza w takiej okrutnej pasji, jak po tej nowinie. Rzucał się jak szalony, gryzł szpadę, a na nas biednych drżała skóra. Cały pluton, co wonczas stał na hauptwachu, pod krygsrecht poszedł, pański rotmistrz powędrował do profosa, a i na nas, cośmy nawet o niczem nie wiedzieli, skrupiła się ta awantura, bo w swej niepomiarkowanej pasji pan oberszter tyle kajdan, aresztów i chłost nadyktował na dzień jeden, ile tego przedtem i przez miesiąc cały razem nie bywało. Pochodziła zaś ta szalona pasja z tego, że pan oberszter bardzo sobie był upodobał w panu po-

ruczniku, za najlepszego oficera w pułku go sobie ceniąc; a właśnie tydzień przedtem, kiedy pan zniknąłeś wraz z więźniem z hauptwachu, podał był pana do samego króla na order i forsztelował na rotmistrza... Owo stąd była taka zawzięta furja pana obersztera i okrutnie był gniewny, że się tak zawiódł i przed samym królem skompromitował...

— A niechaj mi pan oberlejtnant wierzy — prawił dalej Scherwein — jako prawdę mówię, a nie żadną plotkę, bo mi to opowiadał oficer z regimentowego sztabu! Panie Narwoj, panie Narwoj, poco tobie było uciekać! Służba twarda, bo twarda, ostra, bo ostra; wszystko to prawda, ale owo dziś byłbyś już rotmajstrem, miał własny swój szwadron i krzyż na piersiach! A czy to nie fortuna, czy to nie piękne opatrzenie i nie ładna ranga, panie Narwoj? A tak, co ty teraz masz, panie oberlejtnant? Wstąpisz ty do tego wojska polskiego, to już nie to samo, co nasze; bo tu u was nikt o żołnierza nie dba, za nic on tu nie stoi i nic nie znaczy, a chyba od śmiechu go mają troszeczkę na pokaz! Lada szlachcic trzaśnie w kark oficera — a ty to znoś, nieboże! Co tu tobie robić, panie lejtnant — a tyś przecie żołnierzem się urodził! A choćbyś się ty i dochrapał tu czego, to prędzej lub później Schwedicke cię złapie, doprawdy złapie, bo Schwedickeby z piekła dostawił dezertera, choćby go cały hauptwach szatański pilnował; a potem co, *armer Kamrad*? kulka w łeb, i gryźże sobie w młodym wieku ziemię surową!

Trudno było tłumaczyć poczciwemu żołnierzowi, jako mi tu w Polsce milej dźwigać muszkiet,

niż na obczyźnie pułk cały wodzić, więc słuchałem go cierpliwie, jakbym się na wszystko pisał, co on mówi.

— Słuchajże dalej, panie Narwoj — prawił Scherwein — co pan oberszter wyprawiał, aby cię dostać. Napisał zaraz do Schwedickego, ale go nie było, bo go wysłano za jakiemś szpiegostwem aż do Węgier. Posyłał tedy innych ajentów i rozpisywał na wszystkie strony pisma, aby cię dostać, bo przysiągł, że nie spocznie, póki cię w swych rękach nie ujrzy. Na nic się to wszystko nie zdało; to też skoro Schwedicke wrócił z wyprawy, zapisał go sobie pan oberszter aż z Berlina i z własnej kieszeni 200 dukatów mu naznaczył, jeśli ciebie dostawi. Owo masz tobie, panie Narwoj. Już ty jego napewno, — bo tego nie bywało jeszcze, aby Schwedicke nie dokazał swego!

— Scherwein, Scherwein! stary ty, a głupi! — mówię ja na to. — Nie bywało, powiadasz, aby Schwedicke nie dokazał swego! Nie bywało, no to będzie; już ja go rozumu sam nauczę; licha on zje, nim on mnie stąd dostanie! Bądźże ty tylko spokojny, poczciwy staruchu, i nie frasuj się o mnie. A zato, żeś mnie przestrzegł, to ci z serca wdzięcznego dziękuję, i jako mógł będę, odpłacę! Niechże cię teraz uściskam, Scherwein!

Objąwszy poczciwego wachmajstra w ramiona, wyściskałem i wycałowałem go jak brata.

— Jeszczem ja pana porucznika nie przestrzegł o wszystkiem, — ozwał się Scherwein — o najważniejszej rzeczy się teraz dowiesz. Jest tu w mieście

jeden mały Polaczek, co z wielką szablą chodzi, i z wszystkimi panami oficerami za pan brat żyje; nazywa się on Borawka. Czy pan zna tego Borawkę?

— Znam go od dzisiaj — odpowiedziałem.

— Owoż panie Narwoj, bądź Waćpan przestrzeżony. Jak pan tego człowieka obaczysz, to na sto kroków wołaj jak na forpoczcie *Haltwerda!* a potem pal mu w łeb jak psu bez pardonu, bo to jest łotr i ostatnia kanalja!

— Skądże go ty znasz, Scherwein? — zapytałem.

— Ja go nie znam, ale wiem, że Schwedicke, jak tylko do Radomia przyjechał, zaraz do niego poszedł i coś z nim długo knował. Zwąchali się oni, jak dwa psy — patrzże tedy panie Narwoj, aby to nie na ciebie było polowanie! A teraz *Herr Oberleitnant,* niech cię Pan Bóg ma w swej opiece. Scherwein zrobił co mógł, Scherwein zdradził swego obersztera, Scherwein z dezerterem się porozumiał; to wszystko prawda, ale miej się ty na baczności, bo Scherwein, jak mu każą rzucić się na ciebie, usta skneblować i okuć, z pewnością spełni komendę. Bywaj tedy zdrów, panie oberlejtnant; a najlepiejby to było i dla mnie i dla ciebie, abyśmy się już nigdy nie zobaczyli, *gehorsamst zu melden!*

I wyprostowawszy się znowu po regule, Scherwein oddał mi pokłon wojskowy, zrobił zwrot w tył i wymaszerował za drzwi, zostawując mnie w zadumaniu i konfuzji.

Krótko tylko deliberowałem nad tem, co mi

począć należy. Będąc już przestrzeżonym, nie bałem się już o własną skórę; bo mi się tu między swoimi łatwo było obronić przed napaścią; chciałem jednak ukarać owych łotrzyków, co mnie aż tu ścigali, dać JMĆ panu grafowi Koggeritz nauczkę, jako w tej Rzeczypospolitej, acz nierządnej i słabej, nie można przecie pruskim oberszterom broić jak w własnym regimencie, a wkońcu niecnocie Borawce skroić taką kurtę, żeby w nią wlazł wraz z swoim żółtym kontuszem i ogromną karabelą, a szpetną infamję swoją nosił na łysinie aż do końca żywota swego mizernego. Że jednak nie byłem jeszcze w zupełności świadom ani praw, ani zwyczajów polskich, i żem nigdy na własnej głowie nie poprzestawał, jeśli rada przyjacielska była pod ręką, więc umyśliłem wyszukać zaraz i Wedelsztedta i Deibla, aby z nimi złożyć naprędce małe *consilium militare.*

Wydobyłem z puzderka moje pistolety, — bo co wiedzieć było, czy mnie ci nasadzeni łotrowie gdzie na ulicy samotnego nie zejdą — nabiłem je ostro, opatrzyłem dobrze zamki, okryłem się płaszczem, a wziąwszy do rąk małą latarkę obozową, wyszedłem z domu na miasto.

Wyszedłszy już na ulicę, dopiero sobie przypomniałem, jako nie wiem dobrze, gdzie Deibel kwaterą stoi, bo choć mi o tem mówił, nie spamiętałem sobie dokładnie. Nie chciałem jednak zwlekać narady do rana, puściłem się tedy na miasto, aby koniecznie o Deibla się wypytać. Część miasta, w której Deibel mieszkał, wiedziałem — puściłem się więc w tę stronę. Noc była już ciemna, bo było to jeszcze

za dni krótkich, a mizerne ulice mieściny puste były i ciche.

Gdy stanąłem już na ulicy, przy której Deibel miał mieszkać, począłem się rozglądać, czyli kogo nie obaczę, coby mi powiedział, w którym domu jego kwatera; ale ulica była już całkiem pusta i tylko na progu jednego domku siedział jakiś wyrostek. Zbliżam się do niego i pytam, czy nie wie, aby tu gdzie mieszkał jaki oficer, taki a taki.

— Tu w tym domu — mówi on mi na to — mieszka oficer jeden; nie wiem tylko, czy ten sam, którego pan szuka.

Pomyślałem sobie, iż być może, że tu właśnie na samego Deibla trafię, a jeśli to nie on, ale inny jaki oficer, to się od niego łatwo dowiem, gdzie Deibla mam szukać. Nie pytam już tedy dalej, ale za wskazaniem owego wyrostka mijam sień ciemną i wąziutką, staję przed drzwiami, które do tego oficera prowadziły i pukam. Na silne moje pukanie nikt nie odpowiedział; zawahałem się też, czyli wejść czyli nie; ale że interes był pilny, a innej drogi do wyszukania Deibla nie miałem, więc otwieram drzwi, które nie były na klucz zamknięte, i wchodzę do izby.

Naprzeciw samych drzwi widzę młodego oficera, który siedzi wsparty na ręce w głębokiem zadumaniu, a w ręku trzyma pistolet z odwiedzionym kurkiem. Na stole świecił się tylko mizerny kaganiec, więc odrazu twarzy oficera dobrze odróżnić nie mogłem, ale gdy dobrze wzrok wytężyłem, poznałem zaraz, że to mój znajomy z winiarni Mursza,

ten sam młody oficer od dragonów Wielopolskiego, co to w tej przygodzie z panami pancernymi sukurs mi swój ofiarował.

Był blady jak trup, a wejrzenie miał dzikie i desperackie. Czarne jego oczy paliły się jakowymś dziwnym ogniem gorączkowym, usta miał zaciśnięte — a na całej twarzy widać było jakąś straszliwą decyzję. Taki był przerażający aspekt jego cały, żem się zatrzymał, nie wiedząc, czy doń przemówić, czy nie. Nagle jednak, jakby mnie Bóg natchnął, abym tego człowieka ratował, przychodzi mi na myśl, że być może, jako ten nieszczęśliwy na własny swój żywot godzić zamierza.

W tem swojem zamyśleniu i desperackim frasunku nie słyszał mój młody znajomy, że ktoś wszedł do izby, i nie widział mnie, patrzącego nań z serdeczną zgrozą. Zbliżam się tedy za jego plecyma na palcach i chwytam nagle, a silną dłonią, za rękę, w której on trzymał pistolet, wołając przytem silnym głosem:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Młody oficer porwał się szybko, na moje pobożne powitanie nie odpowiedziawszy, i patrząc na mnie, chciał wydrzeć ramię swe z mojej dłoni, alem go nie puścił, jakby żelaznym kleszczem trzymając.

— Czego Waćpan chcesz odemnie w tej porze? — zawołał.

Ja na to spojrzałem mu bystro w oczy, milczałem dobrą chwilę, ciągle za rękę go trzymając, a nagle tak zapytałem:

— Co to Waćpan chciałeś w tej chwili z sobą zrobić?

— Co Waćpanu do tego! — mówi on na to.

— Już mi do tego, a z jakiej racji to ci później powiem, ale wyznaj, nie miałżeś teraz grzesznego zamiaru? — rzekłem, wskazując na pistolet z odwiedzionym kurkiem. — Żal mi, ale przypuszczać muszę, że Waćpan chyba życie sobie odebrać chciałeś?

— A gdyby tak było? — zawołał, spuszczając oczy.

— Gdyby tak było, tobym Waćpanu powiedział, żeś Waćpan albo tchórz, albo infamis, albo oboje razem.

Skoczył on na to jak oparzony i woła:

— Hola, panie Narwoj, milcz proszę, bo mogę ja tam pójść z tobą, gdzie sam pójść chciałem!

— A ja nie pragnę tego honoru, panie oficerze, bo ja złych towarzyszy nie lubię.

Młody oficer zdumiony tym moim tonem ostrym i surowym, a pomieszany okrutnie, żem go tak prawie na gorącym uczynku zeszedł, nic nie mówił, jakby szukając dopiero słów do odpowiedzi. Ja tymczasem, odebrawszy mu pistolet, i biorąc go za rękę, uścisnąłem mu dłoń po przyjacielsku, i patrząc mu z serdeczną kompasją w oczy, tak się ozwałem:

— Nie dziwujże się ty, mój kochany bracie, że tak ostrym tonem do ciebie przemówiłem, i nie myśl, abym ja nie komizerował się twemu nieszczęściu, boś nieszczęśliwy, widzę, bardzo nieszczęśliwy,

skoro o Bogu zapomniawszy, w zapamiętałości desperackiej na życie własne godzisz — a wszakże tak było, miły bracie?

— Tak... — rzekł on na to i oczy ku ziemi spuścił.

— Owoż widzę ja teraz, — ozwę się na to — że mnie Bóg tu przysłał, abym cię odwiódł od zbrodni i grzechu śmiertelnego, i wierzaj mi to, kochany towarzyszu, od najszpetniejszej infamji, jakiej się dopuścić może żołnierz i katolik...

— Gdybyś ty był na mojem miejscu — odpowiedział — kto wie, ażalibyś tak samo nie uczynił. Gdybyś ty, mój bracie, znał całą gorzkość mojego położenia, pewniebyś się nie dziwił mojej rozpaczy. Ale już ty mi na to nie poradzisz...

— Czy poradzę, tego ja nie wiem, czy nie poradzę, tego ty znowu wiedzieć nie możesz; ale jeśli ja nieznany Waćpanu człowiek mogę mieć jakie zaufanie u ciebie, to mi się zwierz w twojej aflikcji. Mam dla ciebie wdzięczny sentyment jeszcze od dzisiejszej mojej przygody, żeś tak szlachetnie partyzował za mną, i wierzaj, żem z duszy ci rad nieść pomoc, jeśli to w mocy mojej będzie.

On chwilę milczał, a potem tak prawić począł:

— Nazywam się Jerzy Paszyc i z uczciwej, a nawet niegdyś możnej familji szlacheckiej pochodzę. Mój stryj był podczaszym witebskim, i pomagał matce mojej, która owdowiawszy po moim ojcu, bez żadnej pomocy i fortuny została. Przed kilku laty stryj mój umarł i pomoc ta jedyna ustała. Miałem zawsze wielki pociąg do wojskowej służby i ko-

niecznie chciałem być oficerem. Moja matka, która mnie miłuje bardziej, niżem ja nieszczęśliwy tego godzien, oddała całą resztkę swego mienia, jaką jeszcze z lepszych czasów i z swojej oprawy była uratowała, aby mi kupić chorągiew w pułku Wielopolskiego. Pozbyła się nieboga ostatniego grosza, przeniosła się ze wsi do Warszawy, tu w nędznym kącie zamieszkawszy, a ja wziąłem na siebie obowiązek święty, z żołdu mego, który w dragonach p. Wielopolskiego i dostatni jest i punktualnie płynie, utrzymywać drogą matkę moją, co wszystko ofiarowała, aby moje życzenie spełnić, sama sobie starość biedną gotując. Zapłaciła moja matka za kapitanję z szwadronem 40.000 złotych — a ja ledwie rok służszywszy, oto teraz w haniebny sposób ją straciłem!...

— Człowieku! — zawołałem — cóżeś uczynił? Jakimże sposobem to się stać mogło?

— Owo słuchaj, Waćpan, jak to było. Nieszczęście chciało, że mnie z pułku tu komenderowano na komisję radomską; bodaj ta godzina trzykroć przeklęta była, w której tu noga moja stanęła. Możeś się już Waćpan przypatrzył, jako tu oficerowie żyją. Jaskinia to kartowników i szalbierzy, na mojej to skórze doświadczyłem. Jest tu niejaki Borawka, którego Waćpan widziałeś zapewne; ten mnie do siebie na wieczór zaprosiwszy, wraz z niejakim majorem Sabi do gry w *passadieci* zasadził. Mam podejrzenie, że na mnie zgóry parol zagięli, bo gdy mi ciągle pić dawano, oni sami ani ust nie zmoczyli. Owo stało się, że przegrałem do majora Sabi 6000 złotych. Nie miałem czem zapłacić, a zapłacić mu-

siałem, bo powiadają mi wszyscy: «dług to honorowy, do trzech dni Waćpan pieniądze masz wyliczyć». Kiedy się tak okrutnie frasuję i w głowę zachodzę, jak tę sumę tak znaczną zapłacić, jawi się Borawka, niby to litując się nad moim ciężkim kłopotem, i ofiaruje się pożyczyć mi 6000 złotych, żądając w zastaw mego patentu wojskowego. Niedoświadczony w takich sprawach, a mocno się trwożąc, aby mnie za niezapłacenie owego niby honorowego długu nie ogłoszono między oficerstwem za infamisa, jak to kartownicy tu w Radomiu robić zwykli, przyjąłem wszystkie kondycje, jakie mi postawił ów poganin Borawka. Jakby mnie jakowa demencja opanowała, akceptowałem rygor, że jeśli do dwóch tygodni swego patentu nie wykupię, kapitaństwo moje przejdzie na własność Borawki, który go bez wszelkiej z mojej strony pretensji będzie mógł przedać lub dla siebie zatrzymać. Podpisałem na to skrypt w takowej formie, że już niema żadnej apelacji. Uczyniłem to wszystko w nadziei, że się jeszcze odegram, stratę moją powetuję i patent w terminie odkupię. Sprzedałem wszystkie kosztowności, jakie jeszcze posiadałem, zegarek złoty szmaragadami kameryzowany, podarunek ś. p. stryja mego, pana podczaszego witebskiego, sygnet mój herbowy i inne zabytki, które przy mnie jeszcze były — ale zamiast się odbić, przegrałem znowu wszystko — a teraz mnie Waćpan widzisz w srogiej desperacji i w tak mizernem położeniu, że już nie widziałem innego środka, jak w łeb sobie palnąć. Dwa tygodnie owe, w skrypcie Borawki opisane, pozawczora minęły,

kapitanja moja przepadła. Rozpisałem ja wprawdzie listy do moich przyjaciół w regimencie, o sukurs ich prosząc, i pewniebym za lada jakie kilka tygodni owych sześć tysięcy wydobył, ale Borawka, twardy jest i głuchy na moje prośby jak opoka, o żadnej dylacji ani wiedzieć nie chce, ale otwarcie powiada, że moja kapitanja już na zawsze przepadła, i że ją lada dzień komu przeda. Owo wiesz teraz Waćpan, jako się ma rzecz cała; osądźże sam, czy mogę ja to przenieść w rezygnacji, abym matkę moją, co mi ostatnim swym groszem do mojej rangi dopomogła, miał widzieć w nędzy ostatniej, a siebie w poniżeniu, bez uczciwej pozycji i bez sposobu do życia!

Tą naracją swoją tak się biedny Paszyc wzruszył, że twarz dłońmi kryjąc, płakać począł jak dziecko.

— Nie! panie oficerze! — wołał do mnie — idź ty sobie swoją drogą, a mnie w wykonaniu mojej rezolucji nie przeszkadzaj, moje życie nic już nie warte, bo mnie i sumienie gryzie i speransów już żadnych nie mam!

Wtedy ja mu na to:

— Odpowiedzże mi, panie oficerze, na dwie kwestje, które ci postawię, a będę kontent i puszczę cię, abyś sobie szedł, kędy cię twój furor desperacki wiedzie! Czy gdybyś na wojnie stał na swoim posterunku, a nieprzyjaciel cię twardo i okrutnie najeżdżał, powiedz Waćpan, czybyś uciekł z placu, człowiekiem bez serca i męstwa się pokazując?

— Nie, nigdy! — odpowiedział Paszyc.

— Tak się też i ja po Waćpanu spodziewam.

Powiedzże mi jeszcze, czy byłbyś ty zdolny takowego uczynku, abyś naprzykład, pożyczywszy od rodzonej matki cały jej ostatni fundusz wdowi, wsiadł w Gdańsku na okręt i do Ameryki sobie popłynął, bez żadnego skrupułu matkę w nędzy zostawując?

— Jakżeż mnie Waćpan tak pytać możesz, toż nikczemnym niegodziwcem nie byłem nigdy.

— Jeśli tak, — rzekę ja na to — to już ja spokojny o ciebie, i wiem, że sobie życia nie odbierzesz, bo toby na jedno wychodziło, co tchórzem się okazać i matkę rodzoną okraść. A przeciwnie pewny jestem tego, że jako żołnierz serce i męstwo, jako syn wierność, a jako katolik pokorną rezygnację w tej ciężkiej turbacji twojej okażesz.

On na to zamyślił się głęboko, a nic nie odpowiadał. Widząc ja, że słowa moje do sumienia i serca mu poszły, pocznę mu dalej tłumaczyć — a dał mi Bóg wyraźnie tego wieczora taką wymowę i taką moc argumentów, że sam się sobie dziwiłem, skąd mi ta swada tak pięknie płynęła.

— Bądźże Waćpan dobrej myśli, — skończyłem moją perorę — bo choćby ci przyszło dziś jeszcze dosługiwać się na nowo rangi w wojsku, toś jeszcze młody i masz przed sobą wszelkie speranse sukcesu. Jakoś to się ułoży jeszcze; i na Borawkę znajdzie się jeszcze hak jaki, na którym urwis zębami uwiśnie; ale tak odrazu kapitulować, to babska, a nie żołnierska rzecz, panie Paszyc! Gotuje się tu coś i na Borawkę; warzy mu się tu piwko niezłe; jeno poczekaj, a obaczysz, że niezawsze łotrowie triumfują. Bywajże mi zdrów, panie kawalerze, a pra-

wie napewno ufaj temu, że pojutrze jeszcze u Mursza śmiać się będziesz przy dobrem winie z twojej dzisiejszej dziecinnej a bezbożnej imprezy!

On mnie na to ramionami objął i z serdecznym afektem uścisnął, dziękując, żem mu jako anioł stróż stanął w tak niebezpiecznej a fatalnej godzinie. Potem zebrawszy się, zaraz mnie do kwatery Deibla odprowadził i tu się rozstaliśmy.

Dopiero po owej spowiedzi Paszyca skombinowałem wyraźnie, co znaczył ów targ o kapitanję, którą mi Borawka za bezcen narzucał. Wszystko mi się teraz ułożyło w głowie i stanął mi na myśli cały plan szkaradny, który ten łotrzyk na moją skórę i na mój mieszek uknował. Zdrada wyszła oliwą na wierzch — i już wiedziałem, jaką to sztuką wziąć mnie chce niecnota.

Owo widoczną to było teraz rzeczą, że Borawka był agentem werbunkowym pruskim, jakich temi czasy bywało dużo na polskiej ziemi, i że porozumiał się z Schwedickem, aby mnie tu w Radomiu schwytać i do pruskiej granicy odstawić. Do takich sztuczek podobni łotrowie jak Borawka i Schwedicke mieli już wprawę wielką i szły im one jakby z płatka; pakowali swą ofiarę związaną i z skneblowanemi ustami do krytej fury i wieźli z sobą, dokąd się im podobało.

Gdzie tego koniecznie było potrzeba, tam się znalazło i pismo starościńskie lub marszałkowskie, które zbójcom tym glejt wolny czyniło — ale najczęściej bez tego się obeszło, bo cię nikt w Polsce całej na drodze nie zatrzymał i nie pytał, gdzie je-

dziesz, a co wieziesz. Z takiej wolności nieograniczonej i z tego opłakanego nieporządku najlepiej opryszki korzystały.

Takim to kształtem i mnie uwieźć chciano. Borawka snać napewno liczył, że mnie wezmą, i dlatego ową kapitanję, którą, jak się to teraz dopiero dowiedziałem, Paszycowi wydarł, po tak niskiej cenie mi przedawał. Myślał sobie infamis: «co da, to da, a zawsze zysk z tego, bo jak kupi rangę, to ją mieć będzie przez dzień jeden, a gdy go Schwedicke weźmie, ja patent sobie odbiorę, a tak i kapitanję i 6000 złotych mieć będę». W taką to sieć mnie złapać miano.

Podziękowałem w myśli Panu Bogu, że mnie swoją najłaskawszą opieką dotąd chronił, i całą zdradę odkryć i przeniknąć dozwolił. Teraz już o siebie się nie bałem, ale chodziło mi o to, aby ów kij, co go na mnie zgotowano, obrócić na Borawkę, i tak sprawą całą zakierować, aby się niecnota w własne sidła ułowił i w tym samym dole leżał, który tak chytrze podemną podkopał. Jakoż wnet stanął mi na myśli plan cały, jak mam sobie począć, aby i Paszyca z rąk szalbierskich salwować, i Borawkę rozumu nauczyć, i owych frantów pruskich, co na moją skórę łakomi, aż tu w Radomiu na mnie się nasadzili, z kwitkiem posłać do pana obersztera Koggeritza!

Deibel i Wedelsztedt, którzy razem stali kwaterą, wysłuchali z wielkiem zdziwieniem mojej przygody, a Deibel tak mi powiedział:

— Widzisz tedy, panie kamrat, jako przy mnie

racja była. Miałeś to sobie za strachy na Lachy, kiedym cię przed pruskiemi szpiegi przestrzegał, a teraz owo masz, jaki ci pasztet do zgryzienia dać miano. Łaska to Boża i szczególniejsze szczęście, żeś jeszcze dawnemi laty tak serce tego wachmistrza Scherweina ku sobie skłonił, bo gdyby nie jego przestroga, byłby cię ów pogański syn Schwedicke wziął jak swego. Już ja teraz o ciebie nie troskliwy, bo ano pokażemy im, jak się to tłumaczy polskie przysłowie: «Trzymał Kozak Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma». Boć oni już pewnie twoją skórę przedają...

Wedelsztedt, jako był człowiek rączego serca i bardzo *animosus*, nie mógł wysiedzieć na miejscu od indygnacji i wołał:

— Miałbym cię bracie za hetkę pętelkę, gdybyś ty ich teraz płazem puścił, tych opryszków pruskich, a już najbardziej tego kanalję Borawkę. Jak tu jesteśmy we trzech razem, tak chodźmy, a przybrawszy jeszcze kogo, zejdźmy to łotrostwo i porąbmy!

— Powoli, powoli! — mówię ja na to — nie bądź Wasze taki gorączka. Sztuką wilki tłuką. Takim kształtem, jakim Waszmość bierzesz się do rzeczy, jeszczebyśmy się mogli znaleźć na gardłowym regestrze.

— Dajmyż tedy znać na odwach — mówi Wedelsztedt — niechaj ich pod areszt wezmą, a potem w loch wrzucą, aby było dla innych *exemplum!*

— Daj tylko pokój temu, — odezwie się Deibel — już ty ich gołą ręką nie weźmiesz, bo z nich każdy śliski jak węgorz. Dasz ich pod areszt — to

i co z tego? Mają oni pewnie dobre papiery z sobą, a wykłamią się tak gładko, i wyprą się swojej szkaradnej imprezy tak zręcznie, że zamiast, abyś ty ich przycisnął, to oni tobie nasadzą na zdrowy łeb całą palestrę, o gwałt, o lezję i Bóg wie o co. Już w tem Borawki głowa!

Na taką ich deliberację, występuję ja z moim planem.

— Panowie bracia — mówię im — mam ja gotową receptę. Stanie się i po woli Wedelsztedta, bo bez tego się nie obejdzie, aby po uszach nie wzięli, ale to niechaj będzie epilogus. Tymczasem zaś tak chcę zrobić. Borawka przedaje mi kapitanję, która warta między braćmi 30.000 złotych, za 6.000 tylko, bo pewny już jest tego zdrajca, że i pieniądze i stopień przy nim zostaną. Owoż wiecie co? oto jutro rano ja tę kapitanję kupię. Jak więc Borawka weźmie pieniądze, wówczas pilno mu będzie, abym dostał się pod opiekę profosa i pewnie na mnie tego samego dnia jeszcze ową zbójecką zgrajȩ nasadzi. Ja tymczasem będę już przygotowany i na dobrej pieczy, bo liczę na waszą przyjaźń, że mnie na każdym kroku eskortować będziecie. Napadną nas gdzie, to się nie damy, a przeciwnie łotrzyków owych nauczymy *mores* po polsku. Wonczas już i z Borawki spadnie maska — i osadzimy go na infamji, jako na to zasłużył. *Tandem* więc kapitanja będzie moja — pan graf Koggeritz mnie nie obaczy — a Borawce będzie piskorz!

Oni obaj mowy mej wysłuchawszy, projekt aprobowali, obiecując mi po przyjaźni, że mnie na

krok nie odstąpią, aż dopóki już całkowitego bezpieczeństwa nie będzie. Dobrej myśli wróciłem do domu i spać się spokojnie położyłem, naprzód się już triumfem moim radując. Na drugi dzień jeszczem spał, kiedy mnie zbudziło stukanie do drzwi. Otworzyłem, a do izby wszedł Borawka.

— Przepraszam mocno Waćpana, — pocznie mówić — że go budzę, ale kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje, a do Waszmości to przysłowie *acurate* się stosuje, bo zaprawdę, jakem szlachcic i oficer, sam Pan Bóg daje Waćpanu piękną rangę za bezcen!

Ja go przywitałem grzecznie i napozór z szczerą miną, ale pomyślałem sobie w duchu:

— Ranoś ty się i na mnie wybrał, człowieczku, i da tobie Pan Bóg także, czegoś wart, pogański synu!

Nie pokazując po sobie wstrętu, jaki czułem do zdrajcy, pragnę z nim mówić o interesie, a w tejże chwili pojawił się także Wedelsztedt, którego ja na świadka wczoraj zaprosiłem.

— Pokaż Waćpan teraz papiery, czyli w porządku są, jak należy? — mówimy.

On wyjął z kieszeni dokumenta wszystkie, wydemonstrował i wywiódł całą sprawę dokładnie i o przybicie targu naglił, bo powiadał, że mu spieszno bardzo. Ja dla lepszej symulacji certowałem się jeszcze trochę, niby to chcąc jeszcze coś z ceny poderwać, a w gruncie i sam się już niecierpliwiłem, aby cała rzecz już raz się ułożyła. Patrzał on pewno

na mnie, jak na dudka, co na lep lezie — nie wiedząc o tem, że jego samego w sieci biorę.

Dokumenta były wszystkie w najlepszym porządku, tak jak je od Paszyca wziął był onym niecnym zastawem. Doręczył mi tedy Borawka najpierw regres formalny Paszyca, w który moje nazwisko wpisał, wydał mi jego patent, kartelusz żołdowy i inne certyfikaty i opisy, a nadto, jakem tego po nim koniecznie wymagał, oddał także oblig fantowy Paszyca i opisał się rewersem, jako już ani ja, ani antecesor mój, ani też sukcesor na owej chorągwi dragońskiej w regimencie JW. Pana Koniuszego Wielopolskiego do żadnych weksacyj, ani obowiązków pociąganym być nie może — a ja też sięgnąwszy do mieszka, który z łaski pana ojca i brata Andrzeja był zapaśny, wyliczyłem mu 6.000 złotych.

Domagał się zdrajca koniecznie jeszcze, abym mu coś szarfowego nałożył, ale ja tego słuchać nie chciałem, mówiąc mu:

— Kuso mi w mieszku, panie bracie, zabrawszy tych 6.000, już kieszeń moją chudą wypłókałeś Waćpan do czysta. Jak się spotkamy, z pierwszego żołdu dorzucę.

— Dajże mi Waćpan zarobić choć na moderunku; wszystkiego Waćpanu dostarczę, od kapelusza aż do ostróg, i rzuć Waćpan zadatek, bo jadę jutro, a kto inny cię zedrze...

Tak to ten łotrzyk chciał mi gdzieś aż z pod żebra jeszcze grosz jaki wycisnąć, ale się zbyłem wkońcu natręta. Łypnąwszy na mnie swemi zdra-

dzieckiemi oczyma, pożegnał się ze mną i wybiegł szybko.

Skoro już wyszedł, ozwę się do Wedelsztedta:

— Aż do tej chwili byłem bezpieczny; ale teraz, kiedy Borawka wziął już pieniądze, każdej chwili azardować się muszę na zasadzkę, a moja skóra jest pod obławą. Weźże ty, panie oficerze, wszystkie te papiery i tę oto kaletę z złotem, bo co wiedzieć, czy mimo wszelkiej prekaucji nie wezmą mnie żywcem, lub krytym sztychem nie zgładzą. Jużeśmy teraz jakby na wojnie.

Tak rozmawiając o tej całej przygodzie, czekaliśmy aż przyjdzie Deibel, a gdy ten nareszcie się pojawił, wyszliśmy we trzech na miasto. Oprócz szpad mieliśmy wszyscy przy sobie po parze pistoletów, ostro nabitych, a dla większej ostrożności, ja zawsze szedłem we środku, zaś oni obaj po moich bokach.

Chodząc po mieście, bacznie się zawsze rozglądaliśmy, czy też nas kto nie obserwuje szpiegowskim sposobem, ale nic podejrzanego nie widzieliśmy. Ja ciągle uważałem, czy też gdzie Scherweina nie ujrzę, ale mi się nie zjawił nigdzie w mieście. Tak do samego południa nie rozstawałem się z Deiblem i Wedelsztedtem, ale idąc na obiad do gospody, tak rzekłem do nich:

— Dziękuję ja wam z serca przyjaciele moi, że mnie tak własnem swojem zdrowiem asekurować chcecie, ale to tak być nie może; tożby to śmieszno było, żebyście mi za lajbgwardję służyli. Dziś jeszcze to dzień cały z sobą spędzimy, ale jutro zaraz zrana

ja do trybunału i do grodu idę, tam się opowiem, i z łatwością to sprawię, że się polowanie zmieni, bo mi dadzą patrol, a ja tych łotrów sam pochwytam. Niech się potem przeposzczą *in fundo*, a dostawszy na odwachu trochę plag na pamiątkę, niech sobie pójdą z raportem do pana grafa Koggeritza. To mi wystarczy za satysfakcję.

Zgodziwszy się na to, że jutro pójdziemy wszyscy razem do trybunału i po formie zażądamy rygoru przeciw opryszkom, na wolność szlachcica godzącym, udaliśmy się do Mursza na obiad. Tu mi naraz jeden z pachołków winiarnych podaje mały kartelusz opieczętowany, mówiąc: «Wyrostek jakiś dworski z pod Radomia dla pana rotmistrza zostawił».

Zdziwiony, ktoby tu w obcem dla mnie mieście mógł mieć do mnie interes, otwieram list i czytam, jak następuje:

«Kochany kolego i miły panie bracie!

«Traf to dziwny, ale dla mnie nader przyjemny i upragniony, że się tu w własnym kraju niespodziewanie spotykamy. Z takowej szczęśliwej korzystając okazji, przypominam się Waćpanu, jako *olim* dobry znajomy i towarzysz z pruskiego wojska, i proszę Go, byś mnie dziś w Rozworzu, o ćwierć mili za Radomiem, gdzie u mego wuja, JMĆ Pana Gawińskiego, bawię, dziś wieczór koniecznie nawiedził, na to uprzejmy wzgląd mając, że w przykry sposób na zdrowiu niedys-

pozytem będąc, sam Waćpana odszukać w Radomiu nie mogę.

Zawsze Waćpana Dobr. miłego mi pana brata i *commilitona* z szczerym afektem przyjaciel i *alter Kamrad*

Major Jasiński.

P. S. Do Rozworza z Radomia przy dzisiejszej dobrej pogodzie spacerem miła a krótka droga, a napowrót, jeśli spieszno będzie, nie nocowawszy wracać, końmi wuja mojego odprawię».

Przeczytałem list ten z wielkiem zdziwieniem, bo istotnie tego Jasińskiego znałem. Było dwóch Jasińskich w wojsku pruskiem za moich czasów; jeden był już pułkownikiem gwardji, kiedym ja jeszcze jako gimejne zaczynał gryźć chleb żołnierski, i ten pułkownik Jasiński, w którego regimencie ów sławny z swych przygód baron Trenck służył, sprowadził był z Polski swego synowca, aby fortuny między Niemcami szukał. Owoż tego drugiego młodego Jasińskiego poznałem był już jako oficera w Poczdamie, a później w jednej z nim brygadzie będąc, spędziliśmy cały długi kampament na Śląsku.

Mogło to być tedy naprawdę, że ten Jasiński pod Radomiem będąc, a o mnie się dowiedziawszy, ten list pisał — ale zaraz też na myśl mi przyszło, czy to nie pierwsza zasadzka na mnie, aby mnie za miasto samego wywabić. Pokazuję ja kartelusz ten moim przyjaciołom, a Deibel przeczytawszy go, rzecze:

— Owo dali znak o sobie, urwisy! Toć Wać-

panu mówić nie potrzebuję, że to jest pisanie Urjaszowe! Chcą cię mieć w polu, panie Narwoj!

— Jakże mam zrobić? — pytam Deibla.

— Nie iść, bo łapka.

— A ja myślę, że pójść, — odpowiem — bo *primo* co wiedzieć, czy to Jasiński istotnie sam nie pisze, a *secundo* jeśli to zasadzka, to dobrzeby ich zejść na gorącym uczynku. A gdybyśmy wyszli sobie tak po obiedzie piechotą ku Rozworzu? We trzech, by nas nie ruszono, a gdyby na nas uderzyli, to się nie damy...

Deibel i Wedelsztedt zgodzili się na to po krótkiej deliberacji; a tak dobrze przed wieczorem, opatrzywszy raz jeszcze pistolety, poszliśmy wolnym krokiem za miasto.

Nie szliśmy jeszcze ćwierć godziny, kiedy ujrzeliśmy na sto kroków przed sobą dużą, krytą furę trzema końmi uprzężoną. Idziemy ku niej dalej, mijając maleńką karczemkę, kiedy naraz kilku drabów wypada z niej na drogę i odtrącając na bok Wedelsztedta i Deibla, na mnie kupą uderza... Anim się nie opatrzył, a już te łotry czepiły się mnie ze wszech stron jak pijawki, a jeden z nich usta mi kneblował.

Byłem zamłodu silny okrutnie i nie tak łatwo kto mi sprostał; skurczyłem się też i zwinąłem się w sobie, a potem nagle z wielkim impetem rozrzuciłem się cały, nogami i ramionami rum sobie czyniąc, a tak żwawo, że napastnicy owi odskoczyli odemnie, jak piłki... Cożywo odskoczyłem o kilka kroków wtył, prawą ręką chwyciłem szpadę, lewą pistolet, a tu widzę, jak trzech drabów okrutnie cisną

szablami na Wedelsztedta i Deibla, którzy nawet pistoletów dobyć nie mogą i tylko szpadami się kryją, jako mogą.

Na mnie zaś sadzi trzech innych, dwóch z pałaszami, a jeden powrozy mając w ręku. Ten trzeci, to był sam Schwedicke. Odskczywszy wtył, trafiłem szczęśliwie na wierzbę; o nią się oparłszy, z determinacją czekam ataku, a pewno z prawdą się nie minę, jak powiem, że mi markotniej było o Deibla i Wedelsztedta, niż o mnie samego. Ci dwaj z pałaszami, co na mnie nacierali, byli to podoficerowie z mojej niegdyś chorągwi, poznałem ich zaraz, choć przebrani byli w mieszczańskie kapoty.

Spojrzałem na nich ostro i zawołałem po niemiecku:

— Słuchajcie Hollauf i Lipka! (tak się nazywali), ja komenderuję: stać! a jak nie staniecie, to dam ognia, a ty wiesz jeden z drugim, że ja strzelać umiem i nigdy nie chybiam!

Oni się na chwilkę zawahali, ale Schwedicke, dobywszy także krucicy, krzyknął na nich: *Pack an!* Natarli na mnie, a ja do Boga westchnąwszy, że krew ludzką przelać muszę, mierzę w sam chudy łeb Schwedickego i palę. Myślałem, że jak jego sprzątnę, to tamci tak na mnie srodze nastawać nie będą, bo swojej racji ku temu nie mają, a jeno za rozkazem ślepo idą. Mierzyłem niedobrze, bo strzał padł... ale Schwedicke został cały...

Nie miałem już czasu dobyć drugi pistolet, i już poprzestać musiałem na samej szpadzie. Broniłem się zaciekle, ale przeczuwałem, że mi tu już koniec

będzie, bo Wedelsztedt był już rozbrojony, a Deibel z okrutną biedą tylko się odcinał...

Owo już tylko miałem to na myśli, aby się żywcem nie dostać do rąk tych oprawców, ale do ostatniego tchu bronić się i tak umrzeć. Gdy się tak bronię z desperacją, kanalja Schwedicke podsuwa się z swym powrozem poza wierzbę ku mnie; płatnąłem go trochę w odlew, ale ledwie go szpada pomacała, a ja sam tymczasem, żem się był odsłonił, po mankiecie wziąłem od sierżanta Hollaufa, aż mi mało szpada z rąk nie wypadła.

— Strzelaj, kto może! — zawołałem na Wedelsztedta, który rozbrojony, umykając, jak długi się położył.

Na ten krzyk zerwał się Wedelsztedt z ziemi, umknął się dalej jeszcze, i paff! paff! dwa razy palnął do Schwedickego, ale zamiast go ubić, mnie mało życia nie pozbawił, bo kule tuż nad moim kapeluszem w wierzbę powsadzał...

Kuso już było z nami, a najbardziej ze mną, i już wszelkie speranse życia straciłem, gdy oto nagle zasłyszałem tętent konia i okrzyk głośny, potem dwie pistoletowe salwy. Schwedicke zwinął się jak kłębek, rzucił się do góry, zadrgał i jak snop na ziemię się potoczył.

Moi przeciwnicy zatrzymali się na chwilę w swym impecie, snać skonsternowani śmiercią swego herszta. Rzucam wzrokiem przed siebie, skąd mi ten sukurs spadł tak niespodzianie, i widzę pana Jacka Szturrawskiego, Towarzysza pancernej

chorągwi, jak siedzi już na karku tym dwom Prusakom, którzy na mnie nacierali.

Moi Niemcy teraz *fugas*, i nuż się rejterować do owej bryki, która stała opodal — a my sadzimy za nimi. Dopadli przecież owej fury, bo Szturrawskiemu koń się znarowił, a my z Deiblem dogonić ich nie mogli. Jeden z nich odwrócił się ku mnie i kapeluszem się pokłonił. Był to poczciwy Scherwein, do którego ja krzyknąłem:

— A pozdrów tam pana obersztera!

— *Grüss' Gott!* — zawołał Scherwein, jakby nic nie zaszło, i bryka w największym pędzie poleciała dalej.

Kiedyśmy już trochę ochłonęli po tej żwawej potyczce, ja najpierw pobiegłem do Schwedickego, aby obaczyć, czy też ratunku jakiego dać mu nie można, bo chociaż on mnie nieszczęśliwym chciał zrobić, to mi przecież żal było człowieka. Opatrzyłem go i poznałem, że już nie żył — a człek miał w tem trochę praktyki, bo się na to w lazaretach i na pobojowiskach napatrzył.

Zwróciłem się potem ku Szturrawskiemu, który z konia zsiadłszy, jak triumfator pokręcał wąsa, i rzekłem doń grzecznie:

— Mości panie Towarzyszu, podwójnie to szlachetnie ze strony Waszmości, żeś dał sukurs człowiekowi, którego niejako za adwersarza Waszmość uważać masz prawo, bo na nim satysfakcji honoru swego jutro właśnie masz poszukiwać. Przyjmże Waszmość Panie Towarzyszu wyraz najszczerszego

afektu wdzięczności, boś mnie z rąk złoczyńców salwował...

Mówiąc to, ręki mu jednak nie podałem, bojąc się, aby obrazy niedawnej pamiętny, dłoni mi swej nie umknął.

— Chwałaż Bogu, — ozwał się na to p. Szturrawski — że to, jak Waćpan powiadasz, łotrowie byli, bo jużem się frasował o to, czym trafunkiem jakim głupstwa nie zrobił... Bo to widzisz Waszmość, już ja taki z przyrodzenia, że kiedy obaczę, że się gdzie rąbią lub biją, to mi tak dłoń świerzbi, że się *volens nolens* wmieszać w to muszę. A potem mówią mi moi przyjaciele: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo!» Niedawno temu na sejmiku powstał tumult, a choć nie wiedziałem o co idzie, dalej między szlachtę z szerpentyną, tego po czuprynie, tego po karku, nie dyscernując, z jakiej tam który partji. Jednemu szlachcicowi nos odciąłem, drugiemu łysinę naznaczyłem, — a potem kłopot, i znowu mówią mi moi sąsiedzi: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo». Innym razem pobili się na jarmarku w Radomiu szewcy, owo licho mnie wzięło...

— Tym razem Waszmość nie zrobiłeś głupstwa, — przerwałem p. Szturrawskiemu — ale przeciwnie dobrą sukursowałeś sprawę.

I tu pokrótce opowiedziałem mu wszystko. Wysłuchał on tego z wielką indygnacją i snać go to mocno uradowało, że tak szczęśliwie trafił.

— Patrzże Waćpan, patrzże Waćpan, co to za wypadek *mirabilis*. A ja właśnie jechałem do Radomia, na ten jutrzejszy pojedynek, i aby z przepro-

szeniem Waćpana, wytrzepać mu kurtę dragońską, a tymczasem w salwatora się zmieniłem.

Kiedy on to mówi, ja tymczasem czuję, że mi się coś ciepło robi pod karwaszem; ściągam tedy rękawiczkę i patrzę, aż tu karwasz przecięty i z ręki krew mocno płynie. Dobyłem chustki i obwiązując ranę, mówię:

— Bardzo mi to przykro, że Waszmość intencji swojej jutro zadosyć nie uczynisz, bo owo widzisz Waszmość, pomacał mnie niecnota pałaszem...

— *Est modus in rebus, est modus in rebus* — odparł p. Szturrawski — czytałem ja, czy słyszałem kiedyś, że jeśli się kogo na rękę wyzywa, to dlatego, aby dać dowód rycerskiego animuszu w obronie honoru. Owo jak myślisz Waćpan, czy nie okazałem ja w tej dzisiejszej okazji animuszu, bo że Waćpan sobie mężnie poczynał, kilku drabom dostawszy placu, tom już jako naoczny spektator widział... Chodziłoby jeszcze tylko o obronę honoru... Hm... hm... Mości panie oficerze, ja doprawdy nie pamiętam, jak tam było u Mursza. Tylko mi znowu nazajutrz nad uchem klepali towarzysze: «Jacku, Jacku, zrobiłeś głupstwo!» Oto wszystko, co sobie zmiarkowałem... Powiedz mi Waćpan, kto kogo obraził, i niechaj ten tego przeprosi. Ja nie pamiętam o niczem.

— Kiedy Waćpan nie pamiętasz — ozwałem się ja na to — to i ja już zapomniał, a kiedy już rzecz jaka zapomniana, to tak jakby jej nie było, a jeśli jej nie było, to o co sobie łby rozbijać?

— Wydedukowałeś Waćpan tę rzecz, jak Cycero, albo jakowy inny mądry poganin. Niechże

Waćpana uściskam i chodźmy do Mursza! — zawołał p. Towarzysz.

— Nim pójdziemy do Mursza, musimy przedtem wstąpić do tej owo karczemki — ozwał się teraz Deibel — bo i ja lekko raniony jestem, a Wedelsztedt także. A z ubitym Niemcem także coś zrobić trzeba.

Zgodził się na to p. Towarzysz, a tak wzięliśmy trupa i zanieśli do karczemki. Schwedicke miał głowę roztrzaskaną, kula na wylot czaszkę przebiegła. Złożywszy zwłoki na ławie, poszliśmy wołać żyda, ale ten przestraszony, schował się gdzieś w najskrytszą dziurę. Musieliśmy tedy sami szukać wody, aby rany obmyć i jako tako opatrzyć, nim do miasta wrócimy. Wedelsztedt zaglądnął do małego alkierza, a wróciwszy naraz, zawołał:

— Pójdźcież Waćpanowie tu, coś wam pokażę.

Idziemy za nim, a on pokazuje nam parę ogromnych ostrogów, wyglądających z pod betów żydowskich. Chwycił Szturrawski za ostrogi obu garściami, szarpnął — i owo wyciągnął na wierzch, kogo?... domyślicie się już chyba, że Borawkę. Snać pan rotmajster i agent militarny wszech dworów europejskich, wybrawszy się na wyprawę wraz z Schwedickem, tutaj zwierzyny ułowionej oczekiwał, a usłyszawszy bitwę, w strachu takowe sromotne *refugium* sobie upatrzył.

Jak nas tylko obaczył Borawka, tak padł zaraz plackiem mnie do nóg, prosząc, bym mu życia nie brał, i tem się niecnota z swego nieczystego sumienia sam zdradził. Ja nie mogłem odmówić sobie

tej satysfakcji, że go ostrogą od siebie odtrąciłem, mówiąc:

— Pójdziesz z nami na odwach, psi synu!

Przez cały czas, kiedyśmy nasze rany opatrywali, infamis ów w błocie leżał, o litość prosząc, a zębami szczękając. Gdyśmy już byli gotowi, Szturrawski z ziemi go podniósł i płazem chciał oćwiczyć i ledwie go od tego instancją moją ochroniłem. Przytroczył tedy Towarzysz p. rotmajstra do konia i tak z sobą do Radomia przystawił, gdzieśmy go zaraz na hauptwach oddali. Następnie do kancelarji komisarskiej razem poszedłszy, wszystko jak było do akt podaliśmy. Borawka poszedł zaraz do wieży, bo przy Schwedickem znaleziono papiery, które szpiegostwo jego i współwinę w tym całym wypadku jasno wykazywały.

Tak załatwiwszy, co było potrzeba, poszliśmy do winiarni Mursza, aby odetchnąć i po tak gorącej przyprawie pokrzepić się nieco. Tu słyszę na wszystkie strony: «Mier przyjechał! Generał Mier jest w Radomiu!» Zaraz mi wpadło na myśl, czyby to nie dobrze było, pójść wprost do generała tego, zaprezentować się i o wakancję jaką prosić. Potwierdzili mnie w tej myśli Wedelsztedt i Deibel, jakoż tak uczynić zaraz nazajutrz postanowiłem.

Tymczasem czekałem jeszcze, czy nie nadejdzie Paszyc, ale gdy już wieczór się zrobił, a jego nie było, pożegnałem obu moich przyjaciół i p. Towarzysza Szturrawskiego i poszedłem do kwatery Paszyca. Zastałem go w wielkim frasunku, tam i sam chodzącego po izbie. Wynędzniał nieborak od cięż-

kiego zmartwienia i wysechł, jeno oczy czarne paliły mu się jakoby płomieniem, mając aliment swój w desperacji.

— Wiktorja! panie Paszyc! — zawołałem, uderzając go po ramieniu — stało się, jakem Waćpanu przepowiedział, wszystko Pan Bóg na dobre zmienił. Borawka siedzi już *in fundo*, a Waćpan jak byłeś rotmistrzem, tak nim i jesteś, bo owo przynoszę Waćpanu napowrót i patent i oblig i kartelusze żołdowe, a nawet cedułę od Borawki, jako mu się już nic a nic od Waćpana nie należy!

On się wypatrzył na mnie z wielkiem zdziwieniem, jakby mi wierzyć nie chciał, a gdy mu papiery wszystkie do rąk oddałem, stał jeszcze przez chwilę nieruchomy, jak słup, aż nagle, jakby z ciężkiego snu się budząc, z wielkim radosnym krzykiem w ramiona swe mnie chwycił, ściskając a całując. Ja mu dopiero wszystko *ab ovo* opowiedziałem, a on wysłuchawszy z wielką admiracją mojej powieści, z wielkiego ukontentowania i z afektu wdzięczności aż płakać począł, dając folgę rozczulonemu sercu.

Prawie po nogach i rękach mnie całował, dobroczyńcą i wybawicielem mnie swoim mieniąc. Potem znów w ekstrem wpadłszy, srodze lamentować począł, że mi tych sześć tysięcy, które wyłożyłem, wrócić z czego teraz nie ma — ale ja go pocieszyłem, zapewniając go *solenniter*, że czekać mogę bardzo długo i że frasunku o to żadnego do serca przypuszczać sobie nie powinien.

Po tem wszystkiem poszedłem do mojej kwatery, dokąd mi Paszyc zaraz felczera przywiódł, aby

mi na moją ranę, która bardzo lekka była, maść i bandaż przyłożył. Nie pamiętam, czym kiedy w życiu spał tak smaczno, jak tej nocy. Czy to bezpieczeństwo, w jakiem się już po rozprószeniu onych łotrów czułem, czy ów dobry uczynek, który dla Paszyca spełniłem, czy też znużenie i upływ krwi, czy też to wszystko razem taki mi słodki sen sprawiło — dość, że dopiero późnym rankiem nazajutrz się obudziłem, pokrzepiony na ciele i z pogodnem sercem.

Zaraz się ubrałem, aby jak to wczoraj postanowionem było, zarekomendować się JMĆ Panu generałowi Mierowi, który tu w Radomiu przypadkiem tylko będąc, już pozajutro miał wyjeżdżać. Nie chcąc stawać przed nim w ubiorze cywilnym, raz jeszcze ubrałem się w mój mundur pruski, już po raz ostatni w życiu na siebie go biorąc.

JMĆ Pan generał Mier stanął był na zamku, gdyż mu jeden z wojskowych komisarzy kwatery swej ustąpił. Przyszedłszy tam, opowiedziałem się oficerowi, co był przydany generałowi na ordynans, prosząc, by mnie zameldował. Powiedział mi oficer, że JMĆ Pan generał właśnie wybiera się z wizytą do księdza biskupa Załuskiego, że tedy trudno, by mnie chciał widzieć, ale skoro mi na tem dużo zależy, spróbować trzeba. Czekam tedy, niewiele mając nadziei, bym z panem generałem rozmawiał, gdy wkrótce powraca oficer i powiada:

— Panie Narwoj, Jaśnie Wielmożny pan generał prosi Waszmości!

Porwałem się szybko, raz jeszcze po sobie okiem rzuciwszy, czy też przystojnie i po regule wy-

glądam, i wchodząc do pokoju z zachowaniem całej subordynacji i rewerencji, trzy kroki ode drzwi naprzód postąpiwszy, w pozyturze frontowej stanąłem.

Wilhelm Mier był naonczas zgrzybiałym już starcem, służby już żadnej nie pełnił, ale regiment dragonji, który w bardzo długie jeszcze lata po jego śmierci Mirowskim się nazywał, zawsze pod jego główną bywał komendą i od niego też i forsztelacje i nominacje zależały. Był ten generał Szkot z urodzenia, a do Polski po fortunę przyszedł, a że jej był godzien jako żołnierz wielkiej dystynkcji i bardzo mężnej duszy, więc ją też i znalazł tutaj. W luterskiej religji wychowany i wzrosły, błędy heretyckie rewokował i na łono Kościoła katolickiego powrócił.

Kiedym stanął w pokoju, on był odemnie odwrócony, tak że twarzy jego nie widziałem. Kończył czytać list jakiś i nagle odwróciwszy się, szybko ku mnie postąpił. Ubrany był w ponsowy frak z szerokiemi złotemi galonami, przy złotym felcechu i szpadzie ze złotym gifesem, a na piersiach miał kilka gwiazd i orderów.

Spojrzał na mnie bystro, a ja też na niego z uszanowaniem spoglądnąłem — i owo nagle od wielkiej konfuzji i zdziwienia aż krew mi uderzyła do głowy i oczy mimowoli ku ziemi spuściłem... Albowiem wystawcie sobie, JMĆ pan generał Mier nie był to kto inny, jeno ów mizerny staruszek, którego ja pozawczoraj w winiarni Mursza w obronę wziąłem przeciw panu Szturrawskiemu!...

Stoję ja tak, jak na gorącym ruszcie, języka

w gębie zapomniawszy, i nie śmiem w oczy mu spojrzeć, a on bliżej jeszcze podchodząc, szorstko mnie pyta:

— Czego Waćpan żądasz odemnie?

Na szczęście ochłonąłem już trochę z tej okrutnej konfuzji, tak też śmiało odpowiem:

— Jaśnie wielmożny panie generał-majorze! Żądam najpierwej, abyś JW. Pan generał uwierzyć łaskawie raczył, że dziś po raz pierwszy widzę JW. Pana generał-majora Miera!

— A to Waćpan chcesz, abym wierzył w to, co nieprawda, bośmy się już pozawczoraj widzieli — rzecze on na to.

— To nie był generał Mier, — replikuję na to — ale starzec niepoczciwie obrażony, a daję parol szlachcica i oficera, że gdyby mi był kto powiedział, że ten starzec w winiarni był dostojną osobą JWielmożnego pana generała, nie byłbym stanął nigdy w tych progach!

— Dlaczego? — zapytał generał.

— Bobyś, Mości generale, mógł wtedy trzymać o mnie, żem jakową komedję odegrał i do faworów Jego sztuczką niegodną wkręcić się zamierzam.

Rzekłszy to z determinacją, salutowałem, i zrobiwszy zwrot wtył, chciałem odejść naprawdę, nie chcąc już o nic prosić generała, aby się podejrzenia takowego nie nabawić. Generał Mier chwycił mnie za ramię i zawołał:

— Stój, panie kawalerze; wierzę w to mocno, co Waćpan tu deklarujesz. W owej przygodzie pod wiechą postąpiłeś sobie jako honorowy kawaler i sta-

teczny oficer, którego respektuję i chwalę. Z miłego serca Waćpanu się chcę przysłużyć, jeżeli w czem mogę; mówże Waćpan otwarcie. Czy Waćpan w pruskiej służbie zostajesz?

— Nie, JW. Panie generale, — odpowiedziałem — otwarcie to wyznać muszę, że widzisz JW. Pan generał przed sobą dezertera, który chorągiew bez permisji i tajemnie opuścił.

Usłyszawszy takie zeznanie, pan generał Mier trochę krzywo na mnie spojrzał i niechętnie się odemnie cofnął. Jam mu żalu za to okazać nie mógł, bom sam całego żywota mojego był tej mocnej i niewzruszonej konwikcji, że żołnierz, co znaki swe opuszcza, na hańbę i sromotną infamję się wystawuje i poczciwość stanu swojego plami. Ale moja dezercja wcale innego była rodzaju, i radbym był widzieć oficera, choćby najstateczniejszym był, a honor wojskowy w wyższej nad życie swoje miał konsyderacji, ażaliby inaczej sobie począł w takowej rzewnej, a ciężkiej alternatywie, jaką Pan Bóg na mnie biednego był dopuścił...

Proszę ja tedy pokornie pana generała, aby mi łaskawie ucha swego użyczył i rozpowiadam mu po krótkości, jako się rzecz miała w ową na zawsze pamiętną mi wigilję Bożego Narodzenia. On tej historji osobliwej nie bez rzewności wysłuchał, rękę mi podał i tak się ozwał:

— Według naracji Waćpana postępek ten wcale inaczej się ilustruje, niżbym ja był sądzić mógł odrazu — a już najbardziej to Waćpana w opinji mojej rehabilituje, żeś zdradzieckim a podstępnym

kształtem i w wieku dziecinnym jeszcze do służby zwerbowany został. Maszże Waćpan jakowe swej służby *testimonia*?

Miałem przy sobie patent mój i kilka certyfikatów regimentowych, w których konduita moja chwaloną była — te mu podałem; on je tylko oczyma przebiegł i tak się ozwał:

— Wiesz, Waćpan, żeś mi się podobał, i że o jego losie chętnie pomyślę. W moim regimencie jest wakancja na rotmistrza, której dyspozycję sobie rezerwowałem; przyjmiesz ją Waćpan?

Gdy mu za taką łaskę moją wdzięczność zamanifestować chciałem, on nie dał mi mówić, ale grzecznie mnie pożegnawszy, popołudniu przyjść kazał. Jakoż gdym się o naznaczonej godzinie u JMĆ Pana generała stawił, adjutant jego doręczył mi patent na rotmistrza w regimencie Mirowskim i ordynans, abym zaraz do Warszawy jechał i w sztabie do aktualnej prezencji się meldował.

Tak tedy na dobre mi wyszła ta komisja radomska, na której zrazu samych tylko przygód i przykrych turbacyj zaznałem, i tak *Anno Domini* 1762 na nowo żołnierską służbę zacząłem.

ZAPATAN

...Patent, który mi wydał JW. pan generał Mier, miał wprawdzie walor dostateczny, jako od szefa regimentu wydany, wszelako za radą doświadczeńszych idąc, a i sam potrzebę tego uznając, chodzić zacząłem za tem, aby mi z kancelarji Króla Jegomości, jako Najwyższego gwardji koronnej, a zatem i regimentu Mierowskiego szefa, konfirmacja czyli patent osobny był ferowany. Dużo mnie to trudu i czasu kosztowało, zanim tam i sam biegając, a o instancje prosząc, takiego patentu się doprosiłem. Nareszcie otrzymałem dokument konfirmacji z kancelarji i z własnoręcznym podpisem Króla Jegomości, którego to patentu taki był *tenor:*

«Wszem wobec i każdemu zosobna, komu o tem wiedzieć należy, mianowicie jednak JOOym, JWWym, WWym Ich-Mościom Panom GenerałlejtnantomGenerałMajorom, Pułkownikom, Oberszt-Lejtnantom, Majorom, Kapitanom, oraz innym wszystkim, wyższej i niższej szarży, Wojsk Naszych i Rzeczypospolitej Cudzoziemskiego Autoramentu, Sztabs- i Ober-officyerom wiadomo czynimy, iż My przez wzgląd instancji JW pana Miera, Generał-Majora Wojsk Naszych

i Szeffa Regimentu Naszego Gwardji Konnej Koronnej, tudzież przez wzgląd statecznych zasług JMćPana Wita Narwoja, pierwszego niegdy w regimencie dragonji pruskiej porucznika, z przystojnego ułożenia, applikacyi, chwalebnych przymiotów i znajomości służby żołnierskiej, dobrze Nam wiadomego, umyśliliśmy konferować Onemu szarżę kapitańską w Naszym regimencie Gwardyi konnej Koronnej, jakoż i aktualnie dajemy i konferujemy tym Naszym Patentem, obligując wszystkich wyżwymienionych Ich-Mościów Panów Sztabs i Ober-Officyerów, ażeby odtąd, pomienionego JMćPana Wita Narwoja, za aktualnego w przerzeczonym Naszym Regimencie Gwardyi Konnej Koronnej kapitana znali i rekognoskowali, zadosyć czyniąc, cokolwiek *pro gradu et munere* tej Szarży należeć mu będzie. Na co ten Patent, dla większej wagi i waloru przy przyciśnieniu Naszej podpisujemy pieczęci.

Dan w Warszawie r. 1763».

Kiedym wyjeżdżał do Warszawy, aby się w sztabie do prezencji stawić i chorągiew moją objąć, markotno mi trochę było, a to z tej racji, żem się nieładu i owej mizerji żołnierza polskiego napatrzywszy, mocno tego obawiał, abym w mojej przyszłej służbie frasunków tylko daremnych nie zaznał, a na biedotę regimentu i szwadronu mego nie patrzył, nic na to poradzić nie mogąc...

Dał Pan Bóg lepiej, niżem się tego spodziewał, bo owo wszystko składniej i w uczciwszej kondy-

cji zastałem, niżeli po temu były aspekta. Dragonja Mierowska, czyli gwardja konna koronna najlepiej może usztyftowaną była ze wszystkich regimentów autoramentu cudzoziemskiego, a żołnierz w niej lepiej był ćwiczony, niż to zazwyczaj za onych czasów w Rzeczypospolitej bywało. A był to wyjątek z polskiej reguły, bo kiedy Król Jegomość wszystkie swe saskie wojska pod Pirną mizernie utracił, a z elektorstwa swego rugowany przez Prusaków, w Warszawie *volens nolens* siedział, to własnego saskiego żołnierza nie mając, dragonję Miera do swej służby przeznaczył, zaufaniem ją swem i łaską monarszą honorując, z szkatuły swej prywatnej grosza nie skąpiąc, byleby ten regiment oku ludzkiemu uczciwie się prezentował, a dworowi Pańskiemu wstydu nie czynił.

Z takowej racji regiment Mierowski i ekwipowany był i żywiony i płacony regularnie, a co mnie najmocniej radowało, do żadnych zacnego stanu wojskowego niegodnych posług nie był pociągany. A trzeba wam wiedzieć o tem, że bywało to gęsto, a nawet może i wszędzie w Polsce, że żołnierz autoramentowy wszystkiem bywał, i pachołkiem i kuchtą i fagasem, jeno nie żołnierzem. Najmowano go sobie do posług nikczemnych za wiedzą i rozkazem komendy — a nie było w Warszawie wielkiego obiadu, aby żołnierze w mundurach paradnych i lederwerkach nie byli używani do noszenia półmisków na stoły magnackie.

Działa się stąd wielka krzywda honorowi żołnierskiemu; ano żołnierz bez uczciwej ambicji, a bez

honoru szlachetnego, co zacz, jak nie najemnik nikczemny? Kuchni pańskiej, a nie ojczyźnie sługując, na tem już niejeden regiment sztukę swoją militarną z aplauzem kończył, że przy wiwatach biesiadnych na znak pana marszałka salwy strzelał, a to jedyny ogień bywał, w którym go prochu wąchać uczono.

Bywało pan szef regimentu, rzemiosła żołnierskiego tak samo świadom, jak ja hebrajskiego języka, innych panów u siebie gości, pół regimentu na podwórzu ustawi, a gdy się chce rangą swoją generalską popisać, z okna *Gib Feier!* zawoła, kontent sobie bardzo, że biesiadnikom honor wojskowy czyni. W regimencie Miera tego nie bywało. Żeby to było z ujmą majestatu Króla Jegomości, gdyby ten sam żołnierz, co jego dostojnej osoby strzeże, a w zamku monarszym straż trzyma, kuchni pańskiej pilnował, więc też nigdy żaden dragon z naszego regimentu do żadnej podłej usługi nie śmiał być komenderowany, a tak i mnie przyjemnie to było oficerem być w takim pułku.

Do tego dodać jeszcze trzeba, że regiment Mierowski pełny miał *status*, i że moja chorągiew, jak i inne, dobrze była pokryta, sto koni mając. Był to sam piękny a dobrany żołnierz i dobrej reputacji używał. Nie chodził też obdarty, jako to nieraz bywało, ale uczciwie i chędogo ubrany, mając mundur i moderunek cały z łaski Króla Jegomości w przyzwoitym porządku. A miała dragonja Mierowska kabaty czerwone, kamizelki i spodnie jasnego granatu, koliste płaszcze z lisztwami, sztylpy wysokie, a kapuzy czerwone na głowie — wszystko to

chędogie i pasowne. Król Jegomość, dbając o swoją gwardję, coś już na krótko przed śmiercią swoją sprawił był regimentowi całemu mundur okazały paradny, jakim się żaden inny pułk, nawet dragonja JMĆ pana koniuszego Wielopolskiego pochwalić nie mogła. Owo cały regiment miał od wielkiego święta kolety z łosiej skóry, kształtem francuskim krojone, czerwonemi taśmami pięknie burtowane, na piersiach zaś i na plecach u koletów były dwie pozłociste gwiazdy, albo jakoby słońca.

Moderunek był dobry i według reguł niemieckiej praktyki militarnej. Miał każdy żołnierz karabin, pałasz, bagnet i parę pistoletów, czyniąc niemi musztrę pieszą lub konną, bo obie znać musiał, jako iż dragoni w batalji według obu regulamentów zażywani być mogli. Konie same tęgie i silne fryzy, trochę ciężkie, ale dobrze dobrane.

Za ambicję to sobie miałem, żeby, kiedym dobrego żołnierza dostał, jeszcze lepszego zeń zrobić. Trochę mi to twardo było zrazu, bo i żołnierze i oficerowie moi trochę do wygód się przyzwyczaiwszy, niechętni byli do ostrej musztry, cały kunszt na paradnym marszu, na trzymaniu ordynku, a na zręcznem skwerowaniu bronią przed królem i hetmanami sobie zasadzając. Było też mnogo hałasu, jako ludzi męczę i oficerów niepotrzebnie turbuję — ale żem się nauczył karność chować u Prusaków, a mocną ręką władzę w chorągwi trzymałem, więc musiało być po mej woli.

Jakoż bez przechwałki to, a z chlubą poczciwą powiadam, że chorągiew moja była tak dobrze wy-

ćwiczoną w rzemiośle żołnierskiem, że byłbym się nią nie powstydził przed dawnym obersztem moim, grafem Koggeritzem, a nawet przed samym królem Jegomością Fryderykiem. Na dobre to wyszło później, bo kiedyśmy na hajdamaki wyszli, nie raz i nie dwa razy chorągiew moja łotrostwo poskromiła, nietylko mężnie, ale z wszelaką wojskową regularną precyzją sobie poczynając, a kiedy bywało panowie Towarzystwo i lekkie pułki przedniej straży tył podawać musieli lub srodze byli turbowani, dragoni moi wszystkich salwują i między opryszkami rum robią, sami nie ponosząc dużego szwanku.

Bywało panowie Towarzystwo pancerne i Husarja z wielkim animuszem i okrutną fantazją natrą, kupą gęstą bieżąc i tumult a okrzyk wielki czyniąc — ale gdy się tego hajdamactwo nie ustraszy, a impet na impet nasadzi, dawaj w rozsypkę iść, a mieszać się, a nawet — na despekt to nam nieraz było — nędznie umykać; zaś dragoni moi, gdyby mur plac trzymają, z konia w lot zsiądą, ogniem plutonowym sypią lub w bagnety pójdą, a cichutko i sfornie, jakby machiny, jeno komendy nadsłuchując... Ale o tem potem jeszcze.

Dwa lata w Warszawie lub pod Warszawą z szwadronem moim stałem, i na elekcję króla Stanisława Augusta patrzyłem. Po tym czasie otrzymałem ordynans, ruszyć z Warszawy, a do Lwowa maszerować, jako że stamtąd pan generał Korytowski, komendant tego miasta, piechotę swą do Kamieńca oddawszy, bardzo a bardzo o augmentację garnizonu upraszał. Daleka to była droga dla mnie, i daleka

Ukraina, ta Ruś, bo jej dotąd nigdy nie widziałem, a dla mego szwadronu takoż miłym ten ordynans nie był, bo się to już wszystko w Warszawie osiadło było jakoby w domu, ale ordynans ordynansem, a kiedy marsz, to marsz i kwita.

Żałowali mnie koledzy i radzili, abym pana szefa upraszał, by mnie już w tak daleką drogę nie ruszał, ale poprostu chorągwi do Lwowa odmówił, jako że żołnierz w marszu jest w tej Rzeczypospolitej mizernem a nieszczęśliwem stworzeniem. Mówili mi, że się biedy najem i frasunku w tym opłakanym marszu, i że żołnierze z głodu przymierać mi będą. Mówili i mieli rację, bo tego marszu nie zapomnę ja nigdy; tak on mi dojął aż do siódmej skóry.

Śmieli się też ze mnie rotmistrzowie inni, a sarkali mocno oficerowie mego szwadronu, żem na ten marsz ani sam krytego powozu dla siebie nie brał, ani żadnemu z oficerów brać nie dopuścił. Jam taki żołnierz jako i mój pocztowy i najniższy gimajne; może on tłuc się na koniu sto mil, mogę i ja także, i wy możecie, a nietylko możecie, ale i po rygorze wojskowym powinniście i musicie, bo na to ty oficer, abyś szeregom twoim przodował wszystkiem, więc i trudem i bezsennością i głodem, kiedy na to padnie; i abyś z tych wszystkich cnót i kapitalnych kondycyj rycerskich dawał dobry przykład z siebie. Taką perswazję usłyszeli odemnie i do niej się też *accurate* stosować musieli.

Rozpoczął się mój marsz pod złemi auspicjami. Wydano mi ordynansy, wypisano rutę, a kazano

czekać na pieniądze, bo ich w regimentowej kasie nie było. Termin wymarszu nadszedł i minął, a grosza żadnym ludzkim sposobem doprosić się nie było można. Chodź od Anasza do Kajfasza, tędy i tamtędy, suplikuj, gwałtuj, lamentuj — a wszystko nadaremno. Ściągnięto po długiej i ciężkiej biedzie jakąś sumkę wkońcu — o reszcie samemu pamiętać kazano.

Zaraz też ułożyłem marszrutę i, jak należy, szachownicą puściłem się naprzód. Odkomenderowałem do szachownicy dwadzieścia ludzi z oficerem, ten zaś znowu forwachtami się wysunął naprzód, abym ja z chorągwią moją następując, wszędzie już dach i furaż mógł znaleźć. Ale co tam pomogła szachownica cała, i biedne nasze forwachty! Boże zlituj się, kiedybym tak miał wodzić regiment, a dajmy na to armję całą, toby mi jak garść lodu w garści stopniała po drodze; bo bywało tak w Polsce, że żołnierzowi w marszu zostawała takowa chyba alternatywa: Bądźże sobie opryszkiem, albo giń z głodu i od zimna!

Wiedziałem ja dobrze, że mnie słodycze nie czekają, do niewygód kampamentowych byłem wprawiony, a i to mi nie była żadna nowina, że w naszej Rzeczypospolitej bywało zawsze po przysłowiu:

Hospitium vile,
Czarny chleb, cienkie piwo, bardzo długie mile.

Czegom wszelako nigdy się nie spodziewał, to owej nieuczciwej renitencji a niegościnności ze strony panów szlachty. Gdzie się przywlokę, tam moi

ludzie z szachownicy, trzy dni przodem wysłani, naprzeciw mnie bieżą, a lamentują i skarżą, jako nietylko ani jednego źdźbła siana dla koni i jednego kęsa chleba dla chorągwi zaasekurować nigdzie nie mogli, ale ano i sami nic nie jadłszy, a pod bożym namiotem kampowawszy, z głodu i zimna przymierają.

Idź do jednej wsi, szlachcic woła: «Mijaj Waćpan; mam libertacją!» — idź do drugiej, szlachcic protestuje, jako ma libertacją od wszelkiej kwatery i wojskowego ciężaru. I ten ma libertacją, i tamten ma libertacją, i ów ma libertacją — miły Boże! — a czem dragona i konia nakarmisz, boć oni od głodu i ludzkich potrzeb nie dostali ani od Króla Jegomości, ani od wojskowej komisji libertacji!...

Proś, groź, sumituj się pokornie — za nic to wszystko, bo owo pan szlachcic na wszystkie *onera* wziął libertacją. Trzymajże teraz żołnierza kupą, aby w łotrostwo się nie rzucił, a i sobie nie wziął od rygoru a uczciwej karności libertacji. Siła mnie to kosztowało, aby ludzi moich od gwałtów powstrzymać, a siebie samego w pasji miarkować, bo cię pan brat szlachcic nieraz i grubem słowem poczęstował i despekt wyrządził. Płacę wszystko uczciwie, i to nie pomaga, i kieską i dobrem słowem ich nie ugłaskasz; przenocować ci nie dadzą. Trzeba sobie było radzić — to też wkońcu, nie pytając wiele, a na ordynans własny bacząc, musiałem mocą to rekwirować, co mi po miłej woli dać nie chciano. Owoż i wrzask i hałas okrutny, a przegróżki i skargi do komisji wojskowej.

Zabierz szlachcicowi dwie wiązki siana, a on zaraz pełną gębę brzmiących argumentów weźmie, a na papierze w lamentacje okrutne się rozsypie, i do Hetmana albo do komisji wojskowej żałobę wyprawia; za miarę mizernego owsa i nędzny strawny traktament żołnierski do króla Jegomości *directe* pisze, a na *pacta conventa* się odwołuje, szumnie wywodząc, jako ta złota wolność Rzeczypospolitej i zacny stan szlachecki srogiego pokrzywdzenia, lezji, gwałtu, tyranji, i Bóg nie wie czego jeszcze zaznaje!

Ledwiem we Lwowie stanął, a już kilkanaście skarg takich z komisji wojskowej na ręce pana generała Korytowskiego przyszło z nakazem, abym się ekskuzował; a ja komu miałem skarżyć i gdzie moich frasunków i przykrości dochodzić, i zapłaty się domagać? bom z racji tego marszu i innych koniecznych wydatków *circa* siedmiu tysięcy złotych z własnego mieszka wydał, i tych nigdy od skarbu odebrać nie mogłem, a tak mizerny oficer ku szkodzie przychodził, byle pan brat szlachcic od najmniejszego ciężaru był wolen.

A jużbym tego wszystkiego łacnie zapomniał i wszystko przebaczył, ale później serce się krajało, a serdeczna boleść duszę zdejmowała, kiedy się człek w lat sześć potem napatrzył własnemi oczyma, jak owa butna a narowista bracia szlachta, co ongi własnemu żołnierzowi lichej strawy a żołdu żałowała, Austrjakom, kiedy kordonem wchodzili, piwnice otwierać musiała i stoły suto zastawiać, i jak lada kapral mizerny staroście nakazywał, a pan starosta

ani słówkiem oponować nie śmiał. Owo masz tobie złotą wolność, a szlachecką dostojność!

Tak ciężko po drodze biedując, nareszcie za łaskawą pomocą Bożą do Lwowa przymaszerowałem, a tak szczęśliwie, żem wszystkich ludzi i koni w najlepszym porządku i dobrem zdrowiu zachował. Trwał mi ten marsz całych dwa tygodni, a brałem się w niem na Górę, Mniszew, Kozienice, Sieciechów, Gniewoszów, Lublin, Krasnystaw, Zamość, Rawę i Żółkiew.

Nim jeszcze stanąłem we Lwowie, przydarzył mi się w marszu wypadek, którego opowieść zaraz tu kładę, bo nietylko sam przez się był dziwny, ale i później we Lwowie w jeszcze dziwniejszej historji miał swoją kontynuację i koniec. A już nie wiem, jak wam się ta moja przygoda wyda, i jaką tam o mnie z tej racji mieć będziecie opinję: czylim też mądremi na wszystko patrzył oczyma, czylim też to za dziwy miał nienaturalne, co albo omamieniem albo szalbierstwem było; bom ja prostaczek był i jestem, i rad to sam zeznaję; a jakem na co patrzył, tak też i w naracji mojej to mieszczę, niczego filozofją nie dociekając...

Kiedym z chorągwią moją do przedostatniej przede Lwowem stacji dojeżdżał, to jest do Rawy ruskiej, wyjechali przeciw mnie ludzie moi z szachownicy z podoficerem, aby szwadron do miasta wprowadzić i kwatery wskazać. Jakoś im tym razem fortunniej się powiodło, bo dla ludzi i koni znaleźli opatrzenie, a całą chorągiew tak składnie rozlokowali, że jej rozrzucać nie było trzeba na kilka

mil po wsiach sąsiednich, ale wszystko to jakoś kupą pomieścić się dało. Pytam wachmistrza, a gdzież mnie i panów oficerów postawisz? a on mi na to:

— Pod czterma wiatrami, Mości rotmistrzu!

Dobra mi kwatera, myślę sobie, znam ja ją dobrze; nie raz i nie dwa razy w mojem żołnierskiem życiu do niej zajeżdżałem.

Podoficer widząc, że się uśmiecham, rzecze dalej:

— Jest, Mości rotmistrzu, karczma w tej tu mieścinie, co się tak zowie; najporządniejszy to dach w całej Rawie; tam panom oficerom kwaterę zakryliśmy.

Jedziemy tedy z oficerami i z jednym plutonem do owej karczmy pod czterma wiatrami, resztę chorągwi na wyznaczone miejsca już rozesławszy. Właśnie kiedy podjeżdżałem pod bramę, ujrzałem koło niej jakiegoś młodego człowieka, który stojąc patrzył na nas wjeżdżających. Doświadczyłem tego w życiu, jako bywają ludzie, co figurą i widokiem swoim dziwną jakowąś robią impresję, do duszy i pamięci się wciskając na długo, a czasem to już i na zawsze. Do takich ludzi należał i ów nieznajomy człowiek, którego cały aspekt był taki, że nie można było, popatrzywszy, zaraz od niego oderwać oczu. Ubrany był z cudzoziemska, w pończochach jedwabnych i we fraku, ale całkiem czarno i bez najmniejszego haftu złotego i burty, co na owe czasy rzadkością było, jako iż miłowano się bardzo w barwistych i wzorzyście tkanych bławatach. Na głowie nie miał peruki, ani też pudrowany nie był po modnym zwyczaju, ale

włosy czarności połyskliwej bardzo krótko miał strzyżone i okryte kapeluszem czarnym bez żadnego galonu, a jeno z małą kitką z czerwonych kogucich piórek. Przy boku miał szpadę długą, w czarnej pochwie, a z rękojeścią stalową szmelcowaną, na pendencie czarnym, bez żadnej szarfy pozłocistej lub choćby najmniejszej ozdoby. Czarny, długi płaszcz okrywał mu ramiona — zgoła nic na nim nie było jasnej barwy, prócz śnieżnej kryzy i żabotów z przedziwnych koronek, i nic świetlistego, prócz jednej wielkiej spinki z dużym brylantem, która pysznym i lśniącym blaskiem jaśniała pod szyją, jakoby skry sypiąc, a za oczy chwytając.

Ale od tego brylanta takowej wielkości, żem całego żywota mego nie widział żadnego o podobnych proporcjach, chociaż później oglądałem ów po całym świecie słynny skarb brylantowy JP. grafa Walickiego, iskrzyły się bardziej jeszcze oczy tego człowieka. Jako żywo, takich oczu i takowej ich piekielnej ognistości nie widziałem i widzieć nie będę, ano i nie chcę. Te duże oczy wydały mi się jakoby jakieś dwa czarne płomienie, jeśli tak rzec nie jest *absurdum*, albowiem czarnych płomieni nikt nie widział, a i w gorączce obłąkanej nie imaginował sobie; a przecież tak było, albo mówiąc lepiej, tak mi się to zdało, iż gdyby fantazja ludzka czarny płomień wystawić sobie mogła, takiby on koniecznie być musiał, jak oczy owego człowieka.

Oculi scopuli, mawiano; a ja miałem w życiu mojem długiem mnogie tego, a niezawodne znaki, jako niekiedy oczy ludzkie przedziwną a niewytłu-

maczoną mają siłę. A owo nie mówię tu o oczach gładkiego dziewczęcia, bo *in puncto* takowej słodkiej siły wy młodzi jesteście *experti*, ale o wzroku męskim, który miewa władzę straszliwości albo dziwnego przymilenia, i albo cię jakowąś grozą przejmuje, albo ku sobie ciągnie, choć wyskocz ku niemu.

Znałem ja w pruskiem wojsku oficera, który miał taką straszliwość w oczach, a już najbardziej wtedy, kiedy był w pasji, lub na rękę się z kim potykał, że choć gracz na szable nie był tęgi i celnie nie strzelał, zawsze górą bywał w pojedynkach, i z kim się bił, tego pewnie zarąbał. Jakoż wiaryby temu nikt nie dał, ano to prawda jest szczera, że najmężniejszego serca oficerowie, a szermierze przytem najlepsi, tracili fantazją i animusz, a wychodzili z rozprawy kalecy lub życie dawali.

Owoż chłopczyna mały, wyrostek nieletni, słaby i gładki jak dzieweczka, z pruskiej możnej rodziny, co był kornetem w naszym pułku, miał raz z owym smokiem przyprawę, a chcąc zachować honor oficerski, potykać się z nim musiał. Żal nam było dziecka, ale nie było rady. A przybył do regimentu naszego nowy felczer, Włoch, Vivaldi nazwiskiem; ten tedy rzecze do biednego korneta:

— Kiedy się bić będziesz, nie dbaj o szermierską regułę, a nie patrz przeciwnikowi w oczy, bo marnie pójdziesz — ale patrz mu na klingę, to serca nie stracisz i głowy ci ta bestja sroga nie utnie!

Jak rzekł, tak się i stało; kornet nie okiem, ale klingą adwersarza się wodził, i owo patrzcie, nietylko że sam obronną ręką z przyprawy wyszedł, ale

i przeciwnikowi swemu gębę naznaczył — z której to walki Dawida przeciw Goljatowi w całym regimencie dziwu i śmiechu było niemało.

Ale owo sprawdza się na mnie przysłowie: *senectus garrula;* człekby chciał wszystko jednym łasztem opowiedzieć, i z drogi zbiega, bo staremu łatwiejby jeszcze tysiąc jezdnych uszykować, aniżeli wszystkie reminiscencje w należytym utrzymać porządku.

Wracam już tedy co żywo do Rawy, do gospody pod czterma wiatrami i do owego czarnego nieznajomego. Otóż oczy te jego czarne a płomieniste jeszcze mnie bardziej olśniły, że twarz miał bladą, a w jakąś sinawość wpadającą. Nos miał długi, ściągły i dobrze zakrzywiony, a około ust i na całej twarzy biegał mu ciągle uśmiech jakiś przykry a nieczysty. Już ja tego dobrze opowiedzieć nie potrafię, bom w słowach nie bogaty i swady kunsztownej niewprawny — ale dość powiedzieć, że mi ten człowiek tak stanął przed oczyma, jakby żywcem ze snu ciężkiego był, a nie ze świata i z pod Bożego słońca.

Mimo woli mej patrzyłem długo na tego człowieka, jakby na widziadło jakie, gdy naraz mój koń, który zawsze bywał spokojny i powolny, parsknął głośno i drżąc cały w szalonym skoku, stanął dęba, tak gwałtownie a silnie wtył się odsadzając, żem omal co z siodła się nie powalił... Odwróciłem oczy od nieznajomego, szukając, czegoby mój koń tak się srodze nastraszył, i widzę, że mój siwosz omal nie

nastąpił nogą na dużego kruka, który stał na samym progu wjazdowym.

Ptak to był niepraktykowanej wielkości i nie bał się konia, ale nastawił mu się ostro, pierze najeżywszy. Zaskrzeczał głośno i przeraźliwie, a porwawszy się nagle z progu, czarnemi skrzydłami aż w oczy konia uderzył, i prosto siadł na ramieniu owego czarnego kawalera. Wstrzymuję silnie konia i gładzę go po najeżonej od strachu grzywie, aby go uspokoić, kiedy widzę, jak ta bestja czarna, ten kruk brzydki, ślipie na wierzch wysadziwszy, gruby dziób rozwarł i jakby ludzkim głosem, jeno tak przykrym a skrzypiącym, że aż po uszach chodziło, krzyczeć począł:

— *Arabet! Arathran! Arrathrran! Metatrran!*

Słowa te, które ów szpetny ptak przeraźliwie wołał, wbiły mi się w pamięć głęboko, chociaż takie były dziwaczne, a mnie całkowicie niezrozumiałe, bom je później we Lwowie słyszał jeszcze wiele razy. Nieznajomy podróżny zaśmiał się i chwyciwszy kruka ręką, rzucił go poza siebie całym impetem, kruk zaś, padłszy na słomę w sieniach karczemnych, strzepał skrzydła, podleciał na pobliską drabinę i stamtąd począł się wrzaskliwie śmiać, to jest naśladować śmiech człowieczy, jakby się i z kłopotu mojego i z gniewu swego pana niepoczciwie urągał. Nieznajomy podróżny ukłonił mi się grzecznie, dotykając kapelusza, jakby mnie chciał przeprosić, a ja też oddawszy mu ten komplement, zsiadłem z konia, i oddając go memu luzakowi, poszedłem do izby.

Dla nas wszystkich oficerów jedna duża izba przygotowaną była, a łóżek w niej nawet nie było, jeno siana świeżego nam naścielono. W stajni zaś karczemnej umieszczonych było jeszcze dziesięciu pocztowych moich. Przyjechaliśmy do Rawy już około południa, więc też nim się człowiek oczyścił, nim się posilił i odpoczął, a potem nim się rozrachował i rozpłacił za całą chorągiew — albowiem wczas to trzeba było zrobić, bo nazajutrz skoro świt mieliśmy wyruszyć w marsz dalszy — już i wieczór zapadł. Zeszliśmy się oficerowie do izby gospodniej, aby spożyć wieczerzę, jakiej dostać było można, i zapić kwaśnym cienkoszem rawskim, co go, nie wiem z jakiej racji, tytułem wina żyd karczmarz uhonorował — a było nas razem pięciu, tj. ja, dwóch pierwszych i dwóch drugich poruczników.

W izbie palił się duży ogień na kominie, a przy nim zastaliśmy owego czarnego kawalera. Siedział plecyma do nas odwrócony, długie, chude nogi wyciągnął naprzód przed siebie, i patrzył ciągle w żar ogniska. W ciemnym kącie koło komina siedział kruk jego i zdawał się drzemać, ale co chwila podnosił łeb do góry i chrapliwym głosem się odzywał, wyraźnie jakgdyby we śnie jakimś niespokojnym.

Wszystkich nas bardzo zdziwił i zaciekawił ten podróżny, ale już najbardziej jednego z młodszych moich oficerów, niejakiego Aksamickiego. A że w tej historji, której opowieść teraz słyszycie, o nim mi mówić ciągle przyjdzie, więc tedy zaraz tu z początka umieszczę o nim wiadomość. Był ten Aksamicki synem jedynakiem bardzo bogatego mieszcza-

nina warszawskiego, a służył w regimencie naszym nie z żadnej potrzeby, a tylko z fantazji i wrodzonej do stanu żołnierskiego ochoty, bo miał szlacheckie aspiracje, i ani o handlu, ani o innej żadnej kondycji mieszczańskiej ani słyszeć nie chciał, w czem mu też ojciec jego folgował, majątku już dość nagromadziwszy, a syna bardzo miłując.

Młodziutki to był chłopak, urodziwy i przyjemny, a chociaż, jak rzekłem, z ochoty tylko służył, przecież statecznym i dobrym był oficerem. Myślałem, że kiedy mojej chorągwi do Lwowa ruszać kazano, on z pewnością albo służbę porzuci, albo do innej chorągwi się przeniesie, a ze mną nie pójdzie i Warszawy nie opuści, w której zrodził się i wychował, i rodzinę miał swoją. Owo tymczasem zdziwił mnie niepomału, kiedy nietylko się nie zafrasował tym ordynansem, ale owszem rozradował się nim bardzo, wielką ochotę do marszu okazując. A była tego przyczyna taka, jak się przy tej sposobności dowiedziałem, że miał on we Lwowie pannę swoją, która mu była przyrzeczona, a ku której miał afekt wielki i serdeczny. Była to córka lwowskiego kupca, Ormianina, nazwiskiem Wartanowicza, którą ojciec na dłuższy czas wysłał był do krewnych w Warszawie na edukację, a przed kilku miesięcy napowrót do Lwowa odwiózł. Aksamicki w Warszawie poznał tę panienkę i tu się owe strzeliste zaczęły amory.

Ojciec jego przed samym wymarszem naszym kilka razy do mnie przychodził, gorąco o to prosząc, abym jego syna nietylko jako starszy i komendant, ale jako brat wziął w opiekę, co mu też chętnie obie-

całem, bom młodego Aksamickiego lubił bardzo, jako przyzwoitego młodzieńca i dobrej aplikacji oficera. Jakoż nicby mu zarzucić nie było można, prócz jednej wady, a raczej dziwactwa, na które, myślałem, że sam wiek dojrzalszy będzie mu skutecznem lekarstwem.

Był bowiem ten młody Aksamicki bardzo do jakowejś wiary w gusła i cudowne kombinacje skłonny, co nie z głupiego zabobonu szło, ale z bujnej fantazji, którą mu jakiś Niemiec nauczyciel popsował, ciągle mu w ucho kładąc rozmaite dziwy o alchemji nibyto i magji. Tak mu tem młodą głowę zawrócił, że Aksamicki bywało ciągle nad księgami siedzi, a tygle jakoweś i rozmaite rurki nad ogniem smaży, bezustannie coś operując.

Jam to miał za dziecinną zabawkę, i nieraz go też śmiechem i żartami zbywałem, że złoto warzy, a jak mistrz Twardowski stare baby w gładkie dzieweczki transmutować się uczy. Miał też Aksamicki nieraz za swoje, bo że to w owych czasach przeróżnych szarlatanów i szalbierzy, co magów i alchemików udawali, co niemiara było, a i po Warszawie mnogo się ich uwijało — więc go niejeden z nich dobrze podgolił na mieszku. Ale on na to nie zważał i z tej nauki korzystać nie chciał.

Owoż Aksamicki, siedząc z nami w izbie «pod czterma wiatrami», oczu od tego nieznajomego kawalera nie odwracał, a patrzył w niego bez przerwy jak w tęczę. Gdy my sobie czynimy rozmaite domysły, co zacz może być ten człowiek, co z tą czarną gadającą poczwarą się wodzi, czemby się trudnił

i z jakiego kraju pochodził, on nam powiada, żebyśmy nieznajomego tak lekce nie traktowali, a owszem z respektem a ostrożnie na niego patrzyli, albowiem pewną jest rzeczą, że to nie żadna pospolita jest osoba, i nie żaden człowiek jak my wszyscy, ale zapewne jakowyś magik i mistrz wszelakich tajemniczych scjencyj. Chciałem go jak zwykle żartem zbyć i śmiesznym konceptem jakimś odwieść od takiego gadania, ale przyznać się muszę, że obecność tego dziwnego nieznanego człowieka jakoś mi wesołość odebrała, a nietylko mnie, ale i towarzyszom moim, którzy tożsamo siedzieli cicho, ciągle ku kominowi, to na kruka spoglądając.

Kiedy tak siedzimy, wpada nagle wachmistrz do izby i raport zdaje, że się jednemu z ludzi moich zdarzyło nieszczęście. Dragon jeden, jadąc poić konia swego, miał taki wypadek, że koń spłoszywszy się, zrzucił go na ziemię, a tak nieszczęśliwie, że żołnierz, uderzywszy głową o kamień, bez znaku życia pozostał. Przykra nam była ta wiadomość bardzo, i porwaliśmy się wszyscy od stołu, a tu na nieszczęście własnego felczera z sobą nie mieliśmy.

— Czy zabity na śmierć? — pytam wachmistrza.

— Zdaje się, Mości rotmistrzu, — odpowiada — że już martwy, bo już tam ani śladu tchu w nim niema!

— Gdzież jest? — wołam.

— Przynieśliśmy go tu do gospody i w stajni położyli na słomie.

— Nieścież go tu zaraz! — rozkazałem — a ty biegnij co żywo do miasta i felczera mi szukaj!

Wachmistrz wybiegł, a ja też za nim, aby owego biedaka do izby gospodniej tem prędzej przynieść. Wniesiono go bez oznaki życia, martwego, jeno z głowy zwolna płynęła jeszcze krew, krzepnąc natychmiast. Miałem małą praktykę w tem, jak przy gwałtownych ranach pierwszy ratunek dawać, bom się był tego na wojnie przyuczył — wołam tedy o wodę, nadzieję mając, że to nie śmierć jeszcze, a tylko martwość omdlenia. Na ten hałas odwrócił się od komina ów nieznajomy, a ujrzawszy, co się stało, przybiegł ku choremu, nas wszystkich zlekka odsuwając, i ozwał się po łacinie:

— Mnie go zostawcie; temu żołnierzowi nic nie będzie.

Ustąpiliśmy na bok, patrząc na nieznajomego, który świecę przy głowach rannego postawiwszy, nad nią się nachylił. Przypatrzyłem mu się teraz bliżej i bardzo mnie to zdziwiło, że twarz tego człowieka wydała mi się na chwilę bardzo starą, i że w fizjognomji jego leżała jakaś dziwna zgrzybiałość wieku. Przetarłem oczy, bom go przecież przed chwilą młodego widział, i co najwięcej trzydzieści lat byłbym mu pisał — i owo przekonałem się, że twarz nieznajomego zmieniła się w niepojęty mi sposób, i że choć gładka a młoda była naprawdę, przecież od chwili do chwili zgrzybiałość starca przypominała.

Nieznajomy chwilkę w martwego żołnierza się patrzył, skronie mu zlekka obmacał, wodą zimną

twarz mu obmył, a potem wydobył z kieszeni flaszeczkę z płynem jakimś. Była to flaszeczka wąziutka a malutka, jak mały palec, a znajdowało się w niej fluidum takowej gorącej a żywej barwy czerwonej, jakiej mi się nigdy oglądać nie przytrafiło. Z tej małej flaszczyny puścił on kilka kropli do ust dragona, wpierw mu zęby ściśnięte gwałtownie otworzywszy, a potem odstąpił na bok i rzekł:

— Jutro pomaszeruje dalej, albowiem zdrów już jest.

Nie bardzom tym słowom dowierzał, za szarlatańską przechwałkę je mając, więc zbliżyłem się znowu do biednego dragona, a ukląkłszy, przypatrywać mu się począłem, ażali jakie znaki życia daje. Ale oto ku zdziwieniu memu i radości widzę, że żołnierz lekko a spokojnie oddychać poczyna, że oczy otwiera i patrzy.

— Kurowski! — wołam, bo tak się ów pocztowy nazywał — a jak tobie?

— Dobrze, Mości rotmistrzu! — odezwał się dragon głosem silnym, i chciał się przez respekt a subordynację podnieść nawet na nogi, tak że go siłą przytrzymać musiałem.

Tymczasem nieznajomy podróżny, dobywszy dwa puzderka, z której jedno białe z kości słoniowej, a drugie czarne jakoby z hebanu najprzedniejszego było, oba otworzył i prędko jakąś kunsztowną a misterną lampkę zapalił, z której, choć malutka bardzo, zaraz okrutnie duży a żywy płomień niebieski buchnął. Tak zaczął jakieś ingredjencje z przeróżnych puszek dobywać i w drobnym tygielku to

grzać a smarzyć, i za pół godziny już maści nagotował. Kiedy on to przy tym niebieskawej barwy płomieniu mieszał i warzył, takowa się jakaś wdzięczna a luba wonność rozlała, jakoby wszystkie kwiaty i aromata, wszystkie sabejskie zapachy na delektament nasz tu do izby spłynęły.

Kiedy już maść była gotowa, nieznajomy kawaler posmarował nią jedwabną szmatę i przyłożył ją dragonowi na ranę. Gdy już operacja ta była skończoną, ranny żołnierz przy pomocy swoich kamratów wyszedł z izby, aby się położyć i wyspać po takiej ciężkiej przygodzie. Nigdym ja się nie spodziewał, aby ten biedak po takowem srogiem stłuczeniu tak rychło się opamiętał, to też i ja patrzyłem już teraz na czarnego podróżnego jako na mistrza sztuki lekarskiej. Aksamicki zaś to już rady sobie znaleźć nie mógł, ale przystąpiwszy do mnie, szepce:

— A co, nie powiadałem Waćpanu, że to musi być magister tajemnej, magicznej sztuki? Czyż nie widziałeś Waćpan istnego cudu?

— Cud, jak cud — mówię mu na to — tak gdzieś w karczmie przy drodze cuda się nie zdarzają. Ale że zręczny jest felczer, to przyznaję. Cały sekret, że to jakiś medyk Włoch lub Niemiec, może p. wojewody Potockiego z Krystynopola, ale czemubyś go Waćpan nie chciał mieć za zwykłego człowieka, tego ja nie rozumiem. Zręczność, to nie żadne *miraculum*, a zresztą, co wiedzieć, czy ten dragon i bez jego pomocy nie byłby przyszedł do siebie, bo snać ogłuszony był tylko, a nie rozbiy.

On na to ramionami tylko ruszył i umilkł, a ja

tymczasem przystąpiłem do nieznajomego i pytam go po niemiecku, czy tym językiem mówi, bom francuskiego nie znał, a w łacinie nie byłem bardzo biegły. Odpowiedział mi na to dość płynnie po niemiecku, ale akcentem jakimś dziwnym. Wtedy ja mu mówię:

— Mam honor Waćpanu prezentować się jako Narwoj, rotmistrz chorągwi, do której ów człowiek należy, i za miły obowiązek poczytuję to sobie, podziękować Waćpanu za ową prawie cudowną pomoc, którą żołnierzowi mojemu dałeś.

Nieznajomy zlekka kapelusza uchylił, i tak odpowiedział:

— A ja jestem Conte Zapatan, i choć rad jestem, że komuś w przygodzie pożytecznym być mogę, to znowu nierad jestem, że mi za taką bagatelkę dziękują. Nie Waćpan mnie, ale ja tej małej przygodzie wdzięcznym będę, jeżeli mi ona da sposobność spędzenia tego wieczora w gronie Waszmościów, moi panowie oficerowie.

I tu się nam wszystkim dokoła ukłonił, a w tej chwili i ów szpetny towarzysz jego, kruk duży, w skokach ku nam przybieżał, a na stół podleciawszy, śmiać się począł śmiechem okrutnym a zgrzytliwym, wołając:

— Arrabet! Arrabet! Zapatan!

Podróżny uderzył szpadą po głowie ptaka, aż trzasło, i mówił dalej:

— Widzę, że Waćpanowie odwagi swej żołnierskiej na tutejszem winie próbujecie; czy pozwolicie, abym się w wasze towarzystwo butelką wła-

snego wina intromitował, bo wiozę je z sobą w mojej podróżnej karecie, a trochę lepsze jest niż owo na stole?

Nim my na to odpowiedzieć mogli, Zapatan dobył z kieszeni malutką srebrną piszczałkę i świsnął. Mało nam uszy nie porozdzierał, taki ten świst był okrutny; aż szyby w karczmie zabrzęczały. Na ten znak wbiegł zaraz do izby mały garbaty karzeł z włosem kędzierzawym, a czarnym jak baranie runo, ubrany w kurcie płomienistej barwy. Zapatan rzekł mu coś w języku, którego z nas żaden nie rozumiał, i za chwil kilka stanęło na stole kilka flaszek wina.

Chociaż ten nieznajomy dziwny człowiek pokazywał się grzecznym kawalerem, i bardzo kształtnie do nas przemawiał, przecież jakowyś nieprzeparty wstręt do niego czułem, i chętniebym był z jego towarzystwa się wyprosił, ale obrazić go nie chciałem. On w mgnieniu oka wina nam ponalewał do szklanek, i grzecznie pić prosił. Nie byłem nigdy wielkim amatorem trunków, i nie tęgi też znawca win ze mnie bywał, ale to powiedzieć mogę, żem w całem życiu mojem, ani przedtem, ani nigdy potem wina tak wdzięcznego a szlachetnego smaku nie pił. Był to jakoby kordjał jakiś przedziwny, nietylko w krew, ale do duszy i serca idący, niby to słodki a łagodny, choćby na języczek panieński, a owo taki ognisty zarazem, że mi się wyraźnie zdało, jakobym dwa razy więcej krwi miał w sobie...

Ledwośmy jeden kielich wychylili, a już nam dziwna radość po sercach grała, i takowa wesołość w duszy się rodziła, że owej ochoty, a buty, a zu-

chwałej jakowejś fantazji żaden z nas pohamować nie mógł. Mój najmłodszy porucznik, ale najstarszy wiekiem z nas wszystkich, bo już szpak był tęgi, niejaki Zawejda, najpierw począł to wino wychwalać, bo bibosz był zawołany i znawca takoż niezwyczajny.

— Oto mi wino! — zawołał — jakie i monarchowie chyba na wielkie święto pijają! Przelałem ja przez gardło niejeden haust smakowity, a niema wina, któregobym nie pijał. U JP. kasztelana Zawichostskiego pijałem jeszcze małmazję odwieczną, a kiedym był w Krakowie, poznałem się z węgrzynem najszlachetniejszym, z winem, co było *Hungariae natum, Cracoviae educatum;* u Księcia Ordynata Ostrogskiego, kiedym był w jego milicji, pijałem najzacniejsze francuskie wina, tu na Rusi p. wojewoda Cetner nowomodnym szampanem raz mnie był poczęstował, ale to Mości Panowie wszystko furda! Za nic wszelakie pontagi, muszkatele, monasbergi, refoski, *Lacrimae Christi*...

Na to ostatnie słowo Zapatan nagle się zakrztusił i tak srodze kaszlać począł, że aż Zawejda przerwać oracyę musiał. Dopiero po chwili mógł kontynuować swoją perorę.

— *Ecce vinum,* Mospanie! — wołał Zawejda dalej — nektar *incomparabilis,* który serce grzeje, duszę wypogadza, rozum szlufuje, wzrok ostrzy, a starce w młodzieńce przywraca; *ecce vinum,* do którego to napisano ów *carmen:*

Vinum dulce,
Cor permulce!

Non te bibunt mali Turcae,
Sed tota Christianitas!

W tejże chwili, wyraźnie jakoby na słowo *Christianitas*, Zapatan znowu tak okropnie kaszlać począł, tak głośno a tak przenikliwie, żeśmy się wszyscy ku niemu z przestrachem zwrócili. Był ten kaszel taki szpetny i nieludzki, że mi się zdało, jakoby się w nim odzywało i psie szczekanie i wołanie puszczyka, i gwizdanie wichru w kominie i rzegotanie żabie, a przytem oczy nieznajomego taką straszliwość przybierały, a tak się z twarzy pchały naprzód, że zdawało się, jako lada chwilę na stół wyskoczą. Na toż i kruk sobie jak pocznie wrzeszczeć a przedrzeźniać się: «Aratran! Metatran! Arrabet!» — owo istny tumult piekielny.

— Zakrztusiłem się, — ozwał się Zapatan, rzucając na kruka próżną butelkę, aż się w drobne pryski rozsypała z brzękiem okrutnym — to nic, Mościpanowie, zakrztusiłem się tylko! Ale kiedy Waćpanu smakuje to wino, czemu go nie pijesz? — dodał do Zawejdy i począł dolewać nam wszystkim.

Nie trzeba nas było prosić; piliśmy dalej to przedziwne wino, a za chwilę ogarnęła nas wszystkich taka szalona wesołość, że nuż wszyscy razem rozprawiać, nuż śmiać się, nuż się ściskać, a wołać i przeróżnie wyśpiewywać poczniemy. Co się zaś potem działo, już dobrze nie pomnę, a tylko jak przez sen mi się o tem coś marzy. Zdało mi się, jakoby jakowaś cudowna jasność spłynęła na izbę, jakobym ja sam w gorejącą, przejrzystą zmienił się postać, i jakoby gdzieś niewidzialne skrzypki i nieludzkie

muzykanty wywodziły prześliczną muzykę, pełną słodkości... Potem mi się nagle ciemno zrobiło, a gdy począłem przecierać oczy, już się nawet świeczki w gospodzie nie paliły, a jeno żar z komina pobłyskiwał, ale widziałem naprzeciw siebie Zapatana, i zdało mi się, że jego oczy bardziej jeszcze goreją niż łuczywo. Na dworze wicher okropny wył i huczał, o szyby karczmy bijąc, gonty zrywając i w kominie grając...

Usłyszałem potem, jak drzwi od izby rozwarły i zamknęły się ze strasznym łoskotem i trzaskiem — i już odtąd nie wiem, co się ze mną działo. Świtało już na dworze, kiedym się ocknął ze snu twardego. Przespałem całą noc, siedząc z głową opartą na rękach, a i moich towarzyszy w tej samej pozyturze jeszcze śpiących zastałem. Czułem ciężar w głowie i w członkach wszystkich, i zdało mi się, jakoby ołów mi ciężył we wszystkich kościach. Stała w izbie konew z wodą, tę wziąwszy, mundur zdjąłem, i całą ją na siebie wylałem, a tak orzeźwiłem się nieco. Jąłem tedy budzić moich towarzyszy, co mi dużo srogiej pracy kosztowało, albowiem spali snem tak twardym a głębokim, że choć strzelaj z armaty...

Pobudzili się wreszcie — a jam ich naglić począł, bo już tej samej chwili usłyszałem trąbkę i taraban mojego szwadronu, który ze swych kwater się ściągał i przed karczmą szykował. Markotny byłem i zły bardzo na siebie samego, żem się do tego wina namówił i upoić się dał — co mi się w życiu bardzo rzadko, a na marszu i w służbie przenigdy nie zdarzało. Ale i dziw mi był przytem, że jak wy-

raźnie pamiętam, jeno trzy małe kieliszki tego trunku wychyliłem, i że tak nie przebrawszy nawet miary, przytomność postradałem. Srogi mnie też wstyd zbierał, gdym pomyślał, że żołnierze nas oficerów pijanych a krzykających widzieć może i słyszeć mogli wczorajszego wieczora, a zwłaszcza mnie, który sam zawsze trzeźwy będąc, w trzeźwości żołnierzy moich twardo trzymałem.

Owego zaś Zapatana już ani śladu nie było. Pytałem się żyda, kiedy pojechał, ale ani on, ani stróż nie widzieli go odjeżdżającego, a tylko jeden z żołnierzy moich, co miał straż o północy, opowiadał, jako widział karetę dużą, czterma końmi uprzęgniętą, która w niesłychanym pędzie odjechała drogą do Żółkwi. Nie było czasu nad tem myśleć, bo już i czas był apelu słuchać i w drogę ruszać. Mieliśmy tego dnia większy marsz zrobić, Żółkiew minąć, a w Kulikowie nocować, aby chorągiew z ostatniej stacji już miała bliżej do Lwowa i mogła do miasta wejść w dobrym i żwawym stanie, uczciwie się prezentując starszeństwu i populacji.

Wyjechawszy już z Rawy, milczeliśmy w drodze, i żaden z oficerów pierwszy przemówić jakby nie chciał, czy nie śmiał, bo wszystkim markotno i kwaśno było. Ale Zawejda, że był wielki zawsze gadatywus, nie mógł długo utrzymać języka w gębie, i ozwał się do nas:

— Panowie bracia, trzeba nam będzie chyba we Lwowie stanąwszy do spowiedzi iść, rekolekcje u Bernardynów odprawić, a duszę ratować...

— Skądże ci to przyszło tak nagle? — zapytałem go.

— Ano, rotmistrzu, nie bez racji to mówię, — odpowiedział Zawejda z frasunkiem — tośmy przecież wczoraj z samym djabłem Jego Mością wino pili!

Zaśmiałem się na to, bo Zawejda mówił to z miną bardzo frasobliwą, z szczerym smutkiem i z zupełną konwikcją.

— Śmiej się ty, rotmistrzu, albo nie — rzecze na to porucznik — i tego mi nie bierz za obrazę, ale Waszmość się na tem nie znasz, boś w życiu swojem może nigdy nie był pijanym, to i myślisz, żeśmy się wczoraj tylko upili, a nic więcej. Owo ja ci powiadam, że nie. Daj mi Boże tyle dukatów dzisiaj, ile razy ja byłem pijany w służbie księcia ordynata Ostrogskiego, który jako ci wiadomo i sam lubił pijać i drugim pozwalał, ale takiegom ja wina jeszcze nie widział, ani nie pił, anim nawet o niem nie słyszał, coby takiego jak ja Barabasza trzema naparstkami z nóg waliło, a w takowy stan dziwny upojenia wprowadzało. A com za dziwy okrutne w tym bezprzytomnym stanie oczyma mojemi oglądał, tego już i wspominać nie chcę, aby w złą godzinę nie trafić. Tak ja wam raz jeszcze powiadam, żeśmy wczoraj chyba z samym Lucyferem Jego Mością pili w owej karczmie, bo jeśli to wszystko po ludzku było, to ja nie Zacharjasz Łada Zawejda i nie oficer jestem, ale Błażej się zowię i szwiec jestem z Kozienic!

Przez całą drogę do Kulikowa nie umilkł Za-

wejda, ale ustawnie dziwy nam wywodził i na nieznajomego czarnego kawalera srodze się przegrażał.

— Już ja teraz wierzę — mówił do nas — co Aksamicki mówi, że to jest conajmniej charakternik jakiś, co nieczyste sztuki płata. To wino jego, chociaż tak dziwnie smakowite, to jakiś trunek był w szatańskiej aptece warzony a destylowany, bo gdzieżby to inaczej być mogło, abym pamięć stracił, ledwie język suchy trochę pomaczawszy? Nie, jakem Zacharjasz Łada Zawejda, oficer Jego królewskiej Mości, mów co chcesz rotmistrzu, ale Aksamicki ma rację. Bo ano bywało, kiedy człek trochę miarę przebrał, to uczciwe sny miewał, ale nie takie jakieś niesłychane dziwadła. Jeśli to było po dobrem winie, to mi się regularnie zdawało zawsze, żem był królewiczem szwedzkim, jeśli po lepszem jeszcze, tom przez dwie godziny pewien tego bywał, że jestem Hetmanem Wielkim Koronnym. Jeśli zaś cieńkosz był nieuczciwy, to mi się śniło wtedy, żem jest kalefaktorem w szkole u OO. Jezuitów, i w grubie paląc dmucham i dmucham, a ognia się dodmuchać nie mogę — a to już utrapienie było wielkie i kara sprawiedliwa za to, żem na lichy trunek się skusił. Prawda pamiętam, kiedym był w częstochowskiej milicji, OO. Paulini raz nam oficerom antał młodego słodkiego wina darowali — niech im tam Pan Bóg tego nie pamięta! — takie ono było wino, jak ja patrjarcha wenecki! Owoż ten cienkosz niepoczciwy, ta okrajkowa płukanina, ten drybus ostatni — bodajby go szewcy kozienickie piły! — tak mi szpetnie łeb zakręcił, że mi się owo zdało, jakobym się

w duży pęcherz wydęty zamienił, a jakiś cyrulik, malutki Niemczyk, z okrutnie dużem szydłem koło mnie tańczył, a przekłuć chciał koniecznie. Ja go proszę, by mi dał pokój, grożę, klnę, uciekam, a on ciągle z owem strasznem szydłem koło mnie biega, a woła: «Mospan Polak, *uklucz musim!*» I już mnie niecnota szydłem swem dopadał, kiedym się z okrutnym krzykiem obudził, cały potem oblany i z głową rozgorzałą. Owoż odtąd boję się młodego drybusa jak grzechu śmiertelnego, a wolę już nawet piwsko otwockie!

My na to gadanie w śmiech serdeczny, że aż za boki się braliśmy, a Zawejda ciągle dalej perorował.

— Jakem Zacharjasz Łada Zawejda, tak wam powiadam, że tu śmiać się niema z czego! Ja tam najczęściej snów żadnych nie miewam, chyba, jak powiadam, po kilku kielichach wieczornych, ale zawsze, choć nie jestem żaden statysta ani uczony, wiem przecie, co się poczciwemu szlachcicowi śnić powinno, a co nie. Panienka po marcypanie albo po migdałkach smażonych więcej wina dla konkokcji wypije, niźlim ja wypił z łaski tego Łapatana, Czapatana czy Zapatana, a owo najpewniej aktualnego szatana — a co mi się za niesłychane dziwy marzyły! Tfu! *Apage!*... Owo najpierw zdało mi się, żem jest monarchą chińskim, i w żółtym bławacie na złotym stolcu siedzę, a tu mój minister do mnie idzie z okropnym papierem, jakiemiś straszliwemi charaktery zapisanym, i coś mi długo przez nos czyta. Wtedy mi się nagle przypomina, że ja tego błazna

słuchać nie mam potrzeby, i nuż go trzepnę po czuprynie, a owo mój minister Chińczyk rozpada się w tysiąc takich samych Chińczyków, i każdy mi znowu coś czyta, a wszyscy przez nos. Nie wiem jak i kiedy i z jakowej racji zmieniam się w Baszę Chocimskiego, i widzę, jak przedemną jakoweś Blandyny tańce wywodzą przy dźwięcznych cymbałach i słodkiem fujarowem brzmieniu; *item* przerzucam się w gwóźdź żelazny, a ktoś mnie młotem wali po czuprynie, w ścianę kamienną wsadzając; *item* w trąbę okrutną; *item* w jakiegoś czubatego ptaka, i tak ciągle i ciągle, aż wkońcu zmieniłem się w kaganiec olejny palący się, a przy tym kagańcu, to jest przy mnie, Zacharjaszu Zawejdzie, jakowaś sroga baba, widocznie czarownica, z krzywym i długim nosem, jak szabla janczarska, przez okulary okrutne coś czytała z dużej czarnej księgi, a ciągle na mnie straszliwem okiem patrzyła, pięścią grożąc, że ciemno świecę, a ja tu ani rusz jaśniej palić się nie mogę, choćbym chciał bardzo ze strachu przed tą wiedźmą. Ona co chwila knotek w kagańcu podsuwa, co mi tak się zdawało, jakoby mnie kto dużemi obcęgi nos szczypał — i tak czyta i czyta, a ja się palę i palę, aż nareszcie owa straszna baba księgę zamknęła i dmuch!! zdmuchnęła mnie odrazu. Zgasłem, i już ciemno było, a ja o sobie nic więcej nie pamiętam. Tfu! tfu! Jakem Zacharjasz Łada Zawejda, to przeklęty charakternik!

My znowu w śmiech okrutny, aż na grzywach końskich się kładziemy, i tak cały nam marsz zeszedł na śmiesznych narracjach Zawejdy, który Bóg

wie kędy nie bywał, i przeróżne fraszki i dykteryjki *jocose* opowiadać umiał.

W Kulikowie znowu nocleg mieliśmy, a raniutko ruszyliśmy ku Lwowu. Kazałem przedtem całej chorągwi chędogo i uczciwie się ubrać, kapelusze z galonkami nasadzić, kolety oczyścić, lederwerki od flintpasa aż do karwasza wybielić pięknie, sztylpy na jasny połysk wypolerować, wąsy galantownie wykręcić i uszwarcować; my zaś sami oficerowie paradne kolety przywdzialiśmy, szarfy, bandolety i felcechy złociste przepasali, a aby to *honeste* było dla szwadronu, uprosiłem sobie był z Warszawy trochę więcej «szafranu», to jest fajfrów, trębaczów i pałkierów, bo musicie wiedzieć, że gdy takowe grajki regimentowe miały na sobie mundur osobny żółtego jakoby szafran koloru, więc tedy z tej racji szafranem ich żartownie zwano.

Owo takim przystojnym kształtem około godziny 9-tej zrana do Lwowa przybyliśmy. W Polsce rzadki bywał żołnierz, więc kiedy go się gdzie więcej zjawiło, to wielki to już spektakuł bywał dla populacji; dlatego też już przed miastem mnogo gawiedzi na nas czekało, naszym paradnym szykiem, a bardziej jeszcze tarabanem i kotłami się delektując. Wyszło też naprzeciw nas kilku oficerów garnizonu lwowskiego, i tak wprowadzono nas do miasta jakoby w triumfie jakim, bo to na wiosnę było, a dzień był pogodny a ciepły.

Na rynek przyjechawszy, stanąłem, chorągiew w szyk ustawiłem, czekając aż pan generał Korytowski się pokaże. Nadeszła też zaraz starszyzna, pan

generał Korytowski, pan generał Grabowski i pan starosta Kicki; był też z nimi i pan generał-major Witte, komendant Kamieńca Podolskiego, bo właśnie na krótki czas do Lwowa był zjechał — oddałem honory, raportując się po regulaminie. Odbył pan generał Korytowski lustrację, odebrał regestr chorągwi, zrobił rachunek głów i inwestygację — a potem kazał mi kilka handgryfów i obrotów chorągwi zaprezentować. Żem miał żołnierza ćwiczonego, więc sprawnie się produkował, tak że pan generał Korytowski ze zdziwieniem a ukontentowaniem patrzył, a bardzo mi dziękował, chwaląc i winszując, jako moja chorągiew przed żadnym hetmanem i marszałkiem wstyduby nie zażyła.

Taka pochwała bardzo mnie ucieszyła, i wysoce ją sobie ceniłem, albowiem pan generał Korytowski rzeczy militarnych znawca wielki i sam żołnierz był dystyngowany, jako iż żadnym generałem słomianym, ani też krawieckiego patentu nie był, ale rangi się swej aplikacją i zdatnością rzetelną dosłużył, a niegdy przez długie lata w gwardji króla pruskiego do sztuki wojowniczej się zaprawiał. Cenił też sobie bardzo oficerów, co praktykę w cudzoziemskiej dyscyplinie militarnej odbyli, i rad był, kiedy mu się który z nich pod komendę dostał; jakoż i mnie to ukontentowanie swoje wyraził, mówiąc:

— Witam Waszmości z szczerego a koleżańskiego serca tu we Lwowie, a cieszę się bardzo, żeś mi się tu Mości rotmistrzu dostał, bo na rękę mi bardzo będziesz. Jużem się był mocno tego obawiał, by

cię mnie kto inny nie porwał, bo nie wiem, czy wiesz Waćpan, jako do służby polskiej wstąpił jako generał-major pan Coccei, mój dobry przyjaciel i niegdyś towarzysz z gwardji pruskiej, który teraz pewnie w Warszawie komisji wojskowej i Królowi Jegomości głowę suszy, że mu tak dobrze aplikowanego oficera, jak Waćpan, z pod samego nosa wzięto, a tu na Ruś wysłano.

Ja mu na to:

— Czy tu na Rusi, czy też pod bokiem Króla Jegomości w Warszawie, zawsze ja Rzeczypospolitej służyć będę, a kiedy już tak osobliwa łaska JWpana generał-majora, że mnie ponad zasługi moje uznaniem swojem honorujesz, to niechże JWPan generał-major za szczere a rzetelne zapewnienie żołnierskie to bierze, jeśli powiem, jako się tem i szczycę i raduję, że pod komendę tak światłego generała przechodzę, za jakiego JWPan słusznie w całym kraju uchodzisz.

Po takowej wymianie grzecznych komplementów, pan generał nas wszystkich oficerów do siebie na pojutrze na obiad zaprosił, poczem ja zaraz hauptwach w ratuszu żołnierzem moim obsadziwszy, na kwaterę swoją się udałem. Dużobym o Lwowie i o mojem żołnierskiem życiu w tem mieście mógł opowiadać, ale na potem to sobie zachowuję, nie chcąc już przerywać tej oto narracji, którą o owym czarnym kawalerze, grafie Zapatanie rozpocząłem.

Kiedy w dniu mego przymarszu do Lwowa wyszedłem z Aksamickim na miasto, aby się w niem trochę rozpatrzeć, a Zawejda nas wodził, bo je znał

z dawniejszych jeszcze czasów, spotkaliśmy ku naszemu niemałemu zdziwieniu Zapatana. Wychodził on właśnie z kamienicy narożnej rynku, gdzie mieszkał pan wojewoda pomorski Łoś, do którego, jak się później dowiedziałem, z wizytą jeździł. Czekała na niego kolaska czarna w czwórkę wronych koni dobranego toku uprzężona, z dwoma murzynami na koźle. Wszystko takie było czarne, jak i sam pan; bo na całym prawie powozie i uprzężu ani jednej nitki, ani jednego guzika nie było świetlistego, chociaż wszystko było i galantowne i bogate; szory aksamitne czarne, jedwabne zaplotki, róże, fioki i lejce takoż czarne, chociaż z najprzedniejszego materjału i najmodniejszego kształtu.

Sam Zapatan ubrany był tak samo, jak w onej rawskiej gospodzie, z tym samym brylantem i przy tej samej szpadzie, jeno na piersiach miał jakowąś gwiazdę niewiadomego mi orderu. Ujrzawszy nas, przywitał się z nami lekkiem pochyleniem głowy, a myśmy mu także pokłon oddali, tylko Zawejda minę marsowo nasrożył i wąsa butnie z zawadjacka podkręcił, jakby mu owego wina jeszcze żadną miarą przebaczyć nie mógł. Aksamicki aż pobladł, jak go zobaczył, i aż mu się oczy zaiskrzyły; gdyby się nie był nas wstydził, byłby pewnie za nim pieszo pobiegł.

Ale już zaraz na drugi dzień Aksamicki dowiedział się, że ten Conte Zapatan we Lwowie dłużej mieszkać będzie, i że za miastem, niedaleko pałacu księcia Jabłonowskiego, wynajął sobie duży stary dom, co do jurydyki panów Kalinowskich należał,

a od długich czasów stał pustkowiem. Mówił mi także Aksamicki, że z takiej rzadkiej a szczęśliwej okazji koniecznie korzystać i tego niezwykłego człowieka poznać musi, albowiem najmocniej jest przekonany, że to musi być wielki jakiś mistrz magji i alchemji. Ja mu na to perswadować począłem, aby sobie rozmaite bezbożne gusła raz przecie z głowy wybił, jako iż to statecznemu oficerowi i katolikowi nie przystoi, i aby znajomości takich nie szukał, bo ten Zapatan albo magnat wielki, albo większy jeszcze jest szalbierz, a czy tak, czy tak, dla niego stosownym towarzyszem być nie może.

Ja swoje, on swoje, a tak dałem mu pokój. Na trzeci dzień przypadał ów obiad, na który nas pan generał Korytowski łaskawie inwitował, więc też wszyscy stawiliśmy się na godzinę, a nawet wcześniej trochę, jak to ludziom, *subalterne* będącym, należy. Rozprawialiśmy jakiś czas z panem generałem o rzeczach militarnych, w czem i pan komendant Witte uczestniczył — aż nareszcie zgromadzili się i inni goście. Był tam i pan kasztelan Morski, i pan kasztelan Siemianowski, pan starosta kołomyjski Chołoniewski, i pan starosta lwowski Kicki, i wielu innych znakomitej dystynkcji panów i dygnitarzy, bo to był czas kontraktowy, więc szlachty było mnogo we Lwowie z najdalszej nawet Polski.

Kiedy już prawie wszyscy byli, ozwał się pan generał Korytowski:

— Będziemy tu mieli dziś jeszcze jednego gościa, dziwnego człowieka, którego we Lwowie czarnym kawalerem zowią. Przybył tu do Lwowa jakiś

hrabia Zapatan, Włoszyn czy Hiszpańczyk, już tego nie wiem, ale figura bardzo dziwna i tajemnicza, istne enigma chodzące. Odnajął tu sobie dom stary za miastem, który przedtem jako cekauz garnizonowi służył, i tam chce jakiś czas mieszkać.

— Był też i u mnie — ozwał się na to p. Józef Mniszech, starosta sanocki — a nie wiem, co o nim mniemać. Najłacniej pono będzie to awanturnik jaki a szarlatan, bo ich się teraz mnogo kręci po Polsce; może jaki różokrzyżowiec, lub też alchemik, co złoto warzy z cudzych dukatów.

Poczęli teraz wszyscy o nim mówić, bo wszyscy już go widzieli, albo coś o nim słyszeli, choć dopiero dzień czy dwa dni we Lwowie bawił; jeden za nim, drugi przeciw niemu. Każdy się dziwił, pocoby tu przyjechał; jedni mówili, że pewnie na kieszeń łatwowiernej szlachty zagiął parol, drudzy, że to pewnie mistrz wielki wolnomularski, co przyjechał tu Orjent zakładać, inni znowu, że to kartownik jakiś, co z bankiem szulerskim wojażuje — ale nikt nic pewnego o nieznajomym cudzoziemcu nie wiedział.

Kiedy tak mówimy o nieznajomym, bo i ja do dyskursu się wmieszałem opowieścią o przygodzie w Rawie, widzimy nagle, że Zapatan jest między nami, jakby z pod ziemi wylazł, bo nikt go wchodzącego nie widział, ani też kroku jego nie słyszał. Zaraz też począł rozmawiać żywo i swobodnie, jakby nas znał wszystkich Bóg wie jak dawno, a mówił każdym językiem, jakiego kto pożądał: po francusku, po włosku, po niemiecku, po łacinie, a nawet po polsku trochę się wyrażał.

Zasiedliśmy do stołu, i wtedy zauważyłem, że Zapatan żadnej potrawy się nie tknął nawet. Jakoż i teraz i potem, przez cały czas pobytu tego dziwnego cudzoziemca we Lwowie, nikt go nigdy nie widział jedzącego, a komuś co go o rację takowej wstrzemięźliwości pytał, tak odpowiedział:

— Tego, co wy jecie, ja nie chcę, a tego, czem ja się żywię, wybyście pewno nie jedli...

Pan starosta Mniszech, znawca i amator wielki klejnotów, nie spuszczał z oka dużej, przedziwnej spinki brylantowej Zapatana, i nie mógł tego przenieść, aby mu tego komplementu nie powiedzieć, że takowej wielkości i czystości kamienia nie zdarzało mu się widzieć, i że niechaj mu wybaczy, iż tak tę osobliwość ogląda, bo się jej naadmirować nie może. Wkońcu zapytał go, jak sobie tę spinkę ceni?

Zapatan uśmiechnął się tylko i odpowiedział, że nie wie, bo ją darunkiem dostał. I nuż pocznie opowiadać cudowną historję, jakim kształtem on w posiadanie tego brylantu przyszedł, jakie mu bajeczne fortuny rozmaici monarchowie Europy, a między innymi i Padyszach Jegomość ofiarowali, i jakie są kabalistyczne i czarodziejskie tego klejnotu cnoty.

Owoż prawić począł, jako on przed trzydziestu laty poznał się w Persji z Nadyr-Szachem czyli Kuli-Kanem, owym sławnym księciem, o którym takowe cudowne historje sobie w moich czasach opowiadano, jako z tym Nadyr-Szachem odbywał wojnę przeciw Wielkiemu Mogułowi Indji, jako w stołecznem mieście Delhi cały ów nieprzebrany

skarbiec drogich kamieni zdobyto, z pomiędzy których on tę spinkę od Kuli-Kana na pamiątkę otrzymał. Potem jeszcze cudowniejsze nam rzeczy opowiadał, a takie dziwne i niesłychane, że chyba w bajkach je napotkać można, a owo mimo to wszyscy przecie słuchaliśmy tych narracyj z największą pożądliwością, jedzenia i picia zapominając, bo taka była moc dziwna i urok czarodziejski jego opowieści, że ucha oderwać nie było można, i chociażeś czuł, że to niepodobieństwem jest i prawdą być nie może, przecież tak cię ów Zapatan na uwięzi trzymał, żeś na to nie baczył. A tak cudowną miał siłę wysłowienia, że zdało ci się, jakoby słowami swemi malował, i jakobyś wszystko to przed sobą widział, o czem on wspomina...

Daremniebym się kusił wszystko, a choćby część maluczką tych dziwnych baśni powtórzyć, bo mi z tego zaledwie takie pozostało wspomnienie, jakoby ze snu i rozkosznego i ciężkiego zarazem, bo trzeba wiedzieć, że opowieść Zapatana to raz była miłej i wdzięcznej treści, to znowu jakieś straszliwości zawierała, a według tego i głos jego się zmieniał i nieprzyjemnie a ostro po uszach skrobał, zgrzytając przenikliwie. Naraz przerwał swe opowiadanie, i porwawszy się szybko, dokoła się wszystkim ukłonił i znikł za drzwiami. Ani czuliśmy, jak długo słuchaliśmy tego niepojętego człowieka; dopiero gdy wyszedł, ów dziwny urok z nas opadł, i dopiero teraz zauważyliśmy, że już dobrze ciemno było w pokoju, a zegar ósmą godzinę wskazywał.

Od tego czasu w całym Lwowie o nikim pra-

wie nie mówiono, jak tylko o grafie Zapatan, zamorskim jakimś kawalerze, dziwnym, tajemniczym, a niesłychane sekreta nadnaturalne, lekarskie i czarodziejskie posiadającym. Wprawdzie nikt nie wiedział, co zacz był ten Zapatan, skąd przybył i dokąd jedzie — ale to jeszcze bardziej jednało mu ciekawość i uwagę wszystkich.

Jedni mówili, że to jest nie kto inny, ale sam ów hrabia Federiga Gualdi, Weneta, co znał sekret przyrządzania *aurum potabile*, i zapomocą tego cudownego środka 400 lat już żyje na świecie, inni że adept magiczny, co przyjechał szukać w Polsce owego skryptu na dwanaście pieczęci zamkniętego, który niegdy przed blisko dwustu laty słynnemu czarnoksiężnikowi polskiemu, Sędziwojowi, dwaj posłowie z Persji przynieśli, a który najcudowniejsze magiczne arkana w sobie zamykał; a znowu inni, że to jest mistrz jakowejś farmazońskiej loży tajemnej, co tu zjechał, aby na sławnego w onym czasie węgierskiego grafa Zobora czekać, który to graf Zobor, pan niesłychanej fortuny, w alchemję i magję zabawiać się lubił.

Zgoła wierutne dziwy opowiadano sobie o nim po mieście, pół prawdy, a pół fałszu, jak to zwykle bywa. Ale to przyznać muszę, że nieznajomy «czarny kawaler» wiele podziwienia wzniecił kuracjami swemi cudownemi, a choć go eskulapy lwowskie okrzyczały szarlatanem, przecież on wielu chorych, których już chirurgowie porzucili, na desperację ich i na łaskę Bożą zostawując, kilku kroplami jakowegoś czerwonego lub znowu złotawego płynu nie-

tylko od niechybnej śmierci salwował, ale i do zupełnego zdrowia przywrócił.

Za kartownika też go wziąć nie można było, bo raz tylko kart się dotknął, i jakby na pokazanie swego pańskiego kaprysu, wielką sumę przegrał i złotem wypłacił. Fortunę zdawał się mieć ogromną, bo bywało złoto wyrzucał pełnemi garściami na wszystkie strony lekkomyślnie pieniądzmi szafując. Dziwne też, czarodziejskie sztuki pokazywał, jakby drugim mistrzem Twardowskim był i nadnaturalne arkana posiadał. Raz kilka znakomitych osób do owego pustego domostwa czyli cekauzu, który był najął, zaprosił na ucztę, o której długo potem jakby o cudzie jakim opowiadano. Odzywała się podczas tej uczty najwdzięczniejsza muzyka, jakby powietrze samo grało, bo ani muzykanta, ani instrumentu żadnego nikt nie widział, paliły się blaskiem niewidzianym barwiste światła i lampy, spływały wonności i aromata rozkoszne, a najprzedniejsze potrawy i najprzedziwniejsze wina i likwory podawano w obfitości. Opowiadano, że przy świadkach niewiernych szelążek miedziany w najszczersze złoto przy kominku przemienił, i to nie u siebie w domu, ale u p. Wielhorskiego, a dwóch znanych kawalerów ze stanu magnackiego przy mnie zapewniało, że gdy raz u niego byli, a o duchach się zgadało, on ich do komnaty czarno obitej zaprowadził, jakoweś kadzidła i lampę zapalił, a szpady swojej dobywszy, niezrozumiałemi zaklęciami okropne straszydła i mary na widok wywołał, tak że ich groza i lęk okrutny

przejęły, i obaj w dreszcz i pot zimny jakby w febrę popadli...

Ja tego wszystkiego, choć się nasłuchałem dużo, rozumem moim nie dochodziłem, ani też o tem wiele nie myślałem, bom miał siła kłopotu i trudu w mojej funkcji żołnierskiej, gdy do wszystkiej pracy, którą około własnej chorągwi miałem, włożył na mnie pan generał Korytowski jeszcze i to, że mnie instruktorem a wice-komandjerem całego garnizonu lwowskiego nominował, sam sobie tylko kontrolę zostawując. Mój Aksamicki tymczasem, jako pragnął tak i zrobił, i snać się z tym czarnym kawalerem zaprzyjaźnił, a ciągle do niego biegał, nieraz tam całemi nocami przesiadując. Daremnie go przestrzegałem, nic wszystko nie pomogło, i przeczuwałem, że takowa przyjaźń na dobre nie wyjdzie. Jakoż zmienił się chłopiec ogromnie; z wesołego towarzysza stał się frasobliwym a ponurym; bywało całemi dniami do nikogo słówka nie przemówi, a w kwaterze swojej się zamyka. Jak dawniej zawsze pilnym a statecznym był oficerem, tak teraz w aplikacji się zaniedbał, służbę źle pełnił, a ja, com w nim pierwej miał trzecią rękę i pomoc prawdziwą, strofować go teraz musiałem.

Frasunku mi ten Aksamicki wiele przyczynił, bo gdyby mi nie był przez ojca jak starszemu bratu rekomendowany, i gdybym go też prawdziwie braterskim afektem nie miłował, jużbym był snadno radę znalazł na niego, i szukałbym nań sposobu nie w sercu i przyjaznych sentymentach, ale w animadwersji artykułów wojskowych. Ale tak srogim dla

niego być jakoś nie umiałem — i do dziś dnia tego żałuję.

Przykrością mię to zdjęło, że Aksamicki nietylko z dobrego oficera w opieszałego, ale i z dobrego katolika w niedowiarka się zmienił. Uważałem ze zgorszeniem i smutkiem prawdziwym, że do kościoła nietylko sam nigdy już nie chodził, co dawniej zawsze czynić był zwykł, ale nawet w niedziele i święta swój pluton, jak po ordynansie należało, nierad do kościoła wodził. Wielkanocnej spowiedzi też nie odbył, i chorągwi całej zgorszenie, mnie zaś frasunek i wstyd sprawił.

Zawiele mi już wkońcu tego wszystkiego było, i już mi ani sumienie moje, ani wzgląd sprawiedliwy na rygor wojskowy nie pozwalały cierpieć to i militarnym uchybieniom w służbie pobłażać. Nakazałem był dnia jednego lustrację, i cała chorągiew na wskazanym placu stanęła w godzinie oznaczonej, a tylko Aksamickiego brakło. Nieraz to się już tak przedtem było zdarzało, alem to płazem puszczał, tym razem atoli to już ze sposobności korzystać a surowość okazać postanowiłem. Jakoż po skończonej lustracji posłałem do jego kwatery wachmajstra z dwoma dragonami, i aresztować go kazałem, dając forwachtowi ten ordynans, aby go z domu nie wypuszczano, aż do mego rozkazu.

Gdy to spełniono, ja chcąc jeszcze dobrotliwego sposobu zażyć, poszedłem do Aksamickiego, trzymanego aresztem na kwaterze, aby z nim po przyjacielsku, a jak brat z bratem pomówić. Wszedłszy do izby, zastałem go piszącego coś na pergami-

nie wąskiego kształtu, obłożonego dokoła najrozmaitszemi księgami, a flakonami, a dziwnemi jakiemiś narzędziami i sprzętami. Gdy mnie zobaczył, porwał się od stołu i skonsternował trochę, z nieśmiałością i wstydem mnie witając.

— Panie Aksamicki — ozwałem się na wstępie — jako rotmistrz aresztem Waćpana w kwaterze wziąć kazałem, bo się oficerskiem sumieniem świadczę, żem nie mógł inaczej, i że tybyś sam w podobnym wypadku inaczej sobie nie począł; jako przyjaciel zaś i brat życzliwy sam do Waćpana przychodzę, aby mu kompanji w areszcie dotrzymać. Ale widzę, że niewiele ci się kompanja moja przyda, bo w księgach po uszy siedzisz i jak astrolog wyglądasz. Jakiemże to czytaniem tak miłem Waćpan się zabawiasz, że aż o służbie zapominasz?

Rzekłszy to, poczną oglądać te rozmaite srogie foljały, a uważam przytem, że się Aksamicki uśmiecha, jakoby we mnie profana niegodnego oglądał. Dziwne to były księgi, a każda miała tytuł zawiły, jakoby sfinksowe enigma. Owo na jednej wyczytałem *De quinta Essentia*, na drugiej *Aurora philosophorum*, a dalej były tam takie dziwaczne intytulacje, jak: *Philosophia occulta, Thesaurus thesaurorum* i tak dalej. Na stole, przy którym Aksamicki pisał, leżała jakaś okrutna księga czarna, czyli *manuscriptum* pergaminowe, najdziwniejszemi charakterami zapisane.

— A owo co za monstrum czarnoksięskie? — pytam, śmiejąc się.

— Gdybyś Mości rotmistrzu wiedział, co jest

w tej księdze — odrzekł Aksamicki jakoby obrażony — tobyś się może nie śmiał. Albowiem to jest *Clavicula Salamonis*...

— Jeśli to jest *clavicula* albo *clavis* cudowny — rzekę ja teraz — co nietylko mądrość Salomona, ale i serca otwiera, tobym pragnął bardzo posiadać go także, abym sobie do serca Waćpana drogę otworzył; bo mi tego bardzo potrzeba. Przychodzę Waćpana raz jeszcze prosić, nie jako starszy, ale jako brat i przyjaciel, abyś przecie dał posłuch napomnieniu, i porzucił konszachty z tym nieznajomym człowiekiem, który snać zmysły Waćpana opętał i Boga z serca wygnał. Już ja od długiego czasu Waćpana nie poznaję; nie ten to Aksamicki, któremum z duszy zawsze rad był i sprzyjał.

On nic nie odpowiadał na to, ale w zatwardziałem milczeniu siedział, uśmiechając się tylko.

— A co do owego Zapatana — mówię dalej — to bodajby był gdzie kark skręcił po drodze, nim go na Waćpana licho przyniosło, bo choć Zawejda człek przesądny jest i nie bardzo uczony, to bodaj czy racji on nie ma, że to kuzyn jest Lucyfera... Powiedz mi Waćpan, ku czemu to idzie i w co to godzi? Wdajesz się Waćpan w praktyki nieczyste, w jakowąś magję czy alchemję, albo ja wiem, co w tem jest — ale to pewna, że kusząc się tak o nadprzyrodzoną mądrość, swój własny przyrodzony rozum postradasz, a na to jeszcze wyjdzie, że Boga się wyrzeczesz i wiary świętej... Jam nie uczony, ani filozof, o tem Waćpan wiesz, ale...

Tu Aksamicki mi przerwał, nie dając skończyć.

— Wiem, wiem — ozwał się ze śmiechem, jakby się ze mnie urągał — i dlatego nie o swojej rzeczy rozprawiasz, rotmistrzu! Dajmy chyba pokój!

Takowa pyszna odpowiedź rozgniewała mnie, więc wstając, surowo się ozwałem:

— Dobrze! Dajmy chyba pokój, Mości panie Aksamicki! Dziękuję Waćpanu, żeś mnie zreflektował, teraz to już o swojej rzeczy mówić będę. Owoż słuchaj Waćpan, ale bez śmiechu i przekwintów, a przeciwnie z subordynacją, bo nie mówię już teraz ani jako filozof, ani jako przyjaciel — ale jako komendant Waćpana. Żeś Waćpan zły przyjaciel, to rzecz jest między Aksamickim a Narwojem, żeś Waćpan zły katolik, to rzecz jest między Aksamickim a jego sumieniem, ale żeś Waćpan zły oficer, to rzecz jest między subalternem a rotmistrzem. Słuchajże Waćpan, panie oficerze! Tym razem niechaj na areszcie pozostanie, ale na przyszłość, pomnij na to, od rygoru nie odstąpię, a przypomnieć Waćpanu potrafię, że krygsrecht egzystuje, a artykuły wojskowe mają także walor! Albo więc Waćpan abszyt weź, radzę, albo aplikuj się, jak ci przystoi!

— Kto wie, czy się nie stanie po woli Waćpana, — odrzekł Aksamicki na to — albowiem, jeśli dziś na lustracji nie byłem, to dlatego, żem wczoraj od pana generała Korytowskiego urlop miesięczny otrzymał, a jeśli o urlop się wystarałem to dlatego, że po tym miesiącu abszyt sobie wezmę.

— Kiedy tak, to już dobrze, — powiedziałem na to — ale zawsze to nie było ani podług przyjaźni, ani też podług regulamentu, że Waćpan bez

mojej interwencji i za mojemi plecami urlop wziąłeś, i o to się panu generałowi przymówić potrafię. Mniejsza już o to, należysz Waćpan teraz tylko nominalnie do mojej chorągwi, i dlatego też wartę Waćpanu zdejmuję i wolność zostawiam.

Rzekłszy to, szybko wyszedłem, bo gniew i żal kontenans mi odebrały.

Zaraz też, przyszedłszy do domu, napisałem list do ojca Aksamickiego do Warszawy, donosząc mu, jako syn jego w towarzystwo nieprzystojne się dostał, a z mojej opieki i wojskowej i braterskiej zarazem się umknął, i jako ja już teraz wszelką odpowiedzialność za dalszą jego konduitę od siebie odsuwam. Nic więcej uczynić nie mogłem, jak tylko takim sposobem salwować własne sumienie.

Minęło tak ze dwa tygodnie, a przez ten czas nic ani o Aksamickim, ani o czarnym kawalerze nie słyszałem, umyślnie nawet wieści o nich unikając. Naraz powiada mi Zawejda, że Aksamickiego wielki spotkał smutek, albowiem narzeczona jego, córka ormiańskiego kupca Wartanowicza, o której już na początku tej powieści wspominałem, a dla której Aksamicki tak rad Warszawę opuścił, bardzo ciężko na gorączkę zaniemogła, tak że już prawie żadnych speransów życia niema. Ojciec, któremu była jedynaczką, najsławniejszych lekarzy sprowadzał, a chirurg pana wojewody kijowskiego z Krystynopola, Styrneus, który wielkiej famy zażywał, przez cały czas choroby ani na krok od łoża biednej dzieweczki się nie oddalił.

Wiedziałem dobrze, że Aksamicki najgorętszym

afektem i nad życie swą pannę miłował, więc też domyśleć się mogłem, w jakiej boleści a desperacji znajdować się musi; umyśliłem przeto żal i urazę zapominając, odwiedzić go w tem smutnem uciśnieniu, ale nigdy go w domu zastać nie mogłem, bo swej chorej narzeczonej, jak mi powiadano, dniem i nocą nie odstępował. Zaraz mi to wpadło na myśl, czemu też Aksamicki w tak ciężkiej przygodzie nie uda się o pomoc do owego Zapatana, w którego naukę lekarską ja sam mocno wierzyłem, ale powiedziano mi, że Zapatan, jakby nieszczęście chciało, znikł gdzieś ze Lwowa i dopiero za tydzień wróci. Aksamicki jak szalony biegał co godzina prawie od chorej do owego domostwa, w którem Zapatan mieszkał, ale cudzoziemca jak nie było, tak nie było. Po kilku dniach spełniło się nieszczęście; stało się snać według Bożej woli; biedna dzieweczka umarła...

Dotąd mi się serce żalem ściska, kiedy sobie wspomnę na ową boleść, a desperację, a srogą katuszę biednego Aksamickiego. Zmienił się do niepoznania, twarz mu wychudła i jakoby biała chusta pobladła, oczy strasznie się zapadły, a ogniem się takim paliły, jakby w obłąkaniu lub gorączce. Siedział przy zmarłej, słówka do nikogo nie mówiąc, jakby nic nie słyszał i nic nie widział dokoła. Nieruchomy, a jakby martwy patrzył ciągle w nadobną twarz swej panny, której śmierć urody nie odjęła, wdzięczność słodką zostawując na białem licu. Myśmy go koniecznie od umarłej wywieść chcieli, gwałtem go z sobą biorąc, ale się nie dał ruszyć

i z wściekłością prawie a z siłą okrutną od siebie nas odpychał.

Dusza się nam w żałości onej krajała, a rady żadnej dać nie mogliśmy, więc zostawiliśmy go przy zwłokach, Panu Bogu to zostawując, aby go w tym srogim smutku pociechą niebieską pokrzepił. Kiedy wróciłem do domu, chodziłem tam i sam po izbie w serdecznej aflikcji, i świat mi nie był miły. Przyszła noc, ale spać nie mogłem, bo ciągle mi stał przed oczyma nieszczęśliwy mój kamrat i przyjaciel. Długo tak leżałem, rzewnie rozmyślając, i po północy już było. Nagle słyszę stukanie silne do drzwi moich i głosy proszące, abym zaraz otwierał. Porwałem się natychmiast, i z wielkiem zdziwieniem ujrzałem w progu pana generała Korytowskiego i starego Wartanowicza, ojca owej zmarłej panny.

— Mości rotmistrzu — ozwał się pan generał — przychodzimy tu w srogim kłopocie do Waćpana. Aksamicki, snać w demencją raptownie wpadłszy, właśnie przed godziną zwłoki swej zmarłej narzeczonej porwał i znikł bez śladu.

Krzyknąłem tylko z przerażenia, tak mi ta wiadomość zdała się okropną.

— Bierz Waćpan swych ludzi — mówił dalej pan generał — choćby wszystkich, pozwalam ci larum uderzyć, i rozeszlej na wszystkie strony, aby szaleńca schwytać!

W jednej chwili byłem w mundurze i wybiegłem wraz z starym Wartanowiczem na rynek, gdzie hauptwach był, w którym właśnie tej nocy dragoni moi straż trzymali pod komendą Zawejdy. Po dro-

dze dowiedziałem się od nieszczęśliwego ojca, że gdy on z matką w nocy na chwilę zwłoki swej córki opuścili, Aksamicki, oddaliwszy pod jakimś pozorem niewiastę czuwającą przy katafalku, ciało uniósł z sobą...

Kazałem wszystkim ludziom, co byli na hauptwachu ruszyć za mną, Zawejdzie zaś wydałem ordynans, aby werbel bić kazał, a patrole konne i piesze na wszystkie strony rozesłał. Wpadłem natychmiast na myśl, że Aksamicki z ciałem zmarłej swej panny nie dokąd indziej, jak tylko do kwatery Zapatana mógł pobiec, zostawiając tedy strapionego starca pod opieką dwóch pocztowych, sam na koń się rzuciłem i z kilku ludźmi popędziłem wprost ku stryjskiemu przedmieściu, w stronę pałacu ks. Jabłonowskiego, za którym znajdował się ów stary opuszczony cekauz, wynajęty przez nieznajomego cudzoziemca.

Jakoż ledwie dopadłem kościółka OO. Misjonarzy, ujrzałem koło pałacu Jabłonowskich postać biednego Aksamickiego. Bieżał szybko, trzymając oburącz ciało swej narzeczonej... Księżyc nadzwyczaj jasno świecił, więc też mogłem go widzieć dobrze, choć zdaleka. Dziwny to był i straszny widok, i nie zapomnę go chyba do śmierci. Długa, biała sukienka, w którą ustrojono ciało biednej dzieweczki, spływała na ziemi i długim swym ruchem wlokła się za stopami Aksamickiego, welon ślubny powiewał na wietrze nocnym, włosy jej bujne i czarne także igrały z wiatrem lub spadały na białe, zastygłe liczka...

Aksamicki poza pałacem skręcił na lewo i po-

czął się piąć na górę z swojem smutnem brzemieniem, a ja, widząc go już tak blisko, zsiadłem z konia i dwom dragonom także zsiąść i iść za sobą kazałem. Nie spieszyłem się już, by go co rychlej dopędzić, bo otwarcie przyznam, żem się bał tego spotkania. Trwoga mnie jakowaś serdeczna zbierała przed widokiem nieszczęsnego towarzysza, przed jego boleścią a srogim żalem i desperacją. Łzy mi w oczach stawały i zapomniałem, żem żołnierz. Puściłem go naprzód, na oku go tylko wciąż trzymając, bo nie wiedziałem, jak się zbliżyć do niego, co mu rzec, jak go pocieszyć, jak go opamiętać, a już najbardziej, jak mu odebrać zwłoki zmarłej panienki, którą jak skarb drogi cisnął w swych ramionach?...

Tak tedy powoli i z krwawem sercem szedłem ja za nim na tę górę, ku owemu cekauzowi, w którym ten przeklęty Włoszyn czy Niemiec mieszkał. Aksamicki szybko podbiegł ku domostwu, płaszcz swój zrzucił, na ziemię go rozesłał, i na nim ciało panny położył. Potem do drzwi pukać i wołać głośno począł. Ale domostwo widocznie było puste, albowiem okiennice żelazne zamknięte były, a z żadnej szczeliny nie widać było światła i nikt się na to wołanie Aksamickiego nie odzywał.

Zbliżyłem się teraz z moimi ludźmi do Aksamickiego i stanąłem za jego plecyma, ale on nic snać nie słyszał, ani nas nie widział, bo się nie oglądnął nawet, ale ciągle z okrutną siłą do drzwi się dobijał i wielkim głosem o wpuszczenie wołał. Kapelusza nie miał na głowie, blady był tak prawie, jak

zmarła panna jego, a w oczach mu widać było i wściekłość i obłąknie i jakoby grozę jakąś straszliwą. Pukając ciągle to pięścią, to rękojeścią szpady z impetem szalonym, krzyczał jakieś dziwaczne, niezrozumiałe słowa, z których tylko kilka w pamięć mi się wbiło...

— Otwórz, otwórz, wołam cię, błagam cię, przybywaj! Oddaj mi jej życie, boś ją zabił, przeklęty! — wołał Aksamicki głosem straszliwym, aż się pobliskie pagórki echem odzywały. — Na nasze pactum cię wołam i zaklinam, otwórz! Na twego mistrza cię wołam, ozów się! In nomine Tetragrammaton Adonay, Tetragrammaton Elohim, Tetragrammaton Sabaoth, Apyruch, Exbranmor! Otwórz mi, ratuj mnie, wskrześ ją!

I znowu łoskot ogromny czynić począł, ale nikt mu nie odpowiadał, chyba głuche echo, co się odzywało z domostwa, jakby urągając nieszczęśliwemu.

— Zapatan! Zapatan! Zapatan! — wołał dalej ochrypłym od wielkiego wysiłku głosem Aksamicki. — Na siedmiu wodzów siedmiu zastępów cię wołam, otwórz mi, przybywaj, przybywaj! Niechaj cię zmusi Oriphiel, Magriel, Sabriel, Charariel, przybywaj! Jesael! przybywaj! Na siedmiu książąt piekielnych wołam cię, Zapatan, przybywaj! Na Elestora cię wołam, przybywaj! Na Reschina, na Irimoda cię wołam, przybywaj! Na Bescharada i Clanucha! przybywaj!

Nie mogłem już dłużej patrzeć na opłakanego szaleńca, i zreflektować go chcąc, położyłem mu łagodnie rękę na ramieniu. On się porwał nagle, obej-

rzał się, popatrzył na nas strasznem i nieprzytomnem okiem, a naraz krzyk srogi czyniąc, twarz sobie zakrył dłońmi i jakoby w szalonym przestrachu uciekać począł, okrutnym pędem spuszczając się z góry ku miastu...

Posłałem dwóch dragonów, by za nim biegli, gwałtu mu żadnego nie czyniąc, ale na oku go mając, aby sobie co złego nie wyrządził — a sam z pozostałymi żołnierzami wziąłem zwłoki zmarłej dzieweczki, a włosy jej z twarzy odsunąwszy, i wianuszek, co jej był spadł, znowu na skronie zimne włożywszy, na onym płaszczu ku miastu ją niosłem. Spotkaliśmy się niebawem z drugą gromadką żołnierzy, z którymi był stary Wartanowicz, i tak strapionemu ojcu zwłoki oddałem, żołnierzom pod najsroższym rygorem nakazując, aby o wszystkiem, co widzieli i słyszeli, ani słówka przed nikim nie mówili.

Wróciłem na hauptwach do ratusza, a zdawało mi się ciągle, że nie na jawie, ale we śnie ciężkim zostaję. Na hauptwachu czekałem, aż wrócą dragoni, którzy za biednym Aksamickim pobiegli i wkrótce też ujrzałem ich, ale samych. Opowiedzieli mi, że Aksamicki biegł ciągle przez miasto, znaki krzyża św. czyniąc i Matki Najświętszej wzywając przeciw jakowymś marom piekielnym, co go niby ścigały, że im się wziąć nie dał, ale ku piaskowej górze biegł. Koło klasztoru OO. Karmelitów zatrzymał się nagle, wbiegł na górę i uchwyciwszy za dzwonek, dzwonić począł gwałtownie. Wybiegli wystraszeni Ojcowie, a on ich błagać począł, by go przed złemi duchami w obronę wzięli, i prosił o przytułek i spowiednika.

Wzięto go tedy do klasztoru i tam pozostał. Byłem tedy już spokojniejszym o nieszczęsnego opętańca, bo widocznie umysł jego w ciemności szaleństwa popadł. Już na doświtku wróciłem do domu, i padłem znużony na łoże, aby odpocząć nieco po straszliwościach tej nocy...

Nazajutrz poszedłem zaraz do klasztoru OO. Karmelitów, aby Aksamickiego odwiedzić, ale zastałem go bez przytomności i w gorączce. Opowiadano mi, że się był uspokoił i przytomność uzyskał, że się wyspowiadał z wielką skruchą i Przenajświętszy Sakrament przyjął, ale potem znowu w gorączkę wpadł i dotąd w niej pozostaje. Z majaczenia jego, bo ciągle w malignie bez składu coś mówił, domyśleć się można było, że w one gusła nieczyste i czarodziejstwa jakieś szpetne wciągnął był i nieszczęśliwą narzeczoną swoją, ale jak to wszystko się działo, to pozostało tajemnicą na zawsze. Wykryło się wprawdzie później, bo się przyznała do tego stara służąca zmarłej panny, która niegdyś była jej piastunką, że razu jednego Aksamicki wymógł to na swej pannie, że z nim i z nią razem do owego Zapatana się wykradła potajemnie z domu, że stamtąd z wielką trwogą powróciła, i że odtąd ciągle jakoby w gorączkowej fantazji się znajdowała, aż w ową śmiertelną niemoc wpadła. Piastunka stara opowiadać miała, że się odbywały przy tej okazji jakieś straszne zaklęcia i przeróżne gusła, że panienka jej w zwierciadło jakoweś czarne spojrzała i zaraz zemdlała i że ją bez życia prawie napowrót do domu chyłkiem a potajemnie odwieziono. Wiem

też, że radzono ojcu biednemu, aby o to instygacją uczynił, a bezbożnego kryminału tego wszelką siłą *juris* dochodził, ale on rozgłosu już żadnego czynić, a ludzkim językom materji do przeróżnych plotek dawać nie chciał i sprawy tej zaniechał.

Pan generał Korytowski ze mną i z audytorem w komisji krygsrechtowej do chorego Aksamickiego chodził, aby całej owej tajemnicy strasznej czynić dochodzenie, ale od tego odstąpić musieliśmy, bo biedny mój towarzysz był ciągle w gorączkowem obłąkaniu. Opuściło go ono, ale tuż przed śmiercią samą; umarł przytomnie i przykładnie, jak na dobrego katolika przystało, jako iż takim był zawsze, ową nieszczęsną znajomość z cudzoziemcem wyjąwszy. Pochowaliśmy go z honorami wojskowemi w trzy dni po pogrzebie jego panny — a tak ja żałością srogą i ciężkim frasunkiem garnizon mój nieszczęsny we Lwowie *Anno Domini* 1766 rozpocząłem, bo że nieszczęsny był aż do końca, tego się z dalszego ciągu narracji mojej dowiecie. Przyszedłem do tego miasta z wesołem sercem i otuchą, a opuściłem je z srogą aflikcją, a prawie z desperacją, o czem kiedyś mowa będzie...

Jakoś w kilka dni po pogrzebie Aksamickiego, dobrze już nad wieczorem, przybiega do mnie Zawejda, cały blady a kroplistym potem oblany i nic nie mówiąc, siada na krześle, sapiąc tylko, jakby po wielkiem zmęczeniu. Pytam go, coby mu było, a on na to:

— Rotmistrzu za złe mi nie miej, ale może masz w domu płyn jakowy krzepiący, coś tak na

podreperowanie serca, bo mi niedobrze... Kieliszek wina teraz tobym i od ciężkiego wroga przyjął...

Dałem mu wina, a on, łyknąwszy haust spory, odsapnął raz jeszcze, popatrzył na mnie i rzekł:

— Widziałem Zapatana!...

Wymówiwszy to słowo, przeżegnał się i znowu urwał. Myślałem, że ów szalbierz i awanturnik zamorski we Lwowie już się nigdy nie pojawi, więc też rozciekawiła mnie ta wiadomość, i pytam Zawejdy, jak i gdzie to było? Zawejda znowu wypił kieliszek wina, jakby na dnie jego swady szukał i tak się ozwał:

— Dzisiaj popołudniu spotkałem go koło starościńskiego zamku. Jechała czarna kanalja w swojej czarnej kolebce, swemi czarnemi końmi, z swym czarnym murzynem, bo ten bies w ludzkiej postaci z piekielnej masztarni cały ma ekwipaż... Przypomniała mi się Rawa, a potem i ten biedny Aksamicki, niechaj mu Bóg miłościw tam będzie! Owo rzekłem sam do siebie: «Słuchaj, Zawejda, będziesz hetka pętelka, jak mu to płazem puścisz!» A trzeba ci wiedzieć, Mości rotmistrzu, żem już dawno myślał o tem, aby temu czarnemu szelmie w łeb palnąć, a tam go posłać, skąd jest rodem, to jest do kwatery Belzebuba.

— Mości Zawejdo — rzekę mu z niechęcią — zawsze Waćpanu fantazja jakiś głupi koncept przyniesie!

— Nie był to głupi koncept, Mości rotmistrzu, choć się nie udał. Tylko wysłuchaj, proszę. Wiedziałem, że to nie człowiek jak my wszyscy, ale cha-

rakternik, co z szatanem jest w aljansie, więc tedy wziąłem się na sposób. Ulałem umyślnie nową kulę na święconej pszenicy, bo musisz wiedzieć, Mości rotmistrzu, że w charakternika tylko takowa kula ugodzi, a żadnej innej niecnota się nie boi. Każdy kampańczyk na Siczy jest takim charakternikiem, bywało pal w niego jak w jasną świecę, kula jak groch o ścianę. Ale jak sobie ostatnim razem, na hajdamactwo idąc, ulałem kule na święconej pszenicy, tom strzelał kampańczyki jak bekasy. Owóż i tym razem tak zrobiłem, i tak ulaną kulą nabiłem sobie pistolet na tego Zapatana...

— I strzeliłeś Waćpan do niego? — poderwałem niecierpliwie.

— Dajże mi mówić spokojnie, rotmistrzu — odpowiedział Zawejda — a dowiesz się o wszystkiem powoli. Kiedy tak widzę koło zamku tę czarną kanaljȩ jadącą, zachodzę koniom drogę, rozkrzyżowuję ręce obie, a że nie wiedziałem, jakim chrześcijańskim językiem mam się tłumaczyć przed niecnotą, więc zażywam wszelkich, o jakich gdzie tylko słyszałem:

— Hola, Mościpanowie! Halt — werda! Stój! Arretez! ecoutez! Sta viator! Chwilkę na ustęp, Mospano Zapatano, Conte Signore!

On na to się uśmiechnął po swojemu, wyskoczył z powozu, przystąpił do mnie i jakowymś językiem pół kocim, pół baranim do mnie zaszwargotał. Ja mu na to:

— Non intelligo, nix verstand, non capisco, komprampam rien, nie rozumiem Waszeci.

Tedy on do mnie po polsku, ale tak, jakby olejki przedawał, z kiepska po węgiersku. Z tego poznałem zaraz, że to nie jest djabeł we własnej osobie, bo powiadają, że jak się zdarzy djabeł, to *perfecte* po polsku mówi, jak szlachcic.

— Czego chcesz Waćpan? — mówi mi tedy.

Ja mu na to:

— Jestem Zacharjasz Łada Zawejda, porucznik gwardji konnej Jego Królewskiej Mości. Mam sobie Aspana za bajbardzo i za hetkę pętelkę, i mocno sobie tego życzę, abym Waćpanu w łeb strzelił, Mospano Zapatano. Mości conte, proszę do kąta, piff! paff! to będzie za Rawę i za mego kamrata Aksamickiego!

— Chociażem nie lingwista — plótł dalej Zawejda — toć przecie przyznasz mi, Mości rotmistrzu, żem się dokumentnie i zrozumiale tłumaczył, żeby i Turek był zrozumiał. Jakoż i on dowiedział się czego chcę, i dał znak forysiowi, aby sobie pojechał. Potem wziął mię pod rękę, i nic nie mówiąc, iść począł. Szedł niby wolnym krokiem i jakby spacerem, a przecie tak szybko, żem prawie kłusem darł, aby mu kroku dotrzymać, i aż mnie pot oblał kroplisty i tchu mi zabrakło. Tak mnie szelma wywiódł aż daleko za miasto, het aż na janowskie błonia. Tu stanął, odpiął pendent od szpady, wziął za jeden koniec, drugi mnie dał do ręki, popatrzył na mnie z uśmiechem swym szpetnym, i zawołał:

— Strzelaj Waćpan!

Ja do niego:

— Waćpanu pierwszeństwo. Strzelaj Waćpan.

— Ja nie chcę i nie będę — mówi on na to — strzelaj panie oficerze pierwszy na długość tego pendentu i to na moją komendę, jak powiem raz, dwa, trzy!

Certowałem się jeszcze, ale on nogą tupnął niecierpliwie, spojrzał na mnie tak groźnie a przenikliwie, jakby mnie na wylot chciał spojrzeniem swem przeszyć, i mówił:

— Pocóż mnie Waćpan wołałeś? Strzelaj mi zaraz. Baczność! Raz! dwa! trzy!

Pendent był krótki, jak każdy pendent; biorąc Zapatana na cel, ledwiem się jego piersi nie dotknął, ale on, jak na dziecko, śmiejąc się, na mnie patrzał. Na komendę trzy! palnąłem mu wprost w głowę; dym się rozszedł, patrzę, a ten czarny bies stoi, jak stał, i śmieje się, jak się śmiał przedtem!... Cóż ty na to, Mości rotmistrzu?

— Co ja na to? — rzekę — oto skonfundowałeś się Waćpan, ręka Waćpanu drżała, i wyszło z tego pudło!

— Rotmistrzu! rotmistrzu! — zawołał obrażony Zawejda — a już chyba z przekory, a nie z racji tak mi mówisz. Ja i pudło? ja, co najcelniej strzelam w chorągwi? Na trzy kroki i pudło! Kula na święconej pszenicy lana, i pudło! Gdyby to nie był aljant piekielny i dubeltowy charakternik, jużby dlań z pewnością było po ostatnim capsztrychu, aniby był drgnął po strzale!

— I cóż potem było? — pytam Zawejdy.

— Potem Zapatan wyrwał mi z rąk pendent i rzekł:

— Nie umiesz Waćpan strzelać; ja potrafię lepiej. Stójże Waćpan na miejscu i ani mi się rusz, bo teraz moja kolej!

— Stałem jak przybity, rezygnując się na śmierć pewną. Westchnąłem do Boga, duszę mu swoją grzeszną rekomendując, i czekam. On idzie odemnie i idzie, oddala się najmniej na jakich sześćdziesiąt kroków, staje, zwraca się ku mnie i mówi:

— Pokażę teraz Waćpanu, jak ja strzelam! Zdejmę Waćpanu trzeci guzik od galonka przy kapeluszu, abyś po mnie zachował pamiątkę!

I jak strzeli, kula gwizdnęła mi nad czupryną, brzękła o guzik, i owo patrz, rotmistrzu, patrz, bo nie widziawszy, wiarybyś nie dał, oto jak ugodził w cel ten Zapatan!

Tu Zawejda podał mi swój kapelusz, i istotnie przekonałem się, że guzik od uderzenia kuli cały spłaszczony był i tak wbity w kapelusz, że aż w sukno się wgniótł i dziurę wywiercił...

— I cóż Waćpan teraz na to, Mości rotmistrzu? — rzecze Zawejda.

— Ja mu na to chyba powiem, że Waćpan strzelać nie umiesz, a on umie, i nic więcej.

Zawejda, jakby przez zemstę za te moje słowa, wypił mi całą resztę wina, otarł usta, westchnął, wąs wykręcił i salutowawszy wyszedł, nie mogąc mi tego darować, że tę jego historję tak sobie lekko brałem. Po tem opowiadaniu Zawejdy kilka dni nic o Zapatanie nie słyszałem, i zdawało mi się, że go już we Lwowie niemasz. Tymczasem raz jeszcze widzieć go miałem.

Coś we dwa tygodnie po świętach wielkanocnych zachciało się szlachcie, której siła pod on czas było we Lwowie, wyprawić maskaradę. Reduty jeszcze były we Lwowie nowością, i cisnął się do nich kto mógł, a bywało i z dalekich okolic szlachcic wiózł na takowy lusztyk żonę i córki dorosłe, nie mówiąc już o mieszczanach i mieszczkach bogatych, którym pod maską przystęp bywał także wolny. Zapusty tego roku były krótkie, więc odłożono sobie jeszcze jedną redutę na czas poświąteczny. Campioni, Włoch jeden, który był u Tomatisa w Warszawie, przy operze, zjechał był umyślnie na to do Lwowa, aby takie reduty urządzać. Pozwolono mu w pałacu Jabłonowskich jednej dużej sali i pokojów obszernych kilka w dodatku, i tam tedy odbyć się miała owa reduta.

Owóż był zwyczaj, aby na takiej maskaradzie, że to była hulanka pełna swawoli, a raj prawdziwy dla rozpustników, elegantów i kartowników, i że obok uczciwych osób siła gawiedzi i figur najgorszej konduity pod maską na nią się garnęła, aby mówię trzymaną była straż wojskowa, i aby sam komendant garnizonu miał inspekcję na sali. Mnie to trafiło, bo gdy mnie pan generał na takiego wyznaczył, więc na owej maskaradzie służbę odbywać musiałem.

Napatrzyłem się tych redut w Warszawie, a dawniej jeszcze w Berlinie, ale przyznać muszę, że reduta lwowska nie ustępowała tamtym, bo i gości był natłok ogromny, i przeróżnych strojów, kostumeryj, a przedziwnych i kunsztownych maszkar

moc wielka. Stałem na środku sali, po kątach i sąsiednich pokojach oficerów i unteroficerów kilku ustawiwszy, aby skoro się jaki tumult gdzie uczyni, ekscesanta na świeże powietrze lub na hauptwach wywieść zaraz. Kiedy tak stoję, widzę naraz, że przez tłum gości przeciska się Zapatan. Bez maski był, w zwykłym swym czarnym stroju, z owym ogromnym brylantem, i przy szpadzie. Trzeba wiedzieć, że na maskaradę nie wolno było nikomu wchodzić z bronią żadną przy boku, z wyjątkiem służbowych oficerów — więc też rozgniewało mnie to, że ten hrabia Zapatan, który przecież zwyczajów takich świadom być powinien, ze szpadą się tędy kręci. Zmierzam tedy ku niemu, aby mu to grzecznym kształtem wymówić i o odpasanie szpady poprosić — kiedy tuż koło siebie widzę znowu dwóch ludzi maskowanych, całkiem czarno ubranych, a także ze szpadami. Wołam z kąta unteroficera i posyłam go do straży, aby jej raz jeszcze surowy nakaz przypomniał, że przy szpadzie nikogo wpuszczać niema.

Owi dwaj czarno ubrani i maskowani nieznajomi kręcili się po sali, jakby szukali kogo, i nagle zwrócili się wprost ku miejscu, gdzie był Zapatan. Stał on do nich plecyma odwrócony i patrzył na zgiełk maszkarowy swemi złowrogiemi oczyma, czasem w zwyczajny swój sposób się uśmiechając, gdy nagle jedna z owych dwóch masek dłoń mu na ramię położyła. Zapatan odwrócił się, i widziałem, jak cały zadrżał, i jak twarz jego, choć zawsze bardzo blada była, teraz pobielała jak kreda. Jeden z maskowanych nieznajomych coś przemówił i rękę ku

niemu wyciągnął, a Zapatan w tejże chwili wtył odskoczył z widocznem przerażeniem na twarzy, i prawą rękę szybko na rękojeść szpady położył, jakoby jej dobyć i bronić się zamierzał...

Myślałem, że przyjdzie do jakiej awantury, i prędko ku owym trzem poszedłem, nim wszakże przez tłum się przecisnąć mogłem, ujrzałem, jak dwaj maskowani ludzie Zapatana pod ramiona wziąwszy, ku wyjściu go wiedli. On szedł ze spuszczonemi oczyma, z mocno zaciśniętemi usty, i jakby z desperacką rezygnacją na twarzy. Choć zgiełk i ścisk w sali był wielki, owi dwaj nieznajomi z dziwną łatwością rum sobie czynili, bo im się wszyscy ustępywali, ze zdziwieniem na nich patrząc. Tak mi zniknęli u wyjścia. Kontent byłem, żem się ich z sali pozbył, a szpady im odbierać lub aresztować nie potrzebował. Stanąłem sobie koło okna, z którego można było widzieć owe domostwo, w którem zakwaterował się Zapatan, i spojrzałem na dwór. Noc była ciemna, a z oświetlonej sali trudno było coś ujrzeć, zdało mi się jednak, jakbym na wzgórzu między staremi drzewami, co tam rosły, widział trzy ciemne postacie, dążące szybko ku opuszczonemu domostwu.

Zdjęty ciekawością, przyłożyłem twarz do okna, i patrzyć bystro począłem, ale ledwie dostrzec mogłem kwatery Zapatana, której okna nie były oświetlone. Nagle jednak, w jednej chwili, cały dom błysnął światłem jaskrawem i silnem, tak jakby wewnątrz domostwa wielki fajerwerk zapalono. Z wszystkich okien uderzyło światło mieniące się,

to jakoby krwawej barwy, to znowu żółte, a takie silne i gwałtowne, że aż oczy raziło. Otworzyłem okienko i usłyszałem okropny huk, trzask i syk, odzywający się z domu Zapatana, tak jakby race pękały, a wszystkie ściany i wiązania się waliły... Z przerażeniem na to patrzyłem, gdy nagle zagrzmiał huk tak straszliwy i okrutny, jakoby piorun tuż nad uchem mi uderzył, i zaraz też wszystkie szyby w sali redutowej z wielkim brzękiem a łoskotem popękały. Ujrzałem tylko ogromny płomień strzelający w górę, a potem nagle ucichło i ciemność wszystko pokryła...

Między publiką w sali wszczął się na odgłos bliskiego huku i na ten brzęk okien hałas i lament okrutny; poczęto krzyczeć w trwodze: «pali się, wali się!» — i nuż kobiety mdleć, mężczyźni krzyczeć, a wszyscy z desperacją do drzwi cisnąć się poczną. Widząc, że wielkie nieszczęście być może, i że się ludzie mizernie poduszą, skoczyłem na stół i z całej siły zawołałem:

— Nie bójcie się! Niema strachu! To cekauz w powietrze wyleciał!

Na to moje wołanie odważniejsi zaraz się zreflektowali i drugich uspokajać poczęli, i tak się trochę ten tumult ułożył, choć się bez drobnych szwanków nie obeszło. Ja zaś z Zawejdą gwałtem a gołemi szpadami prawie rum sobie robiąc, wybiegliśmy z sali, a wziąwszy z sobą połowę straży, na miejsce tego niepojętego wypadku pospieszyli. Ledwośmy na miejscu stanęli, a już prawie większa połowa publiki z reduty za nami wybiegła, aby zobaczyć, co się stało.

Straszliwy widok zniszczenia tu zastaliśmy. Ze starego domostwa czy cekauzu nic nie pozostało, prócz ogromnej kupy gruzów. Tak to wyglądało, jakby dom ten wraz z fundamentami rzucony został w całości do góry, a padając znowu na ziemię, w drobne gruzy się rozbił. Cegła na cegle, kamień na kamieniu nie pozostał — ale co dziwna, dach cały, jakby kapelusz, o kilkadziesiąt kroków dalej został rzucony... Zaraz mnie uderzył zapach i gęsty dym prochu, tak że nie miałem żadnej wątpliwości, że dom wysadzony został miną w powietrze.

Ta okrutna eksplozja przerwała całą zabawę na maszkaradzie, a na drugi dzień o niczem nie mówiono, jeno o tym straszliwym wypadku. Na gruzach czyniono poszukiwania, ale nie znaleziono ani trupów, ani żadnego członka ludzkiego, jak się tego spodziewałem, bo byłem pewny, że wszyscy owi trzej w powietrze wylecieli. Było o to dochodzenie i starościńskie i nasze wojskowe, i spisywano rozmaite indagacje. Jakoż wydała się tego naturalna przyczyna, bo pokazało się z zeznań jednego unterceugwarta od artylerji, który dawniej miał nadzór nad cekauzem, nim go sobie ów Zapatan kwaterą wynajął, że w piwnicy tego domu żyd pewien brodzki, co proch do kamienieckiej fortecy liwerował, cały kamień prochu był złożył, o której to amunicji albo zgoła nie wiedziano, albo zapomniano. Jak się zaś stało, że ta eksplozja nastąpiła, kto ją spowodował? czy przypadek? czy nieostrożność? czy też wola umyślna? co się stało z Zapatanem i z owymi dwoma

nieznajomymi? — tego nikt nie doszedł i to już na zawsze pozostało tajemnicą...

We dwa dni jakoś po tym wypadku siedziałem wieczorem w mojej kwaterze, pisząc list do rodziny mojej, bo mi się dobra sposobność zdarzała. Nie było nikogo więcej w izbie prócz psa, którego mi już we Lwowie darowano. Pies ten (Pożar się nazywał), ogromnych był proporcyj, z rasy najlepszych brytanów. Był tak wielkiej siły, że chłopa na ziemię powalał, a tak odważny i posłuszny, że w piekło byłby skoczył, gdybym tylko krzyknął: Pożar, weź! Kiedy tak piszę, słyszę ciągle, że pies mój bardzo jest niespokojny, to warczy, to skomle, a na miejscu utrzymać się nie może. Zdziwiło mnie to, więc przestałem pisać, a począłem obserwować psa, coby mu było. Widzę tedy, jak mój Pożar z rozpalonemi oczyma patrzy w kąt izby, pod kantorek, co tam stał, ale zdaleka, i jakby do skoku się nasadza, ale snać odwagi nie ma, bo ciągle to szczeka, to skomle mizernie. Ciekaw bardzo, coby to być mogło, wstaję ze stołka, przystępuję do psa i wołam:

— Pożar, weź! Huź-ha!

Porwało się psisko w okrutnym skoku i wprost pod kantorek sadzi, ale znowu staje i warczy. Wtem zakrakało coś głuchym i ochrypłym tonem z pod kantorka, i usłyszałem wyraźnie:

— *Arrabet! Zapatan! Metatran!*

Poznałem zaraz ten głos, choć był bardzo słaby, cichy i jakoby żałosny, ale w zdumieniu mojem pojąć nie mogłem, skądby się tu nagle w kwaterze mojej wziął ów kruk duży, którego w Rawie

przy Zapatanie widziałem! Myślałem przez chwilę, że mnie uszy zwodzą, ale wnet po raz wtóry słyszę to samo żałosne wołanie: *Arathran! Arrabet!* Pożar mój, kiedy owo wołanie dziwne usłyszał, począł wściekle szczekać a rwać się, a warczeć i skomleć, że go za obrożę chwycić i zatrzymać musiałem. Na ten wrzask wbiegł do izby mój wyrostek, który mi czyścił mundur w pobocznym alkierzu.

— Franaszek! — wołam na wyrostka — chodźno, trzymaj psa, bo coś tu jest pod kantorkiem.

— A to kruk, panie rotmistrzu! — mówi Franaszek.

— Co za kruk? skąd się wziął tutaj?

— To proszę pana rotmistrza — rzecze wyrostek — na pogorzelisku tego domu, co to w powietrze wyleciał, znalazłem tę czarną bestję gadającą. Strasznie to biedactwo było popalone a pokaleczone, a tak jęczało, stękało i lamentowało, jakby człowiek, że mi się żal stało, tom go wziął tu, panie rotmistrzu!

Rzekłszy to, położył się na ziemię i wyciągnął z pod kantorka kruka, który miał pióra osmalone, a tak mizernie wyglądał, jakby lada chwila miał zginąć. Miałem jakiś przesąd przeciw tej brzydkiej, czarnej poczwarze, a to dlatego, że należała do Zapatana i że jakieś niezrozumiałe a dziwaczne wykrzykiwała słowa, o których zaręczyć nie mogłem, czy też nie są jakiem szpetnem a bezbożnem bluźnierstwem, ale wstręt mój pokonałem, bo mnie litość zbierała nad nędznem, rozbitem stworzeniem, i dlatego też nie kazałem go już wyrzucać i nie ła-

jałem o to chłopca, że mi takiego nieproszonego gościa w dom sprowadził. Owo ni stąd ni zowąd przyszedłem do spuścizny po Zapatanie!...

Był ten kruk u mnie przez kilka dni, a choć mi Zawejda głowę suszył, abym tego «piekielnego kanarka, którego sam Belzebub swojej narzeczonej w prezencie pewno dał» (tak poczciwy Zawejda mówił), coprędzej w ogień rzucił, kark mu przedtem ukręciwszy — tom przecież pozwolił wyrostkowi memu, aby ptaka karmił a pielęgnował. Ale za kilka dni kruk zupełnie już był zdrów, zuchwale sobie poczynał, spać mi nie dawał, ciągle krzycząc i śmiejąc się, a Pożarowi tak wrzaskiem swym imponował, że psisko przed nim respekt miało jak przedemną. Chciałem się go pozbyć koniecznie, i postanowiłem pierwszemu lepszemu go darować, ktoby tylko wziąć chciał — bo mi zadużo już było tego krzyku i tego chichotu przykrego, którym mnie ta dziwna bestja nocami traktowała. Inaczej się jednak stało.

Raz późnym już bardzo wieczorem rachunki chorągwi mojej zestawiałem, a Franaszek przy kominie pistolety czyścił, kiedy nagle coś o szyby zadzwoniło.

— Ktoś puka, panie, do okna! — mówi Franaszek.

Myślałem, że to wiatr, ale chłopak mój woła znowu:

— Panie rotmistrzu, zagląda ktoś do okna!

Wstaję tedy od moich rachunków, chcąc podejść ku oknu, gdy tu naraz kruk zerwie się z kąta, skrzydłami pocznie trzepać jakby w wielkiej rado-

ści, i wołać po swojemu, ale przeraźliwiej niż bywało:

— Arrabet! Zapatan!

I wzlatując z tym wrzaskiem z ziemi, rzucił się kruk ku oknu z wielkim impetem, szybę z brzękiem głośnym wysadził, i za oknem w ciemności przepadł... Wybiegliśmy z wyrostkiem na podwórze, ale nikogo nie widzieliśmy, a kruka ani śladu nie było. Tylko mój Pożar z wściekłem szczekaniem wyskoczył, chwilę ujadał, a nagle skomląc powrócił, drżąc cały i do nóg moich się tuląc...

Na tem się ta cała dziwna przygoda skończyła — i nikt z niej tajemnicy nie zdjął, choć domysłów i przeróżnych kombinacyj siła o niej było.

PAN KASZTELANIC

...Wspominałem o tem już nieraz, jako stan żołnierski w tej Rzeczypospolitej naszej kondycją bywał mizerną i ciężką, a już najbardziej w autoramencie cudzoziemskim. Zaznałem tego zaraz w pierwszych latach mojej służby, na skórze własnej przykrości tych ustawnych doświadczając, a gdybym tak nie był wyszedł z twardej i surowej szkoły cudzoziemskiej, i gdybym nie sumieniem i żołnierskim respektem obowiązku wobec króla Jegomości zaciągniętego, ale chwilową fantazją i przykrą impresją zniechęconego serca się wodził, byłbym już dawno porzucił służbę wojskową, nie czekając, aż mi się z nią rozstać przyjdzie wśród żałosnych okoliczności, przy ciężkim a opłakanym upadku kraju...

Ale człek nauczył się połykać rozmaite gorzkości w młodych leciech, a kiedy już cierpliwości nie stawało, tedy szukał pociechy w tej myśli, że kiedy obcym służył lat tyle, a ani krwi, ani srogiego trudu nie szczędził, to i dla własnego kraju teraz niczego litować nie powinien. Do tego przyszło i to, że z racji tej mojej nieszczęśliwej młodości, która mi w obcym kraju i w obcych szeregach upłynęła, do niczego nie widziałem się być sposobnym, jeno do rycerskiego rzemiosła. Z części tej, co na mnie z fortuny rodzicielskiej przypadała, byłbym

może uczciwie a bez troski żyć mógł, nie mówiąc już o dobrem ożenieniu się, do czego mnie i ludzie ciągnęli i nieraz bardzo fortunna sprzyjała okazja — alem się bał bezczynnego żywota, a chleb daremnie jeść zdało mi się zawsze rzeczą nie piękną.

Tak tedy biedę wlokłem wedle sił moich, na zawody a dolegliwości nie bacząc. Pociechą mi w tem było prawdziwą, żem rzemiosło żołnierskie ukochał sobie nad wszystko, i że wszelakie troski i dolegliwości, których mi zażywać przychodziło, dla kraju własnego ponoszę. Ale kiedy co boli, to boli, a choćby balsamy najprzedniejsze przykładać, zawsze coś z bólu tego zostanie. Więc też i mnie nieraz wszystkie owe pociechy nie wystarczały, kiedym widział, jako stan mój w upośledzeniu był w Polsce, jak żołnierz bez opatrzenia zostawał, choć go tak bardzo mało było, i jak pierwszy lepszy krzykacz sejmikowy więcej znaczył, niż najzdolniejszy i najstateczniejszy oficer. Przypominały mi się słowa brata mego Andrzeja, który mi koniecznie autorament cudzoziemski z głowy wybić a do podjeżdżania pod chorągiew nakłonić chciał; jakoż gdyby mi na tem było co zależało, aby w rycerza się bawić, szablą dzwonić, a w bogatej zbroi chodzić, tobym był wszystko znalazł pod chorągwią pancerną lub usarską, i byłbym może tak samo rozkazywał oficerom autoramentowym, odemnie doświadczeniem i żołnierską aplikacją starszym, jak mnie mało co już we Lwowie taki pan Towarzysz nie rozkazywał.

Trzymał mnie także w służbie wojskowej i szef mój, pan generał Korytowski, któregom i kochał

i poważał, naukę militarną w nim wysoce ceniąc, trzymały mnie dalej także i rozmaite nadzieje, że przecież raz sejm nad opatrzeniem i augmentacją sił regularnych pomyśli i tej mizerji a nieładowi przecież koniec położy. Chyliło się też ku temu zrazu szczęśliwie; posprowadzał król z zagranicy zdolnych generałów, jak np. pana Coccei, który w niemieckiem i angielskiem wojsku był dystyngowanym oficerem; pracował nad wydoskonaleniem wojska pan generał Komarzewski, myślał i sejm o tem, od marca 1767 traktament nam wyższy wyznaczając (tak, że porcja dragońska teraz już 450 złotych wynosiła) — ale po tym pierwszym rozpędzie na tem się skończyło, że nam regulament nowy spisano, a cyfry króla Jegomości na kapeluszach i czaprakach nosić kazano. I nie mogło się lepiej skończyć, bo ledwie o ameljorację armji troskać się zaczęto, a już przypadły one nieszczęsne rozruchy, bunty i konfederacje, za któremi też i zguba rychło nadeszła...

A co zaś najbardziej i najdłużej mnie gorszyło, to owa prawdziwa postać rzeczy w Polsce, tak bardzo różna od tej, jaką sobie imaginowałem, na obczyźnie jeszcze będąc. Pacholęciem prawie jeszcze kraj mój opuściwszy, a Polski długo nie znając prawie wcale, choć Polakiem byłem, w tęskności mojej ku rodzinne ziemi tak ją sobie miłą a wdzięczną, a zacną i błogosławioną wystawiałem, jak to powiadają: na trzy zbytki ją sobie w duszy i sercu cukrując, że kiedy nareszcie Bóg ujrzeć mi ją dał i służyć jej pozwolił, długo a długo z tą dyferencją między moją imaginacją a prawdą aktualną pogo-

dzić mi się ani sposobu było. To też rzadko jakowa sentencja tak rzetelną a trafną mi się zdała, jak owe słowa księcia Sułkowskiego, posła niegdy przy dworze francuskim, który zwykł był mawiać: *Sarmatorum virtus veluti extra ipsos.*

Czy to już zawsze tak było, czy się dopiero za moich czasów popsowało, dość, że istotnie one słynne wszystkie cnoty sarmackie nie w Sarmatach, ale gdzieś poza nimi, w czczej famie, jakoby w powietrzu wisiały... Mawiano, że Polska bogobojną była zawsze, a przecie napatrzyłem się i duchowieństwa złego i farmazoństwa u świeckich aż ku zgorszeniu; mawiano, że wierność małżeńska świętością w niej była zawsze, a owo zepsucia, rozwodów, a szpetnej rozwiązłości obyczajów za moich czasów bywało do syta; sławiono animusz rycerski i mężne dusze polskie, a oto świadkiem mi być przyszło, jak kraj bez jednego strzału, a bez dobycia szabli ze wszystkich stron sromotnie obcięto; wielbiono równość i zacność szlacheckiego stanu, a tymczasem już w onych nieszczęsnych czasach za grosz jej nie było.

Szlachta mojego czasu w większości swojej tak zatraciła była tradycję zacności swej i równości obywatelskiej, że owo, bez przesady to rzec można, tłuszczą bywała na zawołanie magnata, rozkazowi jego powolna, choćby to było i ze szwankiem czci szlacheckiej i szkodą kraju. Bywał szlachcic równy wojewodzie, to prawda, ale wedle konstytucji tylko, w sermonach sejmikowych, i w gębie pańskiej, bo kiedy magnat kresek lub szabel potrzebował, rokosz chciał podnieść przeciw królowi lub burdę wypra-

wić, tedy mu szlachcic mały, szaraczek, a choćby i chodaczek, był miłym panem bratem. A nie dziwię się już prawie, że ku temu przyszło, bo jak mogła ostać się ta równość, kiedy nad nią prawo nie czuwało, i kiedy kto był mocniejszy, ten i rację miewał?... Nie raz i nie dwa razy widziałem, jak zasługa prawdziwa i cnota obywatelska w kąt pójść musiała przed protekcją a wpływami fortuny i władzy — tak, że wkońcu na to wyszło, iż kto z serca rad był przysłużyć się Rzeczypospolitej i zdolności miał ku temu, nie mógł, a kto mógł, ten albo nie chciał, albo co za jedno stało, nie umiał.

Był u nas jeszcze element nie popsuty a zacny w wszelakich stanach, trafiały się i zdatności niepoślednie, ale marnie to poszło, bo co było przemożne albo zuchwałe, to prym brało przed zasługą. A że my Polacy takowy już mamy charakter, iż fantazję i ambicję naszą osobistą nie zawsze sakryfikować umiemy, i że postpozycja każda do mściwej buty a do niesforności nas wiedzie, więc co się temu dziwić, że ci, co mogli być podporą kraju, na zgubę mu nieraz wychodzili. Ale bo też siła to najcierpliwszego a najskromniejszego człowieka kosztuje, przenieść krzywdę i postpozycją niesłuszną, i wielki to już triumf nad krnąbrnością wrodzoną serca, aby się na to zrezygnować. Doświadczyłem ja tego sam, i wiem, co mnie to kosztowało, i jakiej to żołnierskiej karności wyciągało z mojej strony, nim człowiek do tego przyszedł, że bunt wewnętrzny pokonał, i żal przemógłszy, zęby ścisnąwszy, do posłuchu się zmusił.

Wszczęły się, jak powiedziałem, one nieszczęśliwości w Polsce na dobre, ku okrutnemu końcowi ją wiodąc. Hajdamactwo srogie nie skończyło się jeszcze, choć krew się potokami polała z egzekucyj czynionych na onem chłopskiem łotrostwie. Miałem ja z tego powodu siła trudu i kłopotu na moim garnizonie lwowskim, bo nietylko chorągiew kawałkować musiałem, śląc oddziały na eskortę pojmanych zbójców, ale i we Lwowie rady sobie dać było nie można z wartowaniem pospędzanego hultajstwa. A trzeba wiedzieć, że choć moc wielką co winniejszych hajdamaków zabijano na miejscu, srodze i okrutnie karząc to na pal wbijaniem, to ćwiartowaniem, to zdejmowaniem głowy, to daleko większą ilość pospolitszej tłuszczy rozsyłano pod strażą żołnierską po rozmaitych miastach.

Napatrzyłem się wtedy całej straszliwości nędzy a niedoli, a choć w grozie wojennej rzec mogę wychowałem się i wyrosłem, przecież nieraz serce truchlało na widok onej nieszczęsnej mizerji, która choćby godziła w zbrodniarzy tylko ohydnych, przecież komizeracją w chrześcijańskiej duszy budzić musi. Pan Branicki sam później siedmiuset ich odrazu powiesić kazał jednym wałem, hersztów w to nie licząc, którzy inną powolną śmiercią ginęli — resztę, którą życiem darowano, pędzono na wszystkie strony. Wszczął się był w onym czasie handel ohydny a nikczemny, tak iż pojmanych buntowników jak bydło niewiernym Turkom przedawano, nie bacząc na chrzest ich i na człowieczeństwo, na obraz Boży stworzone...

Chwytali się takowego handlu łotrzykowie niektórzy, a mnie samemu, kiedym miał tych opryszków w mnogości wielkiej pod moją strażą, dawał jeden taki nikczemny handlarz dusz po 500 lewów tureckich za sztukę, chcąc ich Turkom odprzedać z wielkim zyskiem, bo Bisurman zawsze głodny niewolnika. Kazałem za taką niecną propozycję, która moje sumienie katolickie i mój honor oficerski obraziła, aresztować owego haniebnego łotrzyka, trzymać go przez tydzień wraz z hajdamakami w kałauzie, a ich nędzną, opłakaną strawą karmić, a potem oćwiczyć porządnie a na cztery wiatry wypędzić. Smakujże, kanaljo, i ty zbójeckiego chleba, boś innego nie wart, skoro bliźnim twym szpetny handel czynić się nie wzdragasz!

Miałem tych pojmanych złoczyńców kilkaset we Lwowie pod strażą mojej chorągwi, a moi dragoni nigdy wstrętniejszej a trudniejszej służby pono nie pełnili, jak wonczas. A do tego przyszło jeszcze i to, że dawni panowie tych pojmanych chłopów reklamacje o nich czynili, jako iż z ich włości zbiegli, co znowu kłopotem było niemałym. Wkońcu rozsądniej jakoś tymi potępieńcami rozrządzono, po znaczniejszych miastach ich porozdzielawszy. Zażywano ich do robót rozmaitych, jak np. w fortecy kamienieckiej, a we Lwowie pan generał Korytowski przy budowie swej nowej kamienicy ich zatrudniał.

W tychże samych czasach, jak już wspominałem, zaczęto myśleć o naprawie wojska i lepszem jego ćwiczeniu, i był też plan taki, aby wszystko woj-

sko komputowe wraz z husarją i pancernymi na partje podzielić, a to na partję Małopolską, Wielkopolską, Ukraińską i Podolską, i aby obozem, a nie po kwaterach je ćwiczyć. Do każdej partji takiej dodany miał być jeden szwadron dragonji, aby ten żołnierz już dobrze wedle autoramentu cudzoziemskiego wyćwiczony, komputowemu za eksercyrmajstra służył. Planu tego w całości nigdy nie przywiedziono do skutku, ale po cząstce i nieładem, tak iż taki oficer, co chciał naprawdę coś zrobić, kłopotu się tylko najadł, a niekiedy i despektu, nic nie wskórawszy. Owoż i we Lwowie miał się zebrać takowy większy oddział ku militarnemu ćwiczeniu i ku gotowości w tym czasie wszczynających się niepokojów. Miało się tu ściągnąć, co było jakiej komputowej kawalerji w pobliżu na kwaterach, a dragonja moja miała być ową szkołą, w którejby się żołnierz polskiego autoramentu poduczył sztuki wojennej, i owym klejem, któryby jako tako trzymał w kupie rozmaite garstki tego mizernego wojska.

Chociaż w życiu mem całem, a już najbardziej w zawodzie żołnierskim wolen byłem od grzechu pychy i wielkiego o sobie rozumienia, toć przecie ambicja zacna a uczciwa u mnie była, i tej sromać się nie potrzebowałem i nie potrzebuję, albowiem takowa godziwa ambicja macierzą jest czynów mężnych i kawalerskich, a jeśli kto ją mieć winien, to któż, jak nie żołnierz? Bo chociaż chrześcijańskiemu rycerzowi pokora także nadobnie przystoi, to jednak zawodu jego honor a pragnienie czynów znakomitych głównym są fundamentem. Własnych

zdatności i własnych zasług miałem także świadomość, i to jest także uczciwą a konieczną kondycją każdego oficera, bo nie mając ufności i wiary w siebie samego, jakby innym dowodził, a w ciężkich potrzebach i nagłych przygodach, kiedy na deliberację czasu niema, skutecznie sobie poczynał?

Owoż nikt mi tego za złe mieć nie mógł i nie może, żem miał nadzieję, a nietylko nadzieję, ale i pretensję, że mnie przy takiej kreacji partyj mieszanych uczynią komendantem, i że nią dowodzić będę chociaż *subalterne*, ale zawsze w obrębie regulamentów niezawiśle. Jakoż utwierdzali mnie w tych widokach moi kamraci i przyjaciele, a nawet i sam pan generał Korytowski, który skoro owo formowanie partyj zadecydowanem było, przywoławszy mnie, tak mi powiedział:

— Mości panie rotmistrzu, nabiedowałeś się tu na tym mizernym garnizonie, to pewnie zmiana przyjemną ci będzie. Wprawdzie i tu cię ciężka, a może i cięższa jeszcze czeka praca, ale milszą ci ona będzie, bo korzystniej i na szerszej widowni trudzić się będziesz, a ojczyźnie to dasz, czego jej pono najbardziej zbywa, to jest garść wojska dobrze ćwiczonego. Ściągną się tu komputowcy i trochę kawalerji polskiego autoramentu, zrobim partję z tego, a Waćpan weźmiesz komendę. Jużem cię na to stanowisko forsztelował, bo jeśli ty, mości rotmistrzu, z tej zbieraniny żołnierza nie wykrzeszesz, to już nie wiem, ktoby tu inny w to ugodził.

Podziękowałem panu Korytowskiemu za łaskawą opinję i wzgląd na mnie, bo chociaż owa ko-

menda ani żadnej augmentacji mego kapitańskiego traktamentu, ani żadnego prawdziwego podwyższenia rangi nie dawała, to przecież w ambicji mojej żołnierskiej rad byłem, że się dla mnie pole do popisu otworzy. Pokazało się tymczasem, żem się zawcześnie cieszył, a o tem nie pamiętał, że w polskiej armji niejedno było łatwe, coby w innej zdarzyć się nie mogło nigdy. Jakoż obaczycie, przez co przeszedłem.

Zaczęło się powoli ściągać do Lwowa trochę komputowców, trochę milicji polskiego autoramentu, trochę husarji, ale nie towarzystwo, jeno pocztów, a z wojskowej komisji nominacja na onego szefa jak nie nadchodziła, tak nie nadchodziła. Biegało to po mieście, do wszystkiego raczej podobne, niźli do porządnego żołnierza, wyrabiało tumulty, brzękało pałaszami, czupryną i miną bardzo marsowo i po junacku się nadstawiając — a aby się nie nudzili, to panowie komputowcy szukali okazji z moimi dragonami, bo trzeba wiedzieć, że między oboma autoramentami bywała zawsze jakowaś głupia animozja.

Owoż razu jednego szedłem właśnie przez rynek, kiedy widzę zdaleka, że przy odwachu kupa ludzi stoi, a ktoś głośno krzyczy i z wartą się certuje. Odwach trzymali dnia tego dragoni z mojej chorągwi, z tem większą tedy ciekawością pospieszam, aby się przekonać, coby to był za tumult. Gdym się zbliżył, ujrzałem jakiegoś młokosa, łającego butnie unteroficera, co na odwachu miał komendę. Młodzieniaszek ten, któremu się jeszcze nawet wąsik nie wysypał pod nosem, ubrany był

w czarną burkę fabryki krymskiej, błękitnym atłasem podbitą, sowicie złotemi sznurami burtowaną, i w karmazynowy kontusik bogaty, a szablę miał na złocistych rapciach, poczem zaraz poznałem, że to towarzysz pancernego znaku. Strasznie się sierdził i gniewał, aż mu gładka twarzyczka krwią nabiegła — ale choć marsa sobie dodawał, bardziej na studenta niż na żołnierza patrzył.

Przystępuję bliżej i pytam unteroficera, co zaszło?

— Mości rotmistrzu — mówi unteroficer — owo ten pan... — i tu przerwać musiał, bo ów młody kawaler mnie ujrzawszy, zwrócił się zaraz ku mnie i zawołał:

— To Waćpan jesteś rotmistrzem tych ludzi?

— Do usług Waszmości — odpowiadam.

— Jeśli tak, to Waćpan powinien ich nauczyć, aby kiedy starszyzna idzie, warta przed nią broń skwerowała!

Że te słowa wyrzekł tonem ostrym i krzykliwym, więc mnie to zniecierpliwiło, i odpowiedziałem:

— Już ja ich wszystkiego nauczę, czego im wiedzieć potrzeba, ale nauczże się i Waćpan mówić trochę ciszej, a dalej naucz i mnie także, jaką tu starszyznę ten srogi dyshonor spotkał?

— Jakto, nie widzisz Waćpan? mnie to spotkało! — odpowiedział młodzieniec.

— Dziękuję Waćpanu za informację — odpowiadam — ale nauczże mnie Waćpan dalej, czemeś Waćpan starszy, bo że nie wiekiem, to już sam widzę.

— Jestem Ostrowiecki, chorąży pancernego znaku, nie widzisz tego Waszmość? — ozwał się młodzieniaszek, wskazując na burkę swoją bogato szamerowaną.

— Ja widzę tylko dużo złotych sznurów a pięknych burtów — odpowiadam — ale nie widzę felcechu, ani też sobie mam Waćpana za oficera, abym mu miał honory wojskowe okazywać. Każdy szlachcic szablę nosi, a jak mu stać, złotych sznurów nasadzi, ale nie racja stąd, aby mu na hauptwachu broń skwerować!

Trzeba zaś wiedzieć, że żołnierz, na straży stojący, tylko oficerom honor wojskowy oddawał, broń przed nimi skwerując, a za oficera tego miał tylko uważać, kto przy gifesie miał złoty temblak czyli felcech i szarfę przy pendencie. Takich zaś dystynkcyj zewnętrznych tylko oficerowie autoramentu cudzoziemskiego używali.

Słowa moje wprawiły młodego towarzysza jeszcze w większy ferwor, więc z alteracją mówi do mnie:

— Wiedzże Waćpan, mój ty panie rotmistrzu, że każdy dragon znać winien respekt przed towarzyszem, choćby się zwał kapitanem, o czem Waćpana, Mości autoramentowy, przekonam doskonale, skoro nad wami komendę wezmę!

— Wiedzże o tem, mój ty panie towarzyszu, — odpowiadam mu na to — że jeśli Waćpan natychmiast nie ustąpisz i swoją drogą nie pójdziesz, to nim jeszcze komendę odbierzesz, pod areszt cię wziąć każę.

Widząc z mojej miny, że nie żartem mówię, młody panicz szybko odszedł, wzrok na mnie tylko gniewny rzuciwszy, na co ja spokojnym uśmiechem odpowiedziałem.

Opowiadam to drobne zajście dlatego, że to nie ostatni był wypadek, w którym z tym młodym Ostrowieckim, towarzyszem i kasztelanicem, bo rodzic jego kasztelanem był i możnym bardzo magnatem, znaleźć miałem przykrą okazję. Nie minęło dni kilka od tej sceny, kiedy pan generał Korytowski przywołał mnie do siebie. Zastałem generała bardzo zafrasowanego, a nawet gniewnego, a kiedy mnie ujrzał, podbiegł ku mnie z zakłopotaniem na twarzy, i rzekł:

— Panie Narwoj, dowiesz się rzeczy niesłychanej i przykrej, ale wierzaj mi, że nowina ta dla mnie może jeszcze bardziej niemiłą jest, niż dla ciebie. Panie rotmistrzu, proszę zgóry, nie chciej sobie brać tego do serca; oponować się będziem przeciw temu.

— Mości generale — odpowiadam na to zdziwiony trochę, ale z rezygnacją — mów śmiało; niejedną już gorzkość połknąłem, może i tę strawię.

— Imaginujże sobie Waćpan — mówi pan generał — dostałem pocztę przez kurjera warszawskiego; oto patrz Waćpan, kasztelanic Ostrowiecki, młokos dwudziestoletni, został komendantem partji, do której Waćpana chorągiew należy. A to zaprawdę rzecz trochę za gruba, aby z krzywdą zasłużonych oficerów robić smarkacza komandjerem całej partji, a więc *subalterne* regimentarzem! Co Waćpan na to?

Otwarcie tu wyznać muszę, że mi na takie *dictum acerbum* nie stało już krwi zimnej i determinacji. Nigdybym się był sam nie spodziewał, aby wiadomość ta na mnie sprawiła tak wielką a przykrą impresję. Takowa nominacja wydała mi się srogim despektem i krzywdą prawdziwą — więc i gniew wielki i żal serce mi ścisnęły. Nie mogłem przyjść do słowa i nic nie odpowiedziałem. Patrzył na mnie z przyjaznem współczuciem pan generał, a po chwili takiego milczenia zawołał:

— Waćpan snać nie znasz jeszcze naszej mizerji, to cię ta wiadomość i gniewa i dziwi, a mnie zaś tylko gniewa, a nie dziwi. Kto tam u nas komendy rozdaje, tego ja już nie wiem. Król sobie, komisja wojskowa sobie, hetman sobie, a pan Branicki sobie. Ale tego gaszka to już nie wiem kto mianował; pisano mu pewnie patent na babskiej gotowalni! Bądźże spokojny, panie Narwoj, a wytrwaj dni parę, już ja temu łeb skręcę i krzywdy twojej nie dopuszczę.

Pan generał dużo jeszcze mówił, ale ja przez cały czas i słówka nie wyrzekłem. Tak ciężko uczułem ten despekt i w takiej byłem alteracji, że usta otworzyć się bałem, aby nie wybuchnąć jakiem gwałtownem słowem i subordynacji wojskowej nie uchybić. Nauczyłem się tego jeszcze w wojsku króla pruskiego, milczeć w takiej okazji, a pasję tłumić, choćby żółć pękała. Dla biednego żołnierza jedyne jest to *remedium*, jedyny protest przeciw starszyźnie. Niech ci się serce pada od żałości, ty milcz; niech ci gwałtowność afektu pierś dławi, ty milcz; niech się w to-

bie gotuje a wre jak w piekielnym kotle, ty milcz, nieboże!

Nie usłyszał mego głosu pan generał Korytowski; wyszedłem, w milczeniu salutując, ale takiej ciężkiej godziny nie chciałbym mieć drugiej w życiu. Kiedy przyszedłem na kwaterę, chodziłem jakby struty frasunkiem a żalem. Masz tobie żołnierkę i dobrą aplikację; dosłużyłeś się bracie nagrody pięknej; chciało ci się koniecznie służyć ojczyźnie, smakujże teraz tych rozkoszy! Myślałem tak nad sobą i nad tem upośledzeniem mojem, i biłem się z myślami, co mi w takiej alternatywie przykrej zrobić wypada?

Na drugi dzień zaraz, nie wiem jaką drogą, rozbiegła się wieść o tej nowej nominacji po całym lwowskim garnizonie. Przybiegli do mnie moi oficerowie, a najpierwszy Zawejda, który, jako iż niepoprawny był w swojej fantazji a krzykactwie bezmiernem, za wszystkich rezonował, perorował, odgrażał się i wyzywał.

— Mości rotmistrzu! — wołał — a to herezja, a to infamja, gwałt i *horrendum* okrutne, jakem Zacharjasz Łada Zawejda! Rotmistrzu, za hetkę pętelkę cię mieć będę, jak ty to po sobie puścisz, a honoru swego choćby krwią a tumultem dochodzić nie będziesz!

Wpadli mu chórem i inni oficerowie, i nuż deliberować a narzekać, mnie tem nie konsolując, a żalowi i gniewnym moim afektom nowego tylko przydając alimentu. Milczę tedy tylko i słucham, alterację w sobie tłumiąc jak mogę. Krzyczeli

wszyscy, ale Zawejda najgłośniej, ciągle nowe jakieś propozycje stawiąc mnie i oficerom:

— Panowie bracia i mili sercu memu kamradowie! — wołał — dzieje się krzywda śmiertelna nam oficerji gwardji konnej króla Jegomości; na krygsrecht pójdę, w ręce Stepki się oddam, ale się nie dam i kwita. Panowie bracia i mili kamradowie, co wy na taką lezję honoru naszego począć myślicie? Jabym nie radził deliberować długo, ale poprostu taką stawiam mocję: w werbel uderzyć, komputowców wyrąbać, z miasta wyrzucić, i we Lwowie *statum* oblężenia ogłosić!

— Ale Zawejda! Zawejda! — wołają oficerowie, mitygując ferwor jego.

— Jeśli na to niezgoda, panowie oficerja, to mam plantę inną, posłuchajcie. Opiszmy się, omanifestujmy się, otrąbmy się i zawiążmy konfederację!

— Ale Zawejda! Zawejda! — mówią mu znowu towarzysze.

— Kiedy i to się nie podoba — wołał dalej Zawejda, nie dając się skonsternować — to wam powiem co zróbcie. Zamek obsadźmy, okopmy się, Narwoj niech weźmie jurysdykcję, i wyślijmy deputację do króla Jegomości. Ja się nigdy od służby *pro publico bono* nie wymawiam; owoż, jeśli wola, mnie posłem do Warszawy delegujcie, a ja się z królem Jegomością, Bóg da, łatwo porozumiem!

Zadużo mi było tej gadaniny niedorzecznej, a bałem się nawet, aby Zawejda naprawdę głupstwa jakiego na własną rękę nie wypłatał, i całej

chorągwi na szwank nie naraził, więc wkońcu ostro wsiędę na niego:

— Zawejda, a nie będzieszże ty milczał przecie! Czy tobie się zdaje, żeś jeszcze ciągle w białej chorągwi, albo w dubieńskiej dragonji, co do kieliszków strzelała, albo w częstochowskiej milicji, albo przy lipkach — boś tam wszędy bywał, a nigdzieś statku nie znalazł! Wiedzże raz Waćpan, że masz honor służyć w porządnym regimencie, i że ja takich głupich pogróżek przeciw władzy nawet w żartach nie lubię. Mnie spotkał despekt, a nie Waćpana, siedźże sobie cicho!

Zamilkł Zawejda, bo się mnie bał, gdy mnie gniewnego widział — a po chwili pocichu i bez zawadjackiego animuszu się ozwał:

— Już się ty na mnie nie gniewaj, rotmistrzu, bo ty mnie znasz, i wiesz, żem językiem gorączka, ale jeśli nie do rzeczy mówię, to dlatego, że mam do ciebie afekt serdeczny. Powiedzże nam, kochany rotmistrzu, co w takiej brzydkiej konstelacji począć myślisz?

— Lat szesnaście służę już wojskowo — rzekłem — a kiedym się tylko despektu dosłużył, to za wygraną dam i w kąt pójdę. Zrezygnowałem się, panowie kamradowie; abszyt wezmę!

— My z tobą Mości rotmistrzu! — ozwali się oficerowie — i w nas ten dyshonor godzi; nie przeniesiem my tego, aby nam lada gagatek dowodził. Prosimy wszyscy o abszyt!

— Jako wola wasza, moi panowie — rzekę ja na to — ale to wam wyraźnie powiadam, że ja tego

po was ani wyciągam, ani wam tego nie chwalę. Niech każdy dobrze na rozum weźmie, aby nie żałował tego; bądźcież wy stateczni, a baczcie na to, aby z krnąbrnej fantazji karjery nie utracić.

— Już my się rezolwowali — zawołali na to — już nam to wszystko za jedno stoi; niechaj padnie co padnie, a my przecie z tobą, Mości rotmistrzu!

W kilka dni potem otrzymałem ordynans od p. kasztelanica Ostrowieckiego, który po owem zajściu ze mną wyjechał był ze Lwowa, abym na dniu oznaczonym z moją chorągwią na lustracją się stawił. Ordynans ten datowany był ze wsi, gdzie ten nowy pan komendant przebywał sobie spokojnie, aż się komputowcy z rozmaitych kantonów powoli do Lwowa pościągają. Skorom ten ordynans otrzymał, zaraz napisałem prośbę o abszyt, folgując w tem rozżalonemu sercu i obrażonej ambicji mojej. Prośby tej jednakowoż nie wysłałem zaraz, umyślnie sobie czas zostawując do dalszej jeszcze deliberacji, bo tak ważnej imprezy dokonywać nie chciałem bez gruntownego namysłu. Dałem wiadomość o otrzymanym ordynansie moim oficerom, a ci go tak samo krzywo przyjęli, jak i ja, albowiem zaraz nazajutrz wszyscy stawili się u mnie, i każdy z nich prośbę o abszyt na ręce moje złożył.

Chciałem zaraz wszystkie te papiery złożyć panu generałowi Korytowskiemu, aby je do wojskowej komisji, albo do króla Jegomości posłał, ale go nie było we Lwowie, bo właśnie na dni kilka był wyjechał. Tak tedy *volens nolens* wstrzymać się musiałem z tym ostatecznym krokiem, bo chociaż

na upartego idąc, i sam takową ekspedycję do Warszawy uczynić mogłem, przecież przez wzgląd na p. generała, aby jego, co tak życzliwy do mnie afekt miał, nie obrazić, na własną rękę nic robić nie chciałem. Tymczasem zbliżał się dzień, na który pan kasztelanic lustracją ową rozpisał i już tylko trzy dni czasu mi zostawało, rozmyśleć się a prośby o abszyt wyprawić.

Dwa dni przed samym terminem lustracji dowiedziałem się, że pan generał Korytowski powrócił; dałem znać tedy oficerom mojej chorągwi, aby nazajutrz w paradnym adjustunku do mnie się zeszli, i abyśmy tak razem u p. generała się stawili, i jemu osobiście te dymisje nasze do rąk oddali. Owo taki miał być koniec mojej służbie żołnierskiej i moim wszystkim widokom i życzeniom, które, Bóg to widział, szczere a poczciwe były dla króla i Rzeczypospolitej. Że to był krok ważny w mem życiu i o losie moim dalszym stanowił, więc całą noc spać nie mogłem od frasunku i rozmaitych przykrych myśli.

W takiem rozmyślaniu, biorąc statecznie na rozwagę imprezę moją, począłem sądzić samego siebie, i owo rozmaite *dubia* garnęły mi się do głowy, a decyzja już prawie powzięta, zachwiała się we mnie. Rozważałem, czy mam rację gniewać się o doznaną postpozycją? czy godzi mi się dawać folgę obrażonej ambicji? czy nie będę żałował kroku, który mi teraz rozżalony afekt dyktuje? Poczęły mi się więc nasuwać rozmaite argumenta, a owo wszystkie *contra* były. Mówiłem tedy sam do siebie:

— Rozważ bracie, czy twoja impreza uczciwą jest a stateczną? Skarżyłeś się sam zawsze na to, że w Polsce ambicja górą stoi nad rzeczą publiczną, a sam czy ambicją nie zgrzeszysz? Podrażnięto cię na miłości własnej, i owo już racja tobie, aby służbę porzucić. Skarżyłeś się na brak posłuszeństwa w kraju, na niesforność a krnąbrność animuszu, owo patrz, czy ty sam posłuszeństwa nie łamiesz? Powiadasz, żeś krzywdy się doczekał i żeś godniejszy na komendanta. Albo ci to przystoi, bracie, być sędzią twoich własnych zasług? Krzyw jesteś temu, że nie ty, ale kasztelanic Ostrowiecki wziął partją. A któż wie, czyli on nie godniejszy? Może on naprawdę lepiej się sprawi, może ma zdatność wojskową nad wiek swój i nad spodziewanie twoje. A gdyby ta nominacja i niesprawiedliwą była, maszże ty prawo buntować się przeciw władzy twojej? Owo nie sztuka słuchać, kiedy rozkaz po woli a fantazji twojej; łacny to wtedy posłuch i miła powolność; ale słuchać i poddać się rozkazaniu, choćby ono przykre ci było, tem się cnota posłuszeństwa mierzy, to jest ogniem probierczym subordynacji! A baczże na to, żeś żołnierz, a żołnierzowi co wyżej stoi nad posłuch a uległość ślepą? Nie zapomnijże o tem, że czyn twój zgorszenie wywoła, i przykład zły da buty krnąbrnej, a do tego w tej naszej Polsce już zachęty nie potrzeba, bo i tak wszędy swawola, a hardość fantazji prym przed obowiązkiem wodzi!

Takowe argumenta, które jakoby z natchnienia mi płynęły, obaliły moją decyzję — a na drugi dzień rano obudziłem się z rezygnacją, a nawet z we-

sołem sercem, żem siebie samego zwyciężył, bo to trudniejsza nieraz wiktorja, niźli na wojnie. Czekam już tedy z statecznym umysłem moich kamratów, a gdy ci wedle umowy do mnie przyszli, pocznę ich konwikować temi samemi argumentami, których na siebie samego zażyłem z skutecznością. Widziałem to po ich twarzach, że zrazu nie radzi byli tej odmianie mojej, ale powoli słowa moje trafiały do ich rozsądku.

— Chcieliście iść ze mną rzekłem wkońcu — zostańcież teraz ze mną! Proszę was o to, mili kamradowie, a nawet zaklinam, bo to będzie chwalebna sakryfikacja z naszej strony i przykład zacny żołnierskiego posłuszeństwa!

Rzekłszy to, wziąłem nasze prośby o abszyt i potargawszy je, w komin rzuciłem. Tak stanęło na tem, że przyjmiemy nominację pana kasztelanica z rezygnacją i rygorem żołnierskim, a ja jako rotmistrz i nakazywałem i prosiłem, aby na oną lustrację, która już pojutrze odbyć się miała, chorągiew nasza wystąpiła uczciwie i chędogo, honor czyniąc oficerji i całemu autoramentowi.

Nadszedł wkońcu dzień nakazanej przez p. kasztelanica lustracji, dzień niemałej sakryfikacji dla mnie, bom miał uczynić ofiarę z ambicji mojej i słusznej opinji o zasługach własnych wojskowych. Za zamkiem był plac duży, na którym się zawsze musztry odbywały, tam też lustracji miejsce naznaczono. Trzymając się *stricte* ordynansu, z uderzeniem godziny 9 zrana już z całą moją chorągwią na miejscu stanąłem, podczas gdy komputowcy, mili-

cja i żołnierstwo nadworne ściągały się powoli tatarskim ordynkiem, to jest nieuczciwą kupą maszerując, bez wszelakiej postawy wojskowej.

Że dzień był spokojny, a lustracja paradna dla publiki lwowskiej była rzadkiem widowiskiem, więc ludu sporo się zgromadziło, a była tam nietylko gawiedź sama, ale siła szlachty, a już najbardziej rozmaitych elegantek lwowskich, które snać miały panu kasztelanicowi służyć za nadobną galerję. Długośmy bardzo czekali na młodego komendanta, dłużej, niżem tego zwykł był dawniej w Poczdamie, a później w Warszawie, kiedy sam monarcha rewją trzymał. Podczas tego pocztowi pancerni, kawalerja narodowa i komputowi gwałtu czynili siła, to się śmiejąc, to swarząc się, to nakrzykując, tędy i owędy się ruchając, jakby mrowisko, my tylko dragonja staliśmy cicho, a z marsową powagą, jak przyzwoitemu żołnierzowi przystoi.

Doczekaliśmy się tandem p. kasztelanica, komendanta naszego; przyjechał dworno i z takim sztabem okrutnym jakby feldmarszałek jakiej srogiej potencji. Myślałby kto, że sam hetman jedzie, buńczuka jeno brakło. Przybył na plac pan kasztelanic z jaką dziesiątką towarzyszy i z dwudziestu ułanami swej własnej nadwornej milicji, rojno i strojno, huczno, juczno i bundziuczno, jakby na wjazd triumfalny. Już to przyznać mu trzeba było, że wyglądał pięknie i bogato, jak istne staropolskie rycerskie pacholę, bo młodzian był dorodny, a strój pancerny zdobił go bardzo. Wprawdzie za czasów moich już z onych starodawnych husarzy a towarzyszy pan-

cernego znaku zaledwie reminiscencja pozostała, tak że ledwo cztery pancerne chorągwie w całej Polsce istniały, i ani z srogiego rynsztunku, ani z sarmackiej dzielności nic im prawie nie zostało — ale przecież pan kasztelanic z swymi towarzyszy pokaźnie i dzielnie się oku prezentował.

Siedział p. kasztelanic na koniu pysznym krwi tureckiej, a rząd na tym koniu był dziwnie bogaty a kunsztowny. Już to prawie po raz ostatni widziałem w Polsce takowy przepych, za oczy chwytający, i takowy splendor magnacko-rycerski, bo już były powychodziły z mody zbytki i fantazje staropolskie, a natomiast wszystko z cudzoziemska na modelusz francuski lub niemiecki w zwyczaj u bogatej szlachty wchodziło. Rząd na koniu p. kasztelanica był suto srebrem i drogiemi kamieniami nasadzany; egretka świeciła jasnym blaskiem złota i klejnotów; czepiec z tkaniny był srebrno-złotej; buńczuk nad uchem i kita z strusich piór nad łbem końskim siedziały w szczerozłotej gałce, a z pod kulbaki spływał pyszny czaprak z dywdyku tureckiego, cały drogim haftem natkany. Patrząc na takowy luksus wielki, a do mizerji wojska polskiego go przyrównując, pomyślałem sobie, jakby to za one bogactwa a bezmierną kosztowność całą chorągiew dragońską wysztyftować i w moderunki zaopatrzyć można, z czegoby więcej pewnie było korzyści niż z takowej świetności, nieprzystojnej młodemu człowiekowi, co ledwo rangę chorążego w znaku pancernym trzymał. Owo pan komendant kapie od złota a szmaragdów, rubinów i turkusów, a jego wojsko, dragonję moją

wyjąwszy, dziurawemi łokciami świeci, szabli dobrej przy żebrach nie ma, flintami bez zamków świat straszy.

Jaki koń, taki był i jeździec; albowiem mundur p. kasztelanica aż za oczy chwytał swojem bogactwem. Że już wonczas pancerne towarzystwo nie nosiło pancerzy ani misiurek, więc pan kasztelanic miał na piersiach tylko harnaszek cieniutki z polerowanej stali, na głowie szyszak, a przy rękawicach takoż błyszczące stalowe karwasze. Na znak swej godności miał p. kasztelanic, jako chorąży pancernego znaku, na ramionach najprzedniejszą burkę krymską, atłasem karmazynowym podbitą, sznurami złotem na piersiach związaną, co od lśniącej blachy stalowej przedziwnie odbijało. Jakoż gawiedź zgromadzona kupą ku niemu sadziła, ciekawie się przyglądając, tak że ledwie ułani rum uczynić mogli, znaczkami swemi natrętnych płosząc. Rad sobie był z tej ciekawości i admiracji nasz p. komendant, a nawet go to trochę cieszyło, kiedy pospólstwo krzyczeć poczęło: «Wiwat pan hetman! Wiwat pan regimentarz! Wiwat pan generał!»

Ledwie p. kasztelanic na placu stanął, zaraz się ku mojej chorągwi ruszył. Chociaż mi doznana postpozycja srodze przykrą była, a owa cała komedja gorszyła niepomału, przecie w jednej chwili wszystkiego zapomniałem, nic już nie widząc w kasztelanicu, jeno komendanta mojego, któremum respekt i posłuch żołnierski winien. Jakoż widząc go ku nam podjeżdżającego, dałem natychmiast komendę chorągwi, aby broń skwerowała, sam zaś naprzód wy-

jechałem, salutując go według regulamentu. Złożywszy mu ustnie regestr chorągwi, i zameldowawszy jej aktualny stan, czego pan kasztelanic z wielką powagą słuchał, chciałem już kazać oficerom, aby wystąpili przed front dla prezentacji, kiedy nagle nadjechał konno adjutant p. generała Korytowskiego z ordynansem, że p. generał sam na lustracją przybywa, mając całej partji rozkazy najnowsze hetmana i komisji wojskowej do obwieszczenia, i że z tej przyczyny prosi, aby z całą lustracją na niego czekano.

Skrzywił się trochę p. kasztelanic, ale ordynans przyjął, we froncie jednak z nami nie stanął, ale z towarzyszami jakoby szpicę na przodzie formował. Za chwilkę pojawił się pan generał Korytowski, na koniu i w paradnym mundurze cudzoziemskiego autoramentu, to jest w ponsowym kolecie z złotemi szlifami, z wielką szarfą złocistą, i przy szpadzie z złotym gifesem. Ujrzawszy, że p. kasztelanic z swoimi na przodzie stoi szyk psując, zaraz mu we front ustąpić kazał, wysyłając go na lewe skrzydło, tam gdzie stał poczt pancerny. Następnie przejechał front cały, a stanąwszy na środku przed całą partją, zakomederował:

— Oficerowie i oberoficerowie — wystąp!

Zaraz też na tę komendę cała oficerja partji wystąpiła, na trzy kroki przed panem generałem się zatrzymując, a i pan kasztelanic podjechać także raczył wraz z towarzyszami, którzy za rangę oficerską się liczyli. Wtedy p. generał wydobył ordynans komisji wojskowej i głośno go odczytał. Owo wystawcie sobie, jakie było moje zdziwienie, kiedy

z tego ordynansu się dowiaduję tak niespodziewanie, że komisja wojskowa, czyniąc zadość słusznym remonstracjom pana generał-majora Korytowskiego, dawniejszą nominację p. kasztelanica Ostrowieckiego *non valentem* uznała, takową całkowicie zniosła, a mnie komendantem całej partji mianowała. Nie chciałem wierzyć uszom moim, kiedym własne nazwisko usłyszał, a nie pamiętam, czy mnie kiedy coś tak uradowało, jak ta satysfakcja niespodziewana.

Nie wiem, jaką minę miał p. kasztelanic, albowiem nie patrzyłem przez umyślną delikatność na niego, nie chcąc mu konfuzji dodawać. Po odczytaniu ordynansu kazał p. generał odstąpić oficerom, a gdy ci już byli w szeregu, zakomenderował, aby broń prezentowano i werbel bito — i mnie poprzed cały front przeprowadził, z wszelką uroczystością wojskową na komendanta całej partji mnie instalując. Kiedyśmy przed frontem mojej chorągwi przejeżdżali z panem generałem, niecnota Zawejda, jako zawsze zielono mu było pod siwą głową, a o fantazję swawolną nietrudno, zawołał: hurra; a dragonja cała, rozradowana odmianą rzeczy, jak krzyknie: hurra!! to jakby z moździerzy zagrzmiało. Głupi to był koncept, i jak obaczycie siła złego narobił, bo p. kasztelanic i tych kilku pancernych, którzy z nim byli, snać za przekwint i za despekt to sobie wzięli, co rankor ich ku mnie niepotrzebnie wzmogło. Kiedy więc podjeżdżamy ku lewemu skrzydłu, kędy stał poczt pancerny z kilku Towarzyszami i kasztelanicem na czele, ktoś z pp. Towarzyszy do mnie pijąc, jako do kapitana od dragonji, nieprzystojny żart

sobie zrobił, i naśladować począł taraban i sygnał capsztrajchowy, wołając Drrra...gan, drrra...gan, drrra...gan...

Zwracam się z sprawiedliwym gniewem do kasztelanica, jako do komendanta pocztu i wołam:

— Każ Waćpan milczeć swoim ludziom, Mości chorąży!

— Każ im to Waćpan sam, wszakeś komendant! — odpowiada mi na to hardo kasztelanic.

— Dobrze tedy, nakażę sam, a od Waćpana zacznę: milcz Waćpan!

Rzekłem te słowa tonem surowym i stanowczym, a pan generał poparł mię ostrem wejrzeniem, tak że p. kasztelanic naprawdę umilkł. Towarzysze zaś jego poczęli głośno mruczeć i gniew okazywać — zwracam się więc do p. generała i pytam:

— Mam ja tu wolę swoją, p. generale, czy pan generał sam weźmiesz interwencją w takiej niesubordynacji?

— Pokaż Waćpan swoją powagę, jako komendant — odpowiada pan Korytowski — i czyń, jako ci regulamenta każą.

Mówię ja tedy do onej niesfornej kupy:

— Panowie Towarzystwo, kto ma co do powiedzenia, niech wystąpi, a powie po szczeremu; za złe mu tego brać nie będę.

Na te moje słowa nikt nie wystąpił z szeregu, a wszyscy milczeli.

— Mości panowie — ozwę się ja teraz — wyście nie żaki, a jam nie bakałarz, abym wam tu długie admonicje dawał. Ale tym razem robię eksce-

cją, bo zaszła okoliczność szczególna, a jak to widzę, Waszmościom niemiła. Na drugi raz przypomnę animadwersją artykułów wojskowych, a nie wiem kto na tem źle wyjdzie. Wiem ja, w kogo to wasze swawolne nawoływanie godzi; krzywiście temu, żem wziął komendę nad wami, i że wam oficer autoramentu cudzoziemskiego przewodzić będzie. A ja myślę, że to za jedno stoi, czy kto wedle polskiego, czy wedle niemieckiego autoramentu krew i życie da za Rzeczpospolitą, na co podobno niedługo czekać będziem, bo zewsząd o niespokojnościach dochodzą nas wieści. Już wam do posłuszeństwa wystarczyć był powinien sam rygor wojskowy, a karność owa, co obok mężnego serca najwdzięczniejszą cnotą jest żołnierza — ale jeśli tego nie dość, toż zważcie, że jeśli się za najszlachetniejszego żołnierza w tej Rzeczypospolitej macie, to szlachetności takowej dowód wam bardzo przystoi. Owo przypominam Waszmościom, żem ja przed chwilą, w waszych oczach, kiedy jeszcze JPan Ostrowiecki komendantem być miał, jemu posłuch a respekt żołnierski oddał, przeciw woli władzy się nie buntując. Takowy z siebie przykład dawszy subordynacji, i po was jej słusznie wyciągam! A to ostatnie moje słowo!

Czy to determinacja moja spokojna a silna to sprawiła, czy też wstyd, że się nieszlachetnie ze mną obeszli, czy też wkońcu i owa okoliczność, że za tą moją oracją stało stu dragonów, którzyby na moją komendę byli roznieśli na szablach pp. Towarzyszy wraz z ich pocztem i ułanami p. kasztelanica — dość, że nikt się żadnem nieprzystojnem słowem,

ani nawet żadnym mrukiem nie ozwał. Ja zaś dałem sobie słowo w duchu, że to ostatnia moja oracja, i że przy najbliższej okazji zęby pokażę, bo ano kędy pójdzie komenda, jeśli do każdego żołnierza oracyę mówić będę, i argumenty go konwinkować zechcę? A tak na nieszczęście w Polsce bywało.

Odbyła się reszta lustracji w porządku jakim takim — a po jej skończeniu zaprosiłem wszystkich oficerów na jutrzejszy dzień do siebie, aby partję podzielić, eksercyrmajstrów każdemu oddziałowi przeznaczyć, i całą organizacyę po ludzku obmyśleć, aby się to wszystko jakoś kupy trzymało. Po panu kasztelanicu i jego poczcie całym niewiele się już po tej aferze spodziewałem, myśląc, że sobie do domu pojedzie, skoro zabawka nie po woli jego poszła. I to miałem sobie za koniec najlepszy. Owo inaczej poszło.

Zaraz na drugi dzień rano przed sesją jeszcze przychodzą do mojej kwatery dwaj Towarzysze, JPan Dzierżek i JPan Sobolewski i mówią:

— Mościpanie kapitanie, przychodzimy do Waćpana w honorowej misji od JPana kasztelanica Ostrowieckiego, chorążego pancernego znaku.

W tej chwili się domyśliłem, skąd wiatr wieje, ale udałem, jako niczego nie przenikam, i zapytałem:

— Jakiemże to żądaniem JPan chorąży honoruje mnie przez Waszmościów?

— Nie suponujemy nawet tego — rzecze JPan Dzierżek — abyś Waćpan, p. kapitanie, nie domyślał się, o co tu idzie. Wczoraj przed frontem,

a w obecności tak żołnierstwa pospolitej konduity, jak i nas szlachty, skrzywdziłeś Waćpan honor JPana chorążego. Takowej obelgi nie mogąc przenieść bez kawalerskiej a krwawej satysfakcji, JPan chorąży honor swój naruszony w nasze ręce powierzył, a my też jego imieniem z kartelem do Waćpana przybyli.

— Nic więcej? — pytam się spokojnie, wysłuchawszy tej przemowy.

— Owszem, jest coś więcej — rzecze teraz drugi Towarzysz, JPan Sobolewski — mamy oświadczyć Waćpanu, że jeśli my w wyzwaniu Waćpana przyznajemy JPanu Ostrowieckiemu pierwszeństwo, to z tego nie wypływa, abyśmy nie salwowali sobie także praw i pretensyj naszych własnych wobec Waćpana, Mości kapitanie!

Ja znowu pytam spokojnie:

— Nic nadto?

— Na teraz nam dosyć — odpowiada z uśmiechem JPan Dzierżek — później może coś jeszcze dołożym...

Choć mi przygryzł, udałem, że nie rozumiem, wziąłem kartel p. kasztelanica, wyzywający mnie na rękę, i rzekłem:

— Idźcież sobie Waszmoście do JPana Ostrowieckiego i powiedzcie mu, żeście swoją misję sprawili, i że dam mu słyszeć o sobie do trzech dni najdalej.

Owoż miałem kontynuacją tej przykrej historji. Rozgniewało mnie to do żywego i zawołałem sam do siebie:

— Kiedy chce, niech mu się stanie; dam ja mu nauczkę, że jej rychło nie zapomni. Kiedy temu gagatkowi niemiłe gładkie liczko, to mu je udekoruję; i tak wąsa niema, jak mu gębę rozpłatam, na żołnierza wyglądać będzie. Zadużo ci aż dwoje uszu, to ci zdejmę jedno, mój ty gaszku pancerny!

Jakoż w pierwszym impecie gotów byłem dać p. kasztelanicowi taką satysfakcją, jakiej pewno nie pożądał. Byłem gracz dobry na szable, i znano mnie w pruskiem wojsku za takiego, a kiedym kilku Niemców porąbał, żaden już okazji sobie ze mną nie szukał i drugiemu jeszcze odkazywał. Choć nie byłem nigdy zawadjaką, a zawsze honor cudzy szanowałem, jak swój własny, tom przecież nie takich smoków ujeżdżał, jak p. kasztelanic. W pierwszym ferworze byłem gotów wybić się, ale wnet mi się przypomniało, że to nie pan Ostrowiecki pana Narwoja, nie szlachcic szlachcica, ale subalterny wyzywa komendanta.

I owo rzecz zaraz w rozwadze mojej cale inną przybrała figurę. Jeszczeby tego brakło, aby komendant za każde przykre słówko w służbie powiedziane miał się rąbać z swymi subalternami; a tożby trzy dni komenderował, a trzy miesiące się lizał i do felczera się modlił. Dziś mi jeden kartel przyszle, jutro drugi; poszlę kogo do aresztu, a on mi na to: «Bij się Waćpan ze mną!» Piękna mi komenda, i piękna subordynacja! Postanowiłem tedy inaczej sobie począć w takiej alternatywie, i dać raz taki przykład całej mojej partji, aby się wszystkim raz na zawsze odechciało posyłać mi kartele. Nie po-

trzebowałem długo myśleć nad sposobem, jakby takie *exemplum* statuować, bo na to miałem regulamenta i artykuły wojskowe, które jasno o takowych niepozwolonych imprezach traktowały. Byłem zdeterminowany na wszystko, wiedziałem, że z paniątkiem zadrę, i że krewni jego dość są wielmożni, aby dziesięciu takich Narwojów, jak ja, zgubić i zniszczyć z kretesem. Ale bądź co bądź, niechaj pada, co chce, powziąłem silną decyzję, rygoru użyć, a nie ustąpić, gdybym miał i rangę stracić i bezpieczeństwo osoby własne hazardować. Bić się z panem kasztelanicem, to nie była żadna sztuka, ani żadna odwaga — ale począć sobie z nim tak, jak z każdym innym ubogim subalternem, to był hazard prawdziwy.

Obiecałem pp. Towarzyszom odpowiedź za trzy dni — tymczasem już pojutrze zaraz wypadała druga lustracja całej partji, a to była dla mnie najlepsza okazja do odpowiedzi, ale takiej, o jakiej ci panowie ekscessanci pewno nie myśleli. Bałem się tylko, aby p. kasztelanic przypadkiem razem z swym pocztem pancernym nie usunął się od tej lustracji, ale na szczęście przybył, zapewne dlatego, aby mnie znowu jakim despektem uraczyć.

Na oznaczoną godzinę stanąłem na placu, gdzie już i moja chorągiew i wszystkie inne oddziały partji się ustawiły. Przejechałem przed frontem, zlustrowałem moderunki i broń, a skończywszy takowy przegląd kazałem trzy apele otrąbić i trzy larum uderzyć, na znak, że ważny ordynans publikowany będzie wojsku. Gdy fajfry i paukiery zamilkli, zro-

biło się cicho, jakby mak siał, a ja, kazawszy zwinąć interwalle i formować koło, podjechałem w środek i całym głosem począłem:

— Panowie oficjerowie, panowie Towarzystwo, unteroficjerowie i żołnierze wszyscy obojga autoramentów! Baczność dla egzekucji artykułów wojskowych! Stepka wystąp!!

Stepka — a trzeba wam wiedzieć, że stepką zwał się unter-profos, ten, który cielesne chłosty według rozkazu rozdawał i wyroki krygsrechtu na żołnierzach egzekwował, będąc niejako oprawcą i siepaczem szwadronowym — owoż ten stepka wystąpił z poza tylnego szeregu, mając w jednej ręce taraban, a w drugiej pochodnię, bom go poprzednio poinformował, aby te dwa rekwizyta miał w pogotowiu. Wszyscy wypatrzyli się z wielką ciekawością, co za egzekucja to będzie, a począłem dalej mówić:

— Zaszedł wypadek niesubordynacji i takowej wzgardy artykułów wojskowych, że dnia zawczorajszego pan Michał Ostrowiecki, chorąży kawalerji narodowej, w zuchwałości swojej odważył się przysłać kartel i wyzwać na pojedynek mnie komendanta całej tej partji, w której on subalterna rangę piastuje. Że zaś pomieniony p. Michał Ostrowiecki do takowej imprezy asumpt wziął sobie z służbowej admonicji, sam mnie do niej zniewoliwszy, przeto biorąc w sprawiedliwą animadwersję artykuły wojskowe, niniejszą egzekucję stanowię. Stepka zapal pochodnię!

Stepka spełnił rozkaz, a gdy już pochodnia

gorzała, odwrócił taraban dnem blaszanem do góry i na ziemię go ustawił.

Wtedy ja wydobyłem kartel p. kasztelanica i rzuciłem go stepce pod nogi, wołając:

— Stepka, spal to *infame!*

Na tę komendę stepka podniósł kartel, pokazał go dokoła, potem podarł w kawałki i na odwróconym tarabanie spalił...

Pan kasztelanic i jego towarzysze stali jakby z kamienia, tak im snać cała ta egzekucja była niespodziewaną i tak ich z wszelkiego zbiła kontenansu. Ja tymczasem czyniąc dalej co należało, przywołałem unteroficera z mojej chorągwi i kazałem wziąć natychmiast pod areszt p. kasztelanica i dwóch Towarzyszy, co kartel jego nosili, to jest JPana Dzierżka i Sobolewskiego. Na ten rozkaz ocknął się pan kasztelanic i z dobytą szablą ku mnie *furiose* się rzucił — tak, że go ledwie powstrzymano. Zrobił się teraz tumult między pp. Towarzyszami, i wołać poczęli: «Zobaczymy! zobaczymy!» Jakoż i zobaczyli niebawem, bo w jednej chwili, nim się połapać mogli, już ich dragoni moi tak sprawnie otoczyli, że wszelaki bunt lub opór był niemożebnym. Wzięto tedy bez tumultu pana kasztelanica i obu pp. Towawarzyszy, szable im wprzód odpasawszy, i według rozkazu mego na hauptwach zawiedziono.

Był przepis taki w regulaminie, że gdy komendant oficera subalterna pod areszt wziął, to o tem znowuż swojej starszyźnie najdalej w dwadzieścia cztery godzin miał raportować. Nietyle przez wzgląd na p. kasztelanica, bom już nie dbał o jego zemstę,

ale przez wzgląd na pana generała Korytowskiego, któremum nie chciał kłopotu i przykrych kolizyj czynić — udałem się zaraz z placu lustracji do pana generała, aby mu zameldować, co się stało. Tymczasem właśnie nie było p. generała we Lwowie, jako iż o te czasy bardzo często wyjeżdżał, komendę na mnie zdawszy. Tem gorzej to było dla pana kasztelanica, bo kto wie, czy p. Korytowski, respektując tak możne paniątko, nie byłby kazał odrazu uwolnić aresztanta.

Co do mnie, byłem już zdeterminowany, i czując się w żołnierskiem prawie, nie byłbym ustąpił, choćby mnie w sztuki pocięto. Znajomi moi, o wypadku całym usłyszawszy, nuż mi perswadować poczną, abym licho zażegnał, kasztelanica wypuścił i własną skórę salwował, «bo — tak mi prawią — ty nie wiesz bracie, jakiegoś ty wołu za rogi chwycił, a jakie sobie warzysz piwko. To pan jest, syn magnata, co całem województwem trzęsie; ani się opatrzysz, a zje ciebie z guzikami razem; na mizerny koniec tobie będzie».

Jam wiedział o tem bardzo dobrze, z kim zarwałem i co mnie czeka, ale byłbym miał siebie za babę, a nie za oficera, gdybym się był ustraszył takowych przestróg. Jużem się był na to zrezolwował: komendę, rangę, szwadron, zasługi utracić, pod krygsrecht pójść, łeb dać pod szable dworskiej hałajstry, a swoje zrobić.

— Nie boję się — mówiłem tym, co mnie przestrzegali — zginę, to zginę, ale pokażę, jak się komenda trzyma. Nie zjedzą mnie tak prędko, mam

twarde kości i szpadę, nie będzie im tak krucho pod ząbkami. Obaczym, jak kostka padnie; będzie, co Bóg da, a ja przecie nie ustąpię.

Ludzie, co mi życzliwi byli, ramionami wzruszali, litując się mnie i za zgubionego mając — ale ja, raz się uparłszy na swojem, serca i kontenansu nie straciłem. Poszedłem na odwach i kazałem więźniowi przynieść takie jadło, jakiegoby pożądał, i wygody mu dać wszelkie, jeno nikogo doń nie wpuszczać pod żadnym pretekstem. Zawejda, który zawsze musiał z konceptem jakimś wyruszyć, kazał był szablę kasztelanica przed odwachem na kołku przybić i na niej kajdany zawiesić, jak się to nieraz według zwyczaju wojskowego praktykowało — tom mu ostro skarcił i szablę zaraz schować kazał. Potem, aby panom Towarzyszom i kawalerji narodowej pokazać, że się ich nie boję, po mieście sam jeden długo się przechadzałem, a choć ich dużo spotykałem po drodze, nikt się mnie insultować nie ważył. Zmiarkowałem atoli, że coś się knuje, bo panowie Towarzysze i komputowcy kupkami się przewijali, wyraźnie na wąs sobie jakowąś imprezę motając.

Gdy się już miało ku wieczorowi, poszedłem raz jeszcze na odwach, aby co do mego aresztanta wydać niektóre rozkazy, a kiedym w oficerskim pokoju z Zawejdą, bo on miał straż dnia tego, rozmawiał, słyszymy nagle krzyk szyldwachu, wołającego do broni. Wybiegłem z wachcymru razem z żołnierzami i patrzę, a tu kupa cała zbrojna na odwach sadzi, z kilku Towarzyszami na czele. Zebrało się ich razem ze dwustu, po części pocztowych pancer-

nych, po części komputowców, a po części znowu uboższej szlachty, snać adherentów p. kasztelana Ostrowieckiego. Sadzili się przez rynek hucznie, z flintami i szablami, a Towarzysz Sobolewski był ich komendantem. Okrutny krzyk i tumult czyniąc, zwabili mnogo pospólstwa — i tak to wszystko czarnem mrowiem parło na odwach.

Miałem wszystkiego dwudziestu dragonów na odwachu, a bić larum nie było już czasu. Owoż przyszła pora rozprawić się na ostre z tą kupą gwałtowników. Dragoni moi szybko stanęli pod bronią, a ja od Zawejdy wziąłem sam komendę. Kazałem mieć pogotowiu ostro nabite karabiny — a sam wystąpiwszy naprzód, kazałem onej kupie stanąć, pod groźbą, że natychmiast strzelać każę. Wstrzymali się ekscesanci, a Towarzysz, co ich wiódł, wystąpił ku mnie i zawołał:

— Przychodzimy tu do Waćpana, abyś nam zaraz p. Chorążego wydać kazał, wolno i przy szabli go puszczając. Wzywamy o to Waćpana bez gwałtu, a jak same słowa nie pomogą, to was tu wszystkich pludraków wyrąbiem!

Wszczął się tedy wrzask okrutny między oną kupą:

— Posiekać dragonów, posiekać! hajże! hurra! na tych niemieckich szłapaków! Wiwat p. Chorąży! Wiwat pan kasztelanic! Puścić go, zaraz puścić!

Dałem im znak, że chcę mówić, a gdy się trochę wrzawa ułożyła, zawołam:

— Mościpanowie! Pan chorąży tu zostanie, póki jeden dragon żyw będzie, a choćbyście nas

wszystkich do nogi wyrąbali, to jemu nie pomożecie, albowiem macie wiedzieć, żem przy nim dwóch dragonów postawił z rozkazem, aby go zaraz rozstrzelali, skoro na odwach wtargniecie! Ale nim to nastąpi, niejeden z was głowę tu zgubi. Wzywam, ustąpcie, albo strzelać każę!

Znowu krzyk straszliwy wzniósł się z tej kupy, a ja pocichu dałem dragonom moim rozkaz, aby pierwszy raz na wiatr strzelili, bom krwi nierozważnie rozlewać nie chciał.

— Rozmieść ich! wyrąbać! — poczęli wołać gwałtownicy i nuż ruszą naprzód szablami wywijając.

— Cel! pal! — zawołałem, i w tej chwili dragoni moi dali salwę.

Rozległ się huk, kule świsnęły ponad głowami ekscesantów, a w tejże chwili cała kupa rozsypała się w wielkim strachu, uciekając coprędzej na wszystkie strony. Tak się to rycerstwo na sam dym rozbiegło w popłochu, że ledwie że czterdziestu placu dotrzymało, a i tych panowie Towarzysze z ciężką biedą od retyrady wstrzymali, dodając im serca i animuszu. Nim się jednak jeszcze dym rozszedł od strzału, już dragoni moi wypadli do ataku z bagnetami, a z takim szparkim impetem, że owi śmiałkowie, co jeszcze nie uciekli, ani chwili nie dostali, salwując się coprędzej do kamienic. Poszturkali niektórych dobrze dragoni, a trzech dopadli i zaraz w areszt wzięli.

Tak się zakończył ów ekces w sromotny sposób dla niesfornych gwałtowników, a dla mnie z nie-

małą satysfakcją, bom się tem ucieszył, że się bez rozlania krwi obeszło, a na kilku suchych guzach skończyło. Dla ostrożności jednak podwoiłem wartę, aby nowej jakiej napaści czoło stawić, i sam już całą noc na odwachu przepędziłem. Odechciało im się przecie próbować szczęścia po raz drugi i iść w odsiecz panu kasztelanicowi, a noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz około południa powrócił do Lwowa pan generał Korytowski, a ja, skoro tylko się o tem dowiedziałem, zaraz do niego pobiegłem z raportem. Zastałem p. Korytowskiego jeszcze w stroju podróżnym i nie wiedzącego o niczem, co się stało. Zameldowałem mu w krótkich słowach całe zajście i zażądałem dalszych rozkazów w sprawie delinkwenta.

Wysłuchawszy raport mój, p. generał widocznie się skonsternował i w niemałym był kłopocie. Popatrzył na mnie z zdziwieniem, jakby się chciał dobrze przyglądnąć takiemu śmiałkowi, co paniątka do kordegardy wsadza, a regulamenta o subordynacji na serjo bierze, a potem zawołał:

— A wiesz Waćpan, że to brzydka historja, Mości rotmistrzu!

— Dla pana kasztelanica zapewne — odpowiedziałem sucho — bo ja *stricte* tylko animadwersją artykułów wojskowych się kierowałem, i spokojnem sumieniem o krygsrecht proszę.

— Ale nie! ale nie! źle mnie Waćpan rozumiesz, panie rotmistrzu! — zawołał p. generał — mam już teraz, bez żadnego krygsrechtu, konwik-

cję zupełną, żeś Waćpan uczynił, co należało. Znam ja nasze paniątka, a już najbardziej tego kasztelanica — ale Mości rotmistrzu, czy tobie dopiero mówić potrzeba, jak to u nas w Polsce bywa?

— Jam żołnierz, Mości generale — rzekę na to — a artykuły wojskowe to dla mnie wzgląd jedyny. Ja nie potrzebuję pamiętać na to, jak u nas w Polsce bywa, ale na to, jak być powinno.

— Już ja to wiem odskonale — mówi na to pan generał — żeś ty z sumieniem żołnierskiem sobie począł w tym niefortunnym wypadku, i o to ja się certować z tobą, panie kapitanie, ani myślę. Ale czy Waćpan nie wiesz, żeś w Polsce, ale czy Waćpan nie wiesz, że ojciec i krewni p. kasztelanica to możni panowie, co podniosą *clamor* taki okrutny, że aż królowi samemu w uszach dzwonić będzie? Czy Waćpan, panie kapitanie, myślisz, że to w pruskiem wojsku, w którem oba służyliśmy, a gdzie rajchsgrafów i baronów pakowano do sztokauzu, jak u nas prostych dragonów? A to Waćpan chyba nie zważyłeś, jakie siarczyste pioruny na głowę sobie ściągasz!

— Wiem, wszystko wiem, i nim pana kasztelanica do aresztu wziąłem, o wszystkiem wiedziałem.

— I nie lękasz się Waćpan zemsty? Ha, wiesz co Waćpan? to mi się podoba, choć mi żal tak zacnego, jak ty, oficera. Mówmy już otwarcie teraz, jak przyjaciele, czy wiesz Waćpan, że sam król Jegomość takich Ostrowieckich u nas się boi?

— Wiem, Mości generale, ale i to wiem, że

król Jegomość nie potrzebowałby pewnie bać się ich ani na chwilę, gdyby się ich nie bali wszyscy tacy mizerni Narwoje, jak ja.

— Gdyby, gdyby, gdyby!... — zawołał pan generał — a tak co zrobisz? głową muru nie przebijesz! Już ja wiem, że u Waćpana charakter dzielny, a prawdziwie żołnierski! Szkoda ciebie, panie rotmistrzu; ale cóż na to robić, *nec Hercules* przeciw sile...

Milczałem na te słowa, a p. generał chodził zamyślony po pokoju.

— Cóż myślisz, panie rotmistrzu? — zapytał mnie nagle. — Co chcesz, abym zrobił?

— Ja proszę o surowy krygsrecht najpierw dla p. chorążego, a jeśli się i po mnie coś pokaże, i na mnie samego.

— Panie rotmistrzu, zreflektujże to Waćpan, czy nie lepiejby udusić to wszystko, póki się jeszcze dymi, bo jak płomieniem buchnie, to już wszystko przepadło... Widzisz, panie Narwoj, jedno dobre słówko możeby tu pomogło...

— Mości generale — odpowiem na to — jeśli to dobre słówko ma wyjść odemnie, to przysięgam na mój honor szlachecki i oficerski, że p. kasztelanic daremnie go czekać będzie!

— Ależ ja nie wyciągam tego, abyś go Waćpan przepraszał — mówi p. generał. — Ale wiesz co... ot, mówiąc krótko... skręćmy temu łeb i kwita...

— To odemnie nie zależy, Mości generale, ja uczyniłem swoje, a kontynuacja, to rzecz p. generała.

P. Korytowski począł znowu chodzić po pokoju w zamyśleniu, a po dobrej chwili z wesołą twarzą się ku mnie zwrócił, jakby na koncept wpadł szczęśliwy.

— Panie Narwoj, a jak ja tak zrobię, że wilk będzie syty i koza cała?

— Wtedy, mości generale, wilk się temu oponować nie będzie. Ale ja nie wiem, jakiemiby sposoby w to ugodzić.

— Udam się do jednej instancji, o której Waćpan zapomniałeś. Zgadnijże, gdzie?

— Nie zgadnę.

— Do bab, do bab! Mości kapitanie.

— Jeśli tam, to p. kasztelanic pewno wygra sprawę, a kondemnata spadnie na mnie.

— Już się Waćpan o to nie frasuj, jak będzie; dobrze będzie. Twemu honorowi i subordynacji wojskowej stało się zadość, bo p. kasztelanic w kordegardzie się wysiedział, a kasztelanic zapomni o wszystkiem; znam ja rączkę taką, co go ugłaska.

— Panu generałowi wolno robić, jako wola jego; ale ja z swej strony kroku żadnego nie uczynię, choćby ta bomba pęknąć mi miała pod samym nosem.

— Bądźże już Waćpan spokojny, moja w tem głowa. A teraz mówmy, jak o służbowym interesie mówić należy. Mości kapitanie, wezmę raport Waćpana o występku chorążego Ostrowieckiego pod uwagę i według artykułów wojskowych afera ta prowadzoną będzie. Zostawiam aresztanta w rękach Waćpana, i masz go zachować tak długo na haupt-

wachu, póki osobnego ordynansu odemnie nie otrzymasz.

Po tych słowach p. generała wyszedłem, a choć po prawdzie mówiąc smuciło mnie trochę, że i sam pan Korytowski uląkł się mego postępku, jakoby on był jakąś zuchwałą imprezą, a nie aktem żołnierskiej subordynacji, przecież i jam był kontent, że nie potrzebując od swojej racji odstąpić, z głowy kłopotu pozbyłem. W kilka godzin po mojej rozmowie z p. generałem, przyszedł do mnie laufer od pani kasztelanowej Szeptyckiej, damy wielce czcigodnej, a nad wszelki zwyczaj niewieści uczonej, z kartą własnoręcznie przez tę panią pisaną, abym dziś wieczór gościem był w jej domu. Zdziwiło mnie takowe zaproszenie, bom się nie honorował znajomością osobistą tej dostojnej a sławnej damy, a jako oficer chudego stanu częścią z własnej ambicji szlacheckiej, częścią z braku okazji ku temu, żadnych wysokich relacyj nie szukałem. Zaraz mi też na myśl wpadło, czy w tem nie siedzi p. Korytowski, i czy to nie planta w tem takowa, aby mnie do koncyljacji z p. kasztelanicem przywieść.

Byłem trochę markotny z tej racji, bojąc się tego niepomału, abym przy tej okazji nie był oprymowany, a do zgody ciągniony, ze szwankiem może mojej powagi jako starszego oficera i komendanta. Czy tak, czy tak, nie było na to rady, a rekuzować się takowym delikatnym zaprosinom i to od damy pochodzącym, ani oficerską, ani kawalerską nie było rzeczą. Tak tedy *volens nolens* począłem się zaraz zbierać, bo już ku wieczorowi się miało, gdy nagle

przychodzi do mnie wachmajster z hauptwachu od Zawejdy z jakimś papierem. Czytam, i widzę ordynans p. generała Korytowskiego, nakazujący, aby komendant hauptwachu aresztanta JP. chorążego Ostrowieckiego, pod ostrą i surową eskortą, oczy mu wprzód zawiązawszy, do tej a do tej kamienicy, która w ordynansie wyraźnie oznaczoną była, o godzinie 8 wieczór odstawił. Przeczytawszy ten ordynans dziwny, sensu jego nie mogłem dociec; rzekłem tedy wachmajstrowi, ordynans mu oddając, aby powiedział Zawejdzie, iż ma tak *strictissime* czynić, jak mu generał w tym papierze nakazuje.

Nie poprzestając na tem, kiedy już szedłem do p. kasztelanowej, sam jeszcze na hauptwach do Zawejdy wstąpiłem, mówiąc mu, jako ja całą aferę jak przystoi p. generałowi odraportowawszy, nic już o aresztancie dysponować nie mam, i jako mu tylko to surowo zalecam, aby z rozkazu dobrze się sprawił, a literę ordynansu w ostrą biorąc animadwersję, aresztantowi uciec lub go jakowej swawolnej kupie wziąć sobie pod honorem oficerskim nie pozwolił. Po takiem napomnieniu poszedłem na ów wieczór do p. Szeptyckiej.

Owoż posłuchajcie teraz, jak się ta intryga zawiła wyklarowała. Zawejda, skoro ósma godzina nadchodziła, wszedł z czterma dragonami do kałauzu, w którym siedział p. kasztelanic, i srogą minę zrobiwszy, wąsy okrutnie kręcąc, a oczyma straszliwie przegrażając, jak to zwykł bywał robić, jak sam powiadał, «dla solenności a rygoru» w każdej służbowej okazji — zawołał na p. kasztelanica:

— Gotuj się Waćpan *stante pede!*

P. kasztelanic, który dobę już drugą w kordegardzie przesiedziawszy, trochę się umitygował i skruszał, pyta Zawejdy, dokąd ma się gotować? Zawejda na to, jeszcze srożej marsa nastroiwszy, przeraźliwem go spojrzeniem od stóp do głowy zmierzył, a zamiast odpowiedzieć, rozkazał dragonom, aby z karabinów stare ładunki wykręcili. Gdy się to stało, Zawejda straszliwym głosem komenderować począł, aby nabili świeżo i ostro. Następnie tak się ozwał:

— Dragon, daj posłuch! Pod moją komendą tego oto delinkwenta poprowadzicie tam, gdzie ukażę, a to pod takim rygorem: że gdyby owo delinkwent ten, którego tu widzicie po drodze najmniejszy znak dał, że uciekać myśli, zaraz mu w łeb palniesz każdy. Co gdy nie uczynisz, każdy bez pardonu rozstrzelany będziesz! Dragon każdy, czy rozumiał?

— Rozumiał — odrzekli żołnierze.

Wtedy Zawejda zwrócił się do kasztelanica i zapytał głosem trybunalskim:

— Widziałeś Waćpan?

— Widziałem.

— Słyszałeś Waćpan?

— Słyszałem.

— Gotujże się Waćpan do marszu.

Po tych słowach Zawejda okrutnie dużą chustę wydobył i nietylko oczy, ale całą głowę kasztelanica obwinął, mało go nie udusiwszy.

— Co Waćpan czynisz ze mną? — mówi p. kasztelanic.

— Co mi rozkazano — odpowiada Zawejda.

— Dokąd mnie wiedziecie?

— Gdzie rozkazano.

— Ależ na Boga, panie oficerze — woła kasztelanic — czy mnie mizernie zgładzić chcecie z tego świata! Tożem ja nie zbrodzień żaden, a jak mi gwałt jaki uczynicie, sroga w was pomsta pewno ugodzi za to; o tem pamiętajcie! Ja się tu protestuję przeciw temu, baczcież, abyście nie żałowali!

— Rozkazuję Waćpanu milczeć pod całą srogością mojej plenipotencji, bo mam ostre względem Waćpana rozkazy — ozwał się Zawejda. — Będziemy my żałować, jak na nas kolej przyjdzie, ale teraz kolej na Waćpana do tego przyszła — i radzę Waćpanu po katolicku, raczej o mizernych grzechach żywota pomyśleć, aniżeli się nam przegrażać!

Porwał się z miejsca kasztelanic ze zgrozą i zawołał:

— Człowieku, alboż ty mnie na śmierć wiedziesz?

— Zakazuję Waćpanu pod całą srogością mojej plenipotencji nazywać mnie człowiekiem! — odpowiedział Zawejda. — Zresztą, albo ja wiem, dokąd cię wiodę? Na takowym występku, jakiegoś się Waćpan dopuścił, z szablą na komendanta zuchwale się rzuciwszy, w artykułach wojskowych śmierć stoi.

— Ja chcę krygsrechtu na to! — woła pan kasztelanic.

— To go Waćpan mieć będziesz. A teraz znowu

rozkazuję Waćpanu milczeć pod największą srogością mojej plenipotencji.

Rzekłszy to, Zawejda kazał dwom dragonom wziąć kasztelanica za ręce, aby sobie z oczu przewiązki nie mógł zsunąć i tak go z hauptwachu wyprowadził.

Podczas gdy się to działo, ja już byłem u pani kasztelanowej Szeptyckiej. Uczciwie i z delikatną grzecznością przyjęła mnie ta szlachetna dama, a zastałem u niej całe grono gości, niewielkie, ale bardzo dystyngowane. Był tam i pan generał Korytowski, który ujrzawszy mnie, żartownie się do mnie uśmiechnął, nic o aresztancie moim nie mówiąc. Dam było także kilka, a między niemi była panna jedna, dziwnie nadobnej urody a wdzięczności takiej, że tylko na malowanie brać, a oko słodkim aspektem kontentować.

Mówi do mnie pan generał:

— Patrzże Waćpan, Mości rotmistrzu, to jest panna starościanka sołotwińska, czy nieprawda, że jest od czego głowie się kręcić. Owo widzisz Waćpan, że lepiej być komendantem tego serduszka, niźli wszystkie komendy i twierdze w całej Rzeczypospolitej trzymać; a zgadnij kto tam w tej główce stoi garnizonem? Nikt inny, panie Narwoj, jeno p. kasztelanic Ostrowiecki! Gdyby panna starościanka wiedziała, żeś Waćpan wilk taki i że p. kasztelanica pod muszkietami trzymasz, toby tu na cię pospolite ruszenie wszystkich białogłów sprawiła, i ano nie wiem, jakby ci tam było.

— Retyrowałbym, panie generale — rzekę ze

śmiechem — lub kapitulował się na łaskę lub niełaskę. Ale ja nie wiem, czemu p. kasztelanic tej owo słodkiej służby się nie trzyma, a do nas żołnierskich niedźwiedzi się miesza?

— Gdyby panna starościanka pozawczoraj już tu była, byłbyś kasztelanica na owej nieszczęsnej lustracji pewnie nie widział i bez awanturyby się obyło. Ale dziś dopiero tu przyjechała, a biedny Ostrowiecki nic o tem nie wie!

Kiedy tak rozmawiamy, słyszymy naraz ciężkie kroki i brzęk ostróg na wschodach. Wybiegł zaraz pan generał z pokoju, a po chwili wrócił — i owo wyobraźcie sobie zdziwienie moje, kiedy za nim wszedł do pokoju p. kasztelanic z oczyma zawiązanemi, ale już nie przez żołnierzy, jeno przez dwóch pokojowców pani kasztelanowej prowadzony. Na widok p. kasztelanica zrobiło się cicho w pokoju, jakby mak siał, bo p. Korytowski palec do ust przyłożył o *silentium* prosząc. Damy chusteczki do ust przykładały, śmiech w sobie tłumiąc, a panna starościanka, która kasztelanica snać poznała zaraz, zarumieniła się aż po uszka.

Tak chwilę stał p. kasztelanic na samym środku pokoju, a ja chcąc uniknąć jakowej kolizji, do ubocznego pokoju się cofnąłem, stamtąd obserwując przez drzwi otwarte, co się działo. Owoż p. generał wytrzymawszy kilka chwil kasztelanica, zmienił głos, co wybornie czynić umiał, i srogim a wielkim tonem, jak gdyby przed frontem całego regimentu komenderował, zawołał:

— Do krygsrechtu, baczność! Do publikacji

wyroku, prezentuj broń! Aresztant — postąp! Stepka, rozwiąż mu oczy!

Na te słowa jeden z gości ztyłu szybko zdjął chustkę z oczu p. kasztelanica...

P. kasztelanic przetarł oczy z zdumienia i aż się cofnął — gdy zamiast srogiego krygsrechtu i żołnierzy ujrzał się wpośród wesołych gości i dam eleganckich... Snać nie wierzył sam sobie, bo stał nieruchomo i z zdumionym wzrokiem, jakby z snu się obudził.

— Cha, cha, cha! — poczną się teraz śmiać wszyscy — cha, cha! Witamy, witamy, panie kasztelanicu!

— Witamy, witamy! i ktoś jeszcze wita! — zawołał p. generał, biorąc p. kasztelanica i wiodąc go wprost przed pannę starościankę.

I znowu poczęto śmiać się, a żartować, a przekomarzać się z zdziwionym i uradowanym kasztelanicem, który jakby języka zapomniał w gębie. Ja tymczasem byłem w drugim pokoju, i wyjść nie chciałem, bardzo temu nierad będąc, że mnie w takową intrygę wciągnięto. Kiedy tak siedzę, i już mi się zdaje, że o mnie całkiem zapomniano, wchodzi nagle do drugiego pokoju p. generał Korytowski i prowadzi z sobą kasztelanica. Czekam, co to będzie, a tu p. kasztelanic idzie wprost ku mnie i mówi:

— Mości rotmistrzu, niechaj to już idzie w niepamięć, co między nami zaszło. Ja czynię deprekację, wybacz Waćpan gorączce mojej.

Takiemi słowy wziął mnie kasztelanic odrazu;

nie umknąłem mu też ręki, ale ściskając podaną dłoń, rzekłem:

— Niech i tak będzie, panie chorąży; skoro p. generał tego chce, a Waćpan swego impetu żałujesz. Jam nie zawzięty, a com uczynił, pewnie z przykrością mi to było.

W dobrej tedy komitywie wróciliśmy do gości i wieczór cały w przystojnej wesołości spędzili. Na wychodnem już mówi do mnie p. Korytowski:

— A co, Mości panie rotmistrzu, nie udała mi się gładko polityka?

— Jestem ja z respektem i admiracją dla dowcipu p. generała — rzekę na to — ale cóż, chociaż p. generał tym sposobem salwował mnie od przykrości, to przecie wdzięczność moja nie szczeraby była. Tak ja się już rogato w tej aferze usadziłem, że wolałbym, aby to wszystko było pękło, choćby mnie na głowę.

— Panie Narwoj — odpowiedział na to pan generał — com zrobił, to nie dla ciebie, a dla siebie samego, boś z srogiemi brytany grać począł, a kto wie, czyby cię były nie wygryzły ze szarży. A wtedy, cobym ja bez Waćpana we Lwowie począł? Toż Waćpan wiesz, jakie niespokojności się pokazują; co wiedzieć? czy lada dzień nie zechcą nas tu ze Lwowa wykurzyć jak lisów; a ja chciałbym królowi miasto trzymać. Bez ciebie zaś, panie rotmistrzu, to zaprawdę nie wiem, jakby mi tu było?

Na takowy pochlebny komplement musiałem dać za wygranę p. generałowi i podziękować tylko za dobrą o mnie opinją. Jakoż p. generał miał ra-

cją, przewidując, że niespokojności owe aż o Lwów się oprą, bo niedługi czas minął, a przeciw swoim bronić go nam przypadło. I wówczas to pono najboleśniejsza przyszła na mnie alternatywa, jakiej kiedy za żołnierskiej mej służby doświadczyłem. Kiedyś przy dobrej okazji a miłej waszej ochocie do słuchania i tę chwilę żywota mego z starej pamięci wygrzebię, *infandum dolorem* wznawiając. A na teraz chyba dość narracji mojej.

SPIS OPOWIADAŃ

	Str.
Dwunasty gość	1
Przygoda w Radomiu	49
Zapatan	129
Pan kasztelanic	203

BIBLIOTEKA NARODOWA

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001018620212

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
541989